KALENDARZ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI

1934



ROCZNIK DZIESIĄTY



WYDAWNICTWO I DRUK ZAKŁADU WYCHOWAWCZEGO TOW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWEM.



Królowo Korony Polskiej, módl się za nami.



...z opłatkiem do was idę, bracia moi...

STYCZEŃ

poświęcony imieniu Jezus.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	P	**Nowy Rok.** Obrz. P. Mieczysł.	19	**Grudzień.** Bonifacego
2	W	Imienia Jezus, Makarego op.	20	Ignacego
3	S	Genowefy pn., Daniela	21	Juljany m.
4	C	Izabeli, Tytusa, Akwilina m.	22	Anastazji m.
5	P	Telesfora p. m., Szymona Słup.	23	10 męczenników kretejskich
6	S	**Trzech Króli**	24	Eugenji
1. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 2. 42—52: Jezus 12-letni w kościele.				
7	N	**1 po 3 Kr.** Łucjana, św. Rodz.	25	**Narodzenie Jezusa Chryst.**
8	P	Seweryna op., Teofila m.	26	**Sobór Przeczystej Bogarodz.**
9	W	Marcjanny pn., Juljana m.	27	**Szczepana m.**
10	Ś	Agatona p., Wilhelma b. w.	28	2000 męczenników
11	C	Honoraty, Matyldy	29	Młodzianków
12	P	Arkadjusza m., Prob. b., Ernest.	30	Anyzji
13	S	40 żołn. m., Weron., Leoncj. b.	31	Melanji Rzymianki
2. Ewangelja u św. Jana Roz. 2. 1—11: Gody w Kanie Galilejskiej.				
14	N	**2 po 3 Kr.** Hilar. DK., Feliksa	1	**Styczeń. Nowy Rok. Obrz. P.**
15	P	Pawła I. pust., Maura op.	2	Sylwestra pap.
16	W	Marcelego pap. m.	3	Malachjasza pror.
17	Ś	Antoniego op., Sulpicjusza	4	Sobór 70 apost.
18	C	Katedry św. Piotra w Rzymie	5	Teopempta
19	P	Marcjusza i T. mm., Henr., Ferd.	5	**Objawienie Pańskie. (Jordan)**
20	S	Fabjana i Sebastjana	7	Sobór św. Jana
3. Ewangelja u św. Mat. Roz. 8. 1—13: Setnik w Kafarnaum.				
21	N	**3 po 3 Kr.** Agnieszki pn. m.	8	**1 po Obj. P.** Grzegorza
22	P	Wincentego m.	9	Jerzego
23	W	Zaślubiny M. B.	10	Polieukta
24	Ś	Tymoteusza b. m.	11	Teodozja
25	C	Nawrócenie św. Pawła ap.	12	Tacjany
26	P	Polikarpa b. m.	13	Ermyła m.
27	S	Jana Złotoustego, Witaljana p.	14	ŚS Ojców z Synaju i Raiti.
4. Ewangelja u św. Mat. Roz. 20. 1—16: O robotnikach w winnicy.				
28	N	**Starozapustna.** Leonidasa	15	**2 po Obj. P.** Pawła
29	P	Franciszka Salezego b. w.	16	Pokłon okowom św. Piotra
30	W	Martyny pn. m.	17	Antoniego Wielk.
31	Ś	Piotra z Nolas.	18	Atanazego

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—3 zimno i pochmurno; 4—6 deszcz; 7—10 ostre zimno; 11—15 dżdżysto; druga połowa miesiąca na zmianę śnieg, mgła i wiatr.



Do młodych.

Szukajcie prawdy jasnego promienia!
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg! ..
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się ludzka dusza rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendarny mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok!

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnieście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść,
Na nich się jeczcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy — winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi! —
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Wiatr pierwszego dnia wieczorem
Ludzi straszy rokiem chorym;
Pogoda ryby przynosi
I cały rok dobry głosi.
Na Nowy Rok pogoda,
Będzie w polu uroda;
Gdy Nowy Rok mglisty,
Jeść cię będą glisty.
Gdy Trzy Króle pogodą obdarzą,
Nie zasypiaj ranków, gospodarzu;
Przyjdzie wiosna wnetki,
Pamiętaj na hetki.

ZAPISKI

LUTY

poświęcony wynagrodzeniu i pokucie.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	C	Ignacego b. m., Brygidy	19	Makarego
2	P	*Matki B. Gromnicznej*	20	Eutemjusza
3	S	Błażeja b. m., Ansgara b., Cel.	21	Maksyma
		5. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 8. 4—15: O siejbie na roli.		
4	N	**Mięsopustna.** Andrz. z Kors.	22	**Starozapustna.** Tymoteusza
5	P	Agaty pn. m., Adelajdy pn.	23	Klemensa
6	W	Doroty pn. m., Tyt. b., Amand. b.	24	Ksenji
7	S	Romualda op., Ryszard. kr.	25	Grzegorza
8	C	Jana z Mathy	26	Ksenofonta
9	P	Apolonji pn. m., Nicef. m., Ansb.	27	Jana Złotoustego
10	S	Scholastyki pn., Wilh., Sil. b. w.	28	Efrema
		6. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 18. 31—43: O ślepym przy drodze.		
11	N	**Zapustna.** *Zjaw. się NMP. w L.*	29	**Mięsopustna.** Ignacego b.
12	P	Eulalji, 7 Założycieli Serwit.	30	**Trzech świętych**
13	W	Grzegorza II. pap., Katarz. Kast.	31	Cyrusa i Jana mm.
14	S	*Popielec.* Walent. k. m., Wit.	1	**Luty.** Tryfona
15	C	Faustyna i Jowity	2	**Stritenje H.**
16	P	Juljanny pn. m., Onezyma b. m.	3	Symeona i Anny
17	S	Juljana Kapad., Donata, Alek.	4	Izydora
		7. Ewangelja u św. Mat. 4. 1—11: Kuszenie P. Jezusa na puszczy.		
18	N	**Wstępna.** Symeona b. m.	5	**Zapustna.** Agaty m.
19	P	Konrada p., Marcelego m.	6	Wukoła b.
20	W	Leona b., Eleuterjusza b. m.	7	Partenja
21	S	*Such.* Feliksa b. w.	8	Teodora st.
22	C	Małgorzaty z Kortony	9	Nicefora
23	P	*Such.* Piotra Damjana b. w.	10	Charłampja m.
24	S	*Such. Macieja Apostoła*	11	Błażeja kapł. m.
		8. Ewangelja u św. Mat. Roz. 17. 1—9: O przemienieniu Pańskiem.		
25	N	**Sucha.** Wiktoryna m.	12	**1 Postu.** Malecia
26	P	Wiktora, Nestora b. m.	13	Martynjana
27	W	Aleksandra Prokopa w.	14	Auksencjusza
28	S	Romana op., Teofila m.	15	Onesyma

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—7 pogoda przykra i deszcz; 8—12 deszcz ze śniegiem; 13—16 dni słoneczne; 18—22 śniegi i zimne wiatry; od 23 do końca ponuro i zimno.



Nie mów!

Nie mów, — chociażbyś miał ginąć z pragnienia —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące!
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów, — chociażbyś umierał z tęsknoty —
Że niema czystej miłości na ziemi·
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą...

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Gdy wiatr ostry w lutym wieje,
To chłop ma dobrą nadzieję.
Gdy we Wstępną Środę deszcz pada,
To rój gąsienic kapustę zjada.
Gdy na św. Walek deszcze
Mrozy wrócą jeszcze.

ZAPISKI

MARZEC

poświęcony św. Józefowi.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	C	Albina, Suitberta	16	Pamfila
2	P	Heleny, Pawła m., Jow. i B.	17	Teodora
3	S	Kunegundy cesarzowej	18	Leona W. pap.
9. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 11. 14—28: P. Jezus wypędza czarta.				
4	N	**Głucha.** Kazimierza k., Lucjana	19	**2 Postu.** Archipa
5	P	Jana od Krzyża, Euzebjusza	20	Leona b.
6	W	Perpetuy i Felicyty, Marcjana	21	Tymoteusza
7	Ś	Tomasza z Ak., Eubula	22	Eugenji
8	C	Bł. Winc. Kadł., Jana Boż.	23	Polikarpa
9	P	F anciszki Rz. w., Grz. z N.	24	**Znalez. głowy św. Jana Chrz.**
10	S	40 Męczenników z Sebastji	25	Tarasa
10. Ewangelja u św. Jnna Roz. 6. 1—15: P. Jezus karmi cudownie 5000 ludzi.				
11	N	**Środopustna.** Konstan., Róży	26	**3 Postu.** Porfirjusza
12	P	Grzegorza Wielk. p. DK.	27	Prokopa
13	W	Krystyny, Nicefora b.	28	Wasylja pust.
14	Ś	Matyldy kr., Eutychjusza	1	Marzec. Eudokji
15	C	Klemensa Dworzaka	2	Teodata
16	P	Cyrjaka m., Tacjana	3	Eutropjusza
17	S	Gertrudy pn., Patrycjusza b.	4	Harasyma i Pawła
11. Ewangelja u św. Jana Roz. 8. 46—59: Żydzi chcą P. Jezusa ukamienować.				
18	N	**Czarna** Cyryla Jer., Edwarda	5	**4 Postu.** Konona m.
19	P	*Józefa Obl. N. M. P.*	6	42 męcz. z Amorei
20	W	Eufemji pn. m., Teodozji	7	Wasylja m.
21	Ś	Benedykta op., Filomeny	8	Teofilakta
22	C	Katarzyny szw., Oktawj.	9	40 męcz. z Sebastji
23	P	7 boleści MB., Feliksa m.	10	Kondrata
24	S	Gabrjela arch., Symeona m.	11	Sofronjusza
12. Ewangelja u św. Mat. Roz. 21. 1—9: Triumfalny wjazd P. Jezusa do Jerozolimy.				
25	N	**Palmowa.** Ireneusza	12	**5 Postu.** Teofana
26	P	Emanuela, Teodora, Tekli	13	Nicefora
27	W	Jana Damasc., Ruperta b.	14	Benedykta
28	Ś	Jana Kap., Sykstusa pap.	15	Agapa m.
26	C	*Wielki Czwartek* Eustazjusza	16	Sawyna i Juljana
30	P	*Wielki Piątek.* Jana Klim.	17	Aleksego
31	S	*Wielka Sobota.* Balbiny	18	Cyryla, Aleksandry

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—17 ostry wiatr i mróz; 19—23 śnieg, potem deszcz; od 24 do końca zmiennie.



Bez granic.

Potoki mają swe łoża
I mają granice morza
Dla swojej fali:
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójdą dalej!
Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka —
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

Adam Asnyk.

Przysłowia

Gdy suchy marzec,
Kwiecień mokry,
Maj przychłodny,
Wtenczas, wnosi gospodarz,
Nie będzie rok głodny.
Zrazu chmurny, w środku błotny,
Snop czyni dużo omłotny.
Jeśli w dzień św. Kazimierza pogoda,
To na ziemniaki uroda.

ZAPISKI

KWIECIEŃ

poświęcony Odkupicielowi.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
		13. Ewangelja u św. Mar. Roz. 16. 1—7: O zmartwychwstaniu P. Jezusa.		
1	**N**	**Wielkanoc.** Hugona	19	**Palmowa.** Chryzanta i Darji
2	P	**Poniedz. Wielk.** Franc. z Pauli	20	Męcz. w klaszt. św. Sawy
3	W	Ryszarda b., Darjusza	21	Jakóba
4	S	Izydora b., Ambrożego	22	Bazylego
5	C	Wincentego Fer., Ireny, Emilji	23	Nikona i 200 uczniów
6	P	Celestyna, Sykstusa	24	Zacharjasza
7	S	Epifanjusza b. m., Hermana	25	Nikity
		14. Ewangelja u św. Jana Roz. 20. 19—31: O niewiernym Tomaszu.		
8	**N**	**Przewodnia.** Alberta b.	26	**Wielkanoc**
9	P	*Zwiastowanie NMP.*	27	**Poniedziałek świąteczny**
10	W	Ezechjela pror., Terencjusza	28	**Wtorek świąteczny**
11	S	Leona W. pap., Anrypa b. m.	29	Marka b.
12	C	Juljusza pap., Zenona	30	Jana Listw.
13	P	Hermenegilda m.	31	Ipatja
14	S	Justyna m., Ludwiny p.	1	**Kwiecień.** Marji Egipc.
		15. Ewangelja u św. Jana Roz. 10. 11—16: O dobrym pasterzu.		
15	**N**	2 po W. Anastazji m.	2	**Przewodnia.** Tytusa
16	P	Benedykta J. Labre	3	**Zwiastowanie NMP.**
17	W	Rudolfa b., Aniceta pap. m.	4	Józefa i Jerzego
18	S	Apolonjusza m.	5	Teodula
19	C	Jerzego b., Tymona m.	6	Eutychjusza
20	P	Agnieszki, Teodora W.	7	Grzegorza
21	S	Anzelma b., Symeona	8	Irydjona
		16. Ewangelja u św. Jana Roz. 16. 16—22: Maluczko, a nie ujrzycie mię.		
22	N	3 po W. Opieki św. Józefa	9	2 po W. Eupsychjusza
23	P	Wojciecha b. m.	10	Terencjusza
24	W	Fidelisa ze Sigmaring, Saby m.	11	Antypy
25	S	*Marka Ewang.*, Ewodjusza	12	Wasylja
26	C	MB. Dobrej Rady	13	Artemona
27	P	Piotra Kanizego w.	14	Martynjana
28	S	Pawła od Krzyża	15	Arystarcha
		17. Ewangelja u św. Jana Roz. 16. 5—14: O odejściu do Ojca.		
29	**N**	4 po W. Piotra z Werony m.	16	3 po W. Agaty pn.
30	P	Katarzyny z Sieny	17	Symeona

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—5 wiatr ze śniegiem; 6—15 pogodnie i ciepło; w drugiej połowie miesiąca zmiennie i chłodno.



Huczy woda po kamieniach.

Huczy woda po kamieniach
A na głębi cicho płynie:
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć niezdolny,
Ten się szumem słowa pieści:
Potok głośny a swawolny
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje:
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje.

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Sprzyja nam rok, gdy wilgotny
Kwiecień, gdy nie, bardzo słotny.
Deszcz na Wielki Piątek
Napcha każdy kątek.
Taka pszenica zwykle urodzajna bywa,
Która na św. Wojciech przepiórkę pokrywa.

ZAPISKI

MAJ

poświęcony Najśw. Pannie Marji.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	W	*Filipa i Jakóba Apost.*	18	Jana Dekap.
2	Ś	Zygmunta kr., Atanazego	19	Jana W., Pafnucego
3	C	**NMP. Król. Kor. Pol.**	20	Teodora
4	P	Znalez. Krzyża św., Flor. m.,	21	Januarego
5	S	Piusa V pap., Krescencjanny	22	Teodora Syk.
18. Ewangelja u św. Jana Roz. 16. 23—30. O prawdziwej modlitwie.				
6	N	5 po W. *Jana Ap. ew. w Ol.*	23	4 po W. Jerzego
7	P	*Dni krzyżowe,* Flawji	24	Sawy
8	W	† Stanisława b.	25	Marka Ap.
9	Ś	† Grzegorza z Naz. b. DK.	26	Bazylego m.
10	C	**Wniebowstąpienie Pańskie**	27	Symeona
11	P	Franciszka. Mamerta b.	28	Jazona
12	S	*Królowej Apost.,* Pankracego	29	9 męcz. w Kyz.
19. Ewangelja u św. Jana Roz. 15. 26—27 i 16. 1—4: Obiet. zesłania Ducha Św.				
13	N	6 po W. NMP. Łaskawej	30	5 po W. Jakóba Ap.
14	P	Bonifacego	1	Maj. Jeremjasza pror.
15	W	Zofji męcz. z 3-ma cór.	2	Atanazego Wiel.
16	Ś	Błog. Andrzeja Boboli	3	Teodozjusza
17	C	Paschalisa, Brunona	4	**Wniebowstąpienie P.**
18	P	Wenancjusza m., Feliksa z C.	5	Ireny
19	S	*Wig.* Piotra Celestyna pap.	6	Joba
20. Ewangelja u św. Jana Roz. 14. 23—31: O zesłaniu Ducha Świętego.				
20	N	**Zesłanie Ducha Św.**	7	6 po W. Pamięć św. Krzyża
21	P	Poniedziałek świąt.	8	Jana Teologa
22	W	Heleny pn., Julji p. m.	9	Mikołaja
23	Ś	*Such.* Jana Bapt. de Rossi	10	Szymona Apost.
24	C	NMP Wspomożenia Wiernych	11	Mokia, Metodego
25	P	*Such.* Grzegorza VII pap.	12	Epifanja
26	S	*Such.* Filipa, Nereusza	13	Glikerji
21. Ewangelja u św. Mat. Roz. 28. 18—20: Dana mi jest wszelka władza.				
27	N	**Trójcy Św.** Bedy w.	14	**Zesłanie Ducha Świętego**
28	P	Augustyna b. w.	15	**Trójcy Przenajśw.**
29	W	Marji Magdaleny de Paz.	16	Teodora i Modesta
30	Ś	Feliksa pap. m., Ferd. kr.	17	Andronika
31	C	**Boże Ciało.** Anieli Merici	18	Teodata m.

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—7 ciepło i słonecznie; 7—17 deszcz i burze; 18—22 pogodnie i wietrzno; od 23 do końca pochmurno, w końcu pogodnie.



Kwiaty.

Rzucajmy piękny siew!
Niech wschodzą kwiaty,
Jak cudnych marzeń rój,
Lekki, skrzydlaty...
Za kwiatem przyjdzie nam
I owoc boży,
I urok piękna sam
Dobro wytworzy.
Cóż kwiatek? — barwny puch,
Oczu ułuda...
Lecz w pięknie żyje duch,
Co tworzy cuda.
Zaprawdę! życia ten
Nie strwonił marnie,
Kto kwiecie swoich niw
Z miłością garnie...
I w ludów wiosny dzień
Stanie ten śmiało,
Kto rzucił ziemi tej,
Choć różę białą...

M. Konopnicka.

Przysłowia:

Gdy się maj grzmotem odezwie na wschodzie,
To sprzyja sianu i zbożu w urodzie.
Gdy się przytrofi maj chłodny,
Dla zbóż, win i traw wygodny.
Mokry maj,
Rośnie żytko jako gaj.
Na św. Filipa jeśli deszcz rzęsisty,
Będzie plon dobry i czysty.
Deszcz w Zielone Świątki
Da Bóg wielkie sprzątki.

ZAPISKI

CZERWIEC

poświęcony Najśw. Sercu Pana Jezusa.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	P	Bł. Jakóba Strzemię b., Pamfila	19	Patryka
2	S	Marcelina, Sadoka m.	20	Ftałateja
22. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 14. 16—24: O wezwaniu na ucztę.				
3	**N**	**2 po Z. Św.** Erazma	21	**1 po Zesł. D. Św. Wszyst. Św.**
4	P	Franciszka Caracciolo ☾	22	Bazylego
5	W	Bonifacego b. m., Dorot.	23	Michała
6	S	Norberta b. w., Kandydy	24	Symeona pr.
7	C	Roberta opata	25	**Boże Ciało**
8	P	*Najśw. Serca Jez.* Medarda b.	26	Karpa
9	S	Pryma m., Felicjana m.	27	Fteraponta
23. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 15. 1—10: O zgubionej owcy i groszu.				
10	**N**	**3 po Z. Św.** Małgorzaty kr.	28	**2 po Z. D. Św.** Nikity
11	P	*Barnaby Ap.* Paryzjusza w.	29	Teodozji
12	W	Onufr. wyzn., Jozuego ●	30	Izaaka
13	S	Antoniego z Padwy	31	SS. O. z Nicei
14	C	Bazylego b. w.	1	Czerwiec. Justyna
15	P	Jolenty pn., Wita, Modesta	2	*N. Serca Jez.*
16	S	Jana Franc., Regisa, Benona	3	Łucjana
24. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 5. 1—11: O obfitym połowie ryb.				
17	**N**	**4 po Z. Św.** Adolfa, Reinera	4	**3 po Z. D. Św.** Mitrofana
18	P	Efrema diak., Marka	5	Doroteusza
19	W	Gerwazego i Protazego	6	Wysarjona
20	S	Silwerjusza pap. m. ☽	7	Teodota
21	C	Alojzego Gonzagi	8	Teodora
22	P	Paulina b., Albanusa m.	9	Cyryla arcyb. i m.
23	S	Zenona m., Agrypiny p.	10	Tymoteusza
25. Ewangelja u św. Mat. Roz. 5. 20—24: O sprawiedliwości faryzeuszów.				
24	**N**	**5 po Z. Św.** *Narodz ś. J. Chrzc.*	11	**4 po Z. D. Św.** Bartłom. Ap.
25	P	Wilhelma op., Febronji p. m.	12	Onufrego
26	W	Jana i Pawła mm., Wirgil. b.	13	Akwiliny
27	S	Władysława kr. ◯	14	Elizeusza
28	C	Leona II pap.	15	Amosa
29	P	**Piotra i Pawła Apost.**	16	Tychona
30	S	Wspomnienie św. Pawła	17	Manuiła

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

W pierwszej połowie miesiąca przeważnie pięknie i ciepło; 21—25 burze; do końca miesiąca pogoda przykra, dokuczliwa i wilgotno.



Modlitwa.

W szczęście — jestem szczęściem samem,
W cnocie — wytrwania potęgą,
W cierpieniu — pociech balsamem,
W grzechu — poprawy przysięgą.

Bóg się w swem istnieniu błogiem
Nie modli, bo w żadnem niebie
Nie zna wyższego nad Siebie:
I dlatego też jest Bogiem!

Anioł, z pochylonem czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze:
Bez modlitwy żyć nie może —
I dlatego jest Aniołem!

Człowiek, z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień, lub radości kole:
Modli się, gdy chce, ma wolę,
I dlatego jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale cóż mu jest nieznanem?
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dlatego jest szatanem.

Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

Przysłowia:

Czerwiec po deszczowym maju,
Często dżdżysty w naszym kraju.
Deszczu, gdy nie pada wiele,
Urodzaj się dobry ściele.
Gdy się Medard rozpłacze, a Jaś nie utuli,
Popłacze pewnie aż do Urszuli.
Deszcz na Wita,
Źle z jęczmiony, źle na żyta.
A gdy jeszcze Chrzciciel skropi,
Już ich wtedy nikt nie skopi.
Pogoda na Wita,
To dobrze na żyta.

ZAPISKI

LIPIEC

poświęcony Przenajdr. Krwi Pana Jezusa.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego.
26. Ewangelja u św. Mar. Roz. 8. 1—3: O cudownem nakarmieniu 4000 ludzi.				
1	N	**6 po Z. Św.** Przenajdr. Kr. P. J.	18	**5 po Z. D. Św.** Leontyja
2	P	Nawiedzenie NMP., Ottona	19	Judy Ap.
3	W	Anatola b., Ireneusza m.	20	Metodego
4	Ś	Teodora b., Flawjana b.	21	Juljana
5	C	Antoniego, Marji Zach.	22	Euzebjusza
6	P	Łucji m., Trankwilina k. m.	23	Agrypiny
7	S	Cyryla i Metodego, Panteny w.	24	**Nar. św. Jana Chrz.**
27. Ewangelja u św. Mat. Roz. 7. 15—21: O fałszywych prorokach.				
8	N	**7 po Z. Św.** Elżbiety król.	25	**6 po Z. D. Św.** Fewronji
9	P	Weroniki de Juljanis zak.	26	Dawida
10	W	7 Braci mm., Rufiny	27	Samsona
11	Ś	Piusa I. pap. m., Jana	28	Cyrusa i Jana
12	C	Jana Gwalberta op. Paul.	29	**Piotra i Pawła**
13	P	Anakleta pap. m., Serapjona m.	30	Sobór św. 12 Apostołów
14	S	Bonawentury DK., Justusa	1	**Lipiec.** Kosmy i Dam.
28. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 16. 1—9: O niesprawiedliwym włodarzu.				
15	N	**8 po Z. Św.** Henryka ces.	2	**7 po Z. D. Św.** P.K. Przecz. Bogar.
16	P	*MB. Szkaplerznej*	3	Jacentego
17	W	Aleksego, Generoza m.	4	Andrzeja Ap.
18	Ś	Bł. Szymona z Lipnicy	5	Cyryla i Metodego
19	C	Wincentego z Paulo	6	Atanazego
20	P	Bł. Czesława, Hieronima	7	Tomasza i Akakia
21	S	Praksedy pn., Daniela pror.	8	Prokopa
29. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 19. 41—47: O zburzeniu Jerozolimy.				
22	N	**9 po Z. Św.** Marji Magdaleny	9	**8 po Z. D. Św.** Pankracego
23	P	Apolinarego b. m.	10	Antoniego Piecz.
24	W	Kunegundy kr., Krystyny p. m.	11	Eufemji i Olgi
25	Ś	*Jakóba Ap.* Krzysztofora m.	12	Prokla i Hilarego
26	C	Anny matki NMP.	13	Sobór arch Gabrjela
27	P	Rudolfa Akw. i Tow. mm.	14	Akiły
28	S	Wiktora pap. m., Innocentego	15	Włodzimierza
30. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 18. 9—14: O faryzeuszu i celniku.				
29	N	**10 po Z. Św.** Marty pn.	16	**9 po Z. D. Św.** Antynohena
30	P	Rufina m., Abdena m.	17	Martyny
31	W	Ignacego Loyoli, Fabjusza m.	18	Emiljana

Pogoda według 100 letniego kalendarza.

1—5 ponuro i zimno; 6—10 pogodnie i ciepło; 11—15 deszcz; 17—29 po kilku dniach pogodnych znowu deszcz; 30—31 pogodnie.



Szkoda.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni,
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni...
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą.
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać.
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia;
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia!

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Deszcz w pierwszy dzień, lub drugiego,
Deszczu czterdziestodniowego
Przyczyną, skąd mokre żniwa
I potem czas drogi bywa.
W dzień Marji Nawiedzin, gdy deszczyk porosi,
Czterdzieści dni podobnych po sobie przynosi.
Jeśli deszcz na św. Eljasza,
To zgnoi się pasza.
Dzień św. Jakóba przed wschodem pogodny,
Że zapełnisz gumna, masz znak niezawodny.

ZAPISKI

SIERPIEŃ

poświęcony Niepokalanemu Sercu P. Marji.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	Ś	Piotra w okowach	19	Makryny
2	C	*NMP. Anielskiej*, Alfonsa	20	**Eljasza** pr.
3	P	Znalez. relik. św. Szczep.	21	Jana
4	S	Dominika, Aristarcha	22	Marji Magdaleny
31. Ewangelja u św. Mar. Roz. 7. 31—37: O głuchoniemym.				
5	N	**11 po Z. Św.** *NMP. Śnieżnej*	23	**10 po Z. D. Św.** Trofyma
6	P	*Przemienienie Pańskie*	24	Borysa, Hliba
7	W	Kajetana, Donata b. m.	25	Zaśn. św. Anny
8	Ś	Emiljana, Cyrjaka m.	26	Jermołaja
9	C	Jana Vianney, Romana m.	27	Pantaleona
10	P	Wawrzyńca m.	28	Prochora
11	S	Tiburcjusza, Zuzanny pn.	29	Kałynyka
32. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 10. 23—37: O miłosiernym Samarytaninie.				
12	N	**12 po Z. Św.** Klary pn.	30	**11 po Z. D. Św.** Syły i Syłuna
13	P	Hipolita i Kasjana	31	Eudokima
14	W	*Wig.* Euzebjusza b., Ursycyna	1	**Sierpień.** Podn. św. Krzyża
15	Ś	**Wniebowzięcie NMP.** Tarsyc.	2	Przenies ciała św. Stefana
16	C	Joachima, Diometa	3	Izaaka
17	P	Jacka w., Liberta i Tow. m.	4	7 Ojców z Efezu
18	S	Heleny ces., Agapita m.	5	Eusyngja
33. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 17. 11—19: O dziesięciu trędowatych.				
19	N	**13 po Z. Św.** Ludwika z Tul.	6	**12 po Z. D. Św. Przemien. P.**
20	P	Bernarda, Lucjusza, Filiberta	7	Demetja
21	W	Joanny Franciszki de Chantal	8	Emiljana
22	Ś	Tymoteusza m., Hipolita b. w.	9	Macieja Ap.
23	C	Filipa i Benicjusza	10	Wawrzyńca
24	P	*Bartłomieja Ap.*, Ptolom.	11	Eupła
25	S	Ludwika kr., Generj. m.	12	Fotja i Anikity
34. Ewangelja u św. Mat. Roz. 6. 24—33: O służeniu Bogu i mamonie.				
26	N	**14 po Z. Św.** *MB. Częstochow.*	13	**13 po Z. D. Św.** Maksyma
27	P	Józefa Kalasantego	14	Micheasza pr.
28	W	Augustyna DK., Herm. w.	15	**Zaśnięcie NMP.**
29	Ś	Ścięcie św. Jana Chrz., Sabiny	16	Przeniesienie obrazu P.
30	C	Róży Limańskiej, Gauden.	17	Mirona m.
31	P	Rajmunda w., Opata b. w.	18	Flora

Pogoda według 100 letniego kalendarza.

1—9 obfity deszcz; 19—15 po krótkiem wypogodzeniu znowu deszcz; 16—25 ciepło i sucho; w końcu miesiąca ponuro i deszczowno.



Bądź silnym!

. . . .

Bądź silnym! niech twe młodzieńcze ramiona
Podźwigną brzemię, uniesień twych godne...
Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy...
Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,
Póki choć jedno serce, prawdy głodne,
Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia;
Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
W ciszy własnego istnienia.

. . . .

Garstka szlachetnych, co przyszłość zdobywa,
Jest jako luźne, słoneczne ogniwa,
Które się w całość połączyć nie mogą...
I brak im może właśnie twego ducha,
By zamknąć kręgi wielkiego łańcucha,
A glob opaszą i w nową pchną drogę.

. . . .

Bądź silnym! ziemia pod stopą się chwieje..
Stać trzeba z męskiem wytrwaniem wśród burzy...
Ten, kto nieść będzie pochodnię nadziei
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim, — ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piękna czekała, —
Ten tylko imię „człowieka" wysłuży
W nieśmiertelności błękitach!

Marja Konopnicka.

Przysłowia:

Gdy z początku sierpnia spieka wszędzie,
Tedy długa zima będzie.
Jak widzisz plon na grzyby,
Takieć żyta bez pochyby.
Na Wawrzyniec pokazuje,
Jaka jesień następuje.
Pogoda na Wniebowzięcie,
Ciężkie ziarno wnet po sprzęcie.
Susza w św. Bartłomieja,
Mroźnej zimy jest nadzieja.

ZAPISKI

WRZESIEŃ

poświęcony ŚŚ. Aniołom.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	S	Idziego op., Bronisławy	19	Andrzeja
35. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 7. 11—16: O wskrzeszeniu młodzieńca w Naim.				
2	N	**15 po Z. Św.**, *MB. Pocieszenia*	20	**14 po Z. D. Św.** Samuela
3	P	Zenona m., Serafji pn. m.	21	Tadeusza Ap.
4	W	Rozalji m., Marcelege	22	Agatonika
5	S	Wawrzyńca, Wiktoryna b. m.	23	Łuppa m.
6	C	Zacharjasza pror.	24	Eutycha
7	P	Bł. Melchjora Grodzickiego	25	Bartłomieja
8	S	*Narodzenie NMP.*	26	Hadrjana
36. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 14. 1—11: Uzdrowienie opuchłego.				
9	N	**16 po Z. Św.** Piotra Klawera	27	**15 po Z. D. Św.** Pymena
10	P	Mikołaja z Tolentynu	28	Augusta, Mojżesza
11	W	Prota i Jacka mm.	29	**Ścięcie św. Jana**
12	S	*Najśw. Imienia MB.*	30	Aleksandra
13	C	Filipa m., Amata	31	Położ. poj. Przecz. Bogarodz.
14	P	*Podwyższenie Krzyża św.*	1	Wrzesień. Symeona
15	S	*MB. Bolesnej*, Nikodema	2	Mamanta
37. Ewangelja u św. Mat. Roz. 22. 34—46: O najprzedniejszem przykazaniu.				
16	N	**17 po Z. Św.** Korneljusza	3	**16 po Z. D. Św.** Antyma
17	P	Stygmaty ś. Franc. Seraf.	4	Wawyły
18	W	Józefa z Kupertynu	5	Zacharjasza
19	S	*Such.* Januarago b. m.	6	Cud św. Mich. męcz.
20	C	Eustachego m., Teopisty	7	Sozanta
21	P	*Such. Mateusza Ap. i ew.*	8	**Narodz. Przen. Dziewicy**
22	S	*Such.* Tomasza z Wilanowa	9	Joachima i Anny
38. Ewangelja u św. Mat. Roz. 9. 1—8: Uzdrowienie powietrzem ruszonego.				
23	N	**18 po Z. Św.** Tekli pn. m.	10	**17 po Z. D. Św.** Menodory
24	P	*NMP. od wykup. niewol.*	11	Teodory
25	W	Władysława z Gielniowa	12	Antonoma
26	S	Cyprjana i Justyny mm.	13	Korneljusza
27	C	Kosmy i Damjana	14	**Podwyższenie św. Krzyża**
28	P	Wacława kr., Silwina b.	15	Nikity
29	S	*Michała arch.*, Gaudelji m.	16	Eufamji
39. Ewangelja u św. Mat. Roz. 24. 2—14: O szacie godowej.				
30	N	**19 po Z. Św.** Hierom. DK.	17	**18 po Z. D. Św.** Zofji

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—12 piękna jesienna pogoda; 13—25 pochmurno, zimno i wilgotno; 25—30 słonecznie i ciepło.



Słonko.

Wędrowało sobie słonko
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — „Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje;
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą,
Promienistą błyskasz tęczą".

Słonko na to: — „Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach;

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną,
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale,
Trzeba naprzód iść i świecić.

Adam Asnyk.

Przysłowia:

We wrześniu na wschodzie gdy grzmot się odzywa,
Śmierć w ludziach swoje pod jesień ma żniwa.
W święty Idzi pogoda
To dla siewu wygoda.
Gdy św. Mateusz w śniegu przybieżał,
Będzie po pas całą zimę leżał.
Jeśli św. Michał deszczem nie usłuży,
Dobrą to i suchą wiosnę wróży.
Grzmot w dzień św. Michała
Da plon, że aż Bogu chwała.

ZAPISKI

PAŹDZIERNIK

poświęcony Królowej Różańca św.

ŚWIĘTA KATOLICKIE				
Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	P	Bł. Jana z Dukli, Remigjusza	18	Eumenja
2	W	Aniołów Stróżów	19	Trofima
3	S	Teresy od Dz. Jezus	20	Eustachego
4	C	Franciszka z Assyżu	21	Kondrata
5	P	Placyda i Tow. mm.	22	Foki
6	S	Brunona op., Emila	23	Poczęcie św. Jan Chrz.
40. Ewangelja u św. Jana Roz. 4. 46—53: O uzdrowieniu syna królewskiego.				
7	N	**20 po Z. Św.** *MB. Różańc.*	24	**19 po Z. D. Św.** Tekli m.
8	P	Brygidy, Symeona	25	Eufrozymy
9	W	Ludwika, Bertranda	26	Jana B
10	S	Franciszka Borgjasza	27	Kalistrata m.
11	C	*NMP. Matki Zbawiciela*	28	Charytona
12	P	Maksymiljana b.	29	Kirjaka
13	S	Edwarda kr., Kolomana	30	Grzegorza
41. Ewangelja u św. Mat. Roz. 18. 23—35: O niegodziwym słudze.				
14	N	**21 po Z. Św.** Kaliksta pap. m.	1	**Październik. 20 po Z. D. Św.**
15	P	Teresy pn., Jadwigi	2	Cyprjana
16	W	Gerarda Majelli	3	Djonizego
17	S	Małgorzaty Alacoque	4	Eroteja
18	C	*Łukasza ew.*	5	Charytymy m.
19	P	Piotra z Alkantary	6	Tomasza Ap.
20	S	Jana Kantego, Ireny p. m.	7	Sergjusza
42. Ewangelja u św. Mat. Roz. 22. 15—21: O monecie czynszowej.				
21	N	**20 po Z. Św.** Urszuli pn. m.	8	**21 po Z. D. Św.** Pelagji
22	P	Korduli pn.	9	Jakóba Ap.
23	W	Serwanda, Germana	10	Eulampjusza
24	S	Rafała arch., Proklusa b.	11	Filipa Ap.
25	C	Kryspina m.	12	Andronika
26	P	Ewarysta pap., Rogacjana	13	Karpa i Papjusza
27	S	Florencjusza, Sabiny	14	Nazareusza m.
43. Ewangelja u św. Mat. Roz. 9. 18—26: O córce Jaira.				
28	**N**	**23 po Z. Św. Chryst. Króla**	15	**22 po Z. D. Św.** Lucjana
29	P	Szymona i Tadeusza	16	Longina m.
30	W	Alfonsa Rodrigueza w.	17	Ozjasza
31	S	Wolfganga, Nemezjusza	18	Łukasza ew.

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—3 pięknie; od 5 do końca miesiąca zimno, pochmurno i deszcz, który w ostatnich dniach przechodzi w śnieg.



Siedzi ptak na drzewie...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;

Bo szukają dokoła,
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny,
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie —
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzec ich w śpiewie,
Lecz przestrogą pogardzą.

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Jeśli październik jest wietrzny i mroźny,
To nie będzie zato styczeń, luty groźny.

ZAPISKI

LISTOPAD

poświęcony duszom w czyśćcu cierpiącym.

ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	C	**Wszystkich Świętych**	19	Joela pror.
2	P	*Dzień zaduszny*, Wiktoryna	20	Artemjusza
3	S	Huberta b., Malachjasza b.	21	Hilarjona
44. Ewangelja u św. Mat. Roz 8, 23—27: O burzy na morzu.				
4	**N**	**24 po Z. Św.** Karola Bor. b. w.	22	**23 po Z. D. Św.** Aberjusza
5	P	Zacharjasza pror., Elżbiety	23	Jakóba Ap.
6	W	Leonarda pust.	24	Arety pn. m.
7	Ś	Bł. Antoniego Bal.	25	Marcjana
8	C	Gotfryda b., Klaudjusza	26	**Demetrjusza**
9	P	Teodora m., Oresta	27	Nestora
10	S	Andrzeja z Awelinu, Tryfona	28	Terencjusza
45. Ewangelja u św. Mat. 13. 24—30: O dobrem ziarnie i kąkolu.				
11	**N**	**25 po Z Św.** Marcina b.	29	**24 po Z. D. Św.** Anastazji
12	P	5 Braci Polaków	30	Zenobjusza
13	W	Stanisława Kostki, Dydaka	31	Stachjusza
14	Ś	Jozafata b. m.	1	**Listopad.** Kaliksta
15	C	Gertrudy, Leopolda	2	Akindyna
16	P	*MB. Ostrobramskiej*	3	Akcepsymy
17	S	Salomei król. pn., Grzegorza	4	Joannika
46. Ewangelja u św. Mat. Roz. 13. 31—35: O ziarnku gorczycy.				
18	**N**	**26 po Z Św.** Romana m.	5	**25 po Z. D. Św.** Helaktjona
19	P	Elżbiety kr., Poncjana pap. m.	6	Pawła w.
20	W	Feliksa, Walezego, Benig. b.	7	Łazarza
21	Ś	*Ofiarowanie NMP.*	8	**Michała Archanioła.**
22	C	Cecylji pn.	9	Onezyfora
23	P	Klemensa pap. m., Felicity	10	Erasta
24	S	Jana od Krzyża	11	Miny, Wiktora
47. Ewangelja u św. Mat. Roz. 24. 15—35: O wielkiem spustoszeniu.				
25	**N**	**27 po Z. Św.** Katarzyny pn. m.	12	**26 po Z. D. Św. Jozafata**
26	P	Jana Berch. Leonar. a Porto M.	13	Jana Złotoustego
27	W	Walerjana b., Wirgiljusza	14	Filipa Ap.
28	Ś	Zdzisławy, Rufina m.	15	Hurja, Samsona
29	C	Saturnina b. m.	16	Mateusza Ap.
30	P	*Andrzeja Ap.*	17	Grzegorza

Pogoda według 100-go kalendarza.

1—5 ponuro i słotno; 6—7 pogodnie; 9—18 deszcz ze śniegiem; po 19 ostry mróz i śnieżyce.



Na śniegu.

Bielą się pola, oj bielą,
Zasnęły krzewy i zioła,
Pod miękką śniegu pościelą.
Biała pustynia dokoła.

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
Drzew obnażone ramiona,
Sterczą z pod zaspy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,
W tym samym żałobnym stroju,
Wśród obumarłej natury,
Modli się pełen spokoju.

Więc drzewa odarte z liści,
Na jego ciemną koronę,
Patrzą się okiem zawiści,
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście,
Wy nagie, bezlistne gaje!
Przemija rozkosz i szczęście,
Boleść niezmierna zostaje.

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Na WW. Świętych jeśli ziemia skrzepła,
Cała zima będzie ciepła.
A jeśli słotno,
Będzie o drzewo markotno.
Około dnia WW. Świętych
Zimę poznasz z drzew naciętych.
Jeśli bowiem jodła sucha,
Nie bardzo trzeba kożucha.
Jeśli mokra, mroźna zima
Przez długie czasy potrzyma.
Buk im suchszy,
Suchsze mrozy,
Wilgotny, mokry, czas wróży.
Od tego, jaki dzień trzeci,
Podobny się marzec kleci.

ZAPISKI

GRUDZIEŃ

poświęcony Dzieciątku Jezus.

SWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	Dnia	według obrządku greckiego
1	S	Eligjusza, Natalji	18	Platona
48. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 21. 25–33: O znakach dnia sądnego.				
2	N	**1 Adw** Bibjanny pn., Pauliny	19	**27 po Z. D. Św.** Awadja
3	P	Franciszka Ksawerego	20	Prokta, Grzegorza
4	W	Barbary pn., Piotra Chryzol.	21	**Ofiarowanie NMP.**
5	S	Sabby op., Kryspiny m.	22	Filemona
6	C	Mikołaja b., Djonizy	23	Amfilocha
7	P	Ambrożego DK.	24	Katarzyny
8	S	**Niepokalane Poczęcie NMP.**	25	Klemensa m.
49. Ewangelja u św. Mat. Roz. 11. 2—10: O Janie Chrzcicielu w więzieniu.				
9	N	**2 Adw.** Leokadji pn. m.	26	**28 po Z. D. Św.** Alipjusza
10	P	*NMP. Loretańskiej,* Mel. pap.	27	Jakóba m.
11	W	Damazego m., Barbary m.	28	Stefana m.
12	S	Aleksandra m., Synezjusza m.	29	Paramona
13	C	Łucji pn., Autberta b.	30	Andrzeja Ap.
14	P	Spirydjona b., Nikazego	1	**Grudzień.** Nahuma pror.
15	S	Walerjana b., Maksymina w.	2	Abdakuma pror.
50. Ewangelja u św. Jana Roz. 1. 19—28: O świadectwie Jana Chrzc.				
16	N	**3 Adw.** Euzebjusza b. m.	3	**1 Adw.** Sofonjusza pror.
17	P	Łazarza b., Sturmjusza op.	4	Barbary
18	W	*Oczekiwanie NMP.*	5	Sabby
19	S	*Such.* Nemezjusza m., Adj. op.	6	**Mikołaja**
20	C	Teofila m., Filogona b.	7	Ambrożego
21	P	*Such Tomasza Ap.*	8	Patapjusza
22	S	*Such.* Zenona m., Demetrji	9	**Niepokalane Pocz. NMP.**
51. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 3. 1—6: O posłannictwie Jana Chrzciciela.				
23	N	**4 Adw.** Wiktorji pn. m.	10	**2 Adw.** Minasa, Hermogenesa
24	P	*Wig.* Adama i Ewy, Tarz. pn.	11	Daniela
25	W	**Nar. Pana N. J. Chr. Zbaw. św.**	12	Spirydjona
26	S	**Szczepana m.,** Marinusa m.	13	Eustrata
27	C	*Jana Ap. i ew.*	14	Tyrsa
28	P	Młodzianków, Teof. pn. m.	15	Eleuterjusza
29	S	Tomasza b. m., Daw. kr.	16	Aggeusza
52. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 2. 33—40: O Symeonie i Annie.				
30	N	**1 po B. Nar.** Eugenjusza b. w.	17	**3 Adw.** Daniela pror.
31	P	Sylwestra pap., Barbacj. k. w.	18	Sebastjana

Pogoda według 100-letniego kalendarza.

1—15 wielkie mrozy, od czasu do czasu śnieg; 16—23 śnieg i zimno; po 24 pogoda łagodna, deszcz.



W zimowej nocy.

Idzie z piosenką na ustach,
Przez śniegu zaspy zimowe,
I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa,
A wszędzie pustka wokoło,
On w swej samotnej wędrówce,
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,
Na cieniem pokryte drzewa,
I nie przerywa piosenek,
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

„Tyś mi nie straszną — o nocy!
Chociażeś mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś nazawsze
Nad światem panować chciała.

„Bo wiem, że musisz niedługo,
Przed słońcem uciec w otchłanie,
A dla tych, co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

„Ty mi nie zmrozisz — o zimno,
Serdecznych moich nadziei,
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

„Pomimo groźnej twej władzy.
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

Adam Asnyk.

Przysłowia:

Jaki czwarty — grudzień taki,
Stycznia — piąty czyni znaki,
Szósty — luty, siódmy — marzec.
I tak dalej liczy starzec.
W pierwszym tygodniu pogoda stała,
Będzie zima długo biała.
Gdy w Adwencie sadź na drzewach się pokazuje,
To rok urodzajny nam zwiastuje.
Mroźne Gody,
Wczesne wody,
A jak słota, późno błota.
Na Pasterkę po wodzie,
Alleluja po lodzie.

ZAPISKI

Kalendarzyk Marjański

wszystkich świąt i uroczystości Matki Boskiej w przeciągu całego roku.

W styczniu:

2. Objawienie się Matki Boskiej w Saragosie jeszcze za jej życia.
6. Gody w Kanie Galilejskiej, ostatnie słowa Marji zapisane w Ewangelji.
20. Objawienie się Matki Boskiej Alfonsowi Ratisbone w kościele rzymskim pod nazwą „Della Strata".
23. Zaślubiny Matki Boskiej.

W lutym:

Miesiąc luty cały poświęcony Najświętszej Pannie z Lourdes.

2. M. B. Gromnicznej: Ofiarowanie.
7. Powrót z Egiptu.
11. Najśw. Panny z Lourdes.
14. 2-gie objawienie się Najśw. Panny w Lourdes.
17. Ucieczka do Egiptu.
25. Wytryśnięcie cud. źródła w miejscu, gdzie N. P. się objawiła w Lourdes.

W marcu:

18. Objawienie się N. P. M. Miłosiernej.
25. Zwiastowanie N. M. P.
25. Pamiątka 16-go objawienia się N. P. M. w Lourdes i wypowiedzenie: „Jam jest Niepokalanie Poczęta".

Piątek przed niedzielą palmową: Matki Boskiej Bolesnej.

W kwietniu:

1. Najświętszej Panny Łaskawej.
24. Matki Boskiej Dobrej Rady.
29. Matki Łaski Bożej.

W maju:

1. N. P. Matki Dobrego Pasterza.
3. N. P. Królowej Korony Polskiej.
10. N. P. Matki Miłosierdzia.
10. 1-sze przeniesienie domku Najśw. Panny Łoretańskiej.
13. Królowej męczenników.
18. Koronacja M. B. Skępskiej.
22. Koronacja M. B. Chełmskiej Bolesnej.
24. Wspomożenie Wiernych.
31. Matki Boskiej Serca Jezusowego.

W czerwcu:

1. Ucieczka grzeszników.
4. M. B. w Łąkach.
5. M. B. Dobrej Straży.
9. M. B. Łaskawej.
12. M. B. „Della Strata".
27. M. B. Nieustającej pomocy.

W Lipcu:

9. Matki Boskiej „Cudu".
16. M. B. Szkaplerza Świętego.
17. Pokory Najświętszej Panny.

W sierpniu:

2. Matki Boskiej Anielskiej, czyli odpust Porciunkuli.
3. Koronacja Najśw. Panny z Lourdes.
5. M. B. Śnieżnej.
11. Objawienie się M. B. de Mercedes.
13. Zaśnięcie Najśw. Panny.
15. Wniebowzięcie Najśw. Panny.

W niedzielę po oktawie Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny, święto Niepokalanego Serca Marji.

25. Marja de Fabrino.

Najśw. Panny Uzdrowienie Chorych.

We wrześniu:

8. Narodzenie Najśw. Marji Panny.
12. Imienia Najśw. Marji Panny.
15. Matki Boskiej Bolesnej.
19. Matki Boskiej de la Salette, to jest objawienie M. B. w Salecie.
24. Najśw. Panny Okupu Niewolników.

W niedzielę po lub podczas oktawy św. Augustyna Pocieszenie M. B.

W październiku:

6. Królowej Pokoju.
7. Matki Boskiej Różańcowej (Zwycięskiej).
12. Matki Boskiej del Pilar. t. j. objawienie się na słupie czyli na pilarze.

2-ga niedziela października Macierzyństwa Najśw. Panny.

3-cia niedziela Czystości Najśw. Panny.

4-ta niedziela Opieki i Dobrej nadziei Najśw. Panny.

20. M. B. Przedziwnej (Mater admirabilis).

W listopadzie:

Niedziela w oktawie Wszystkich Świętych Najśw. Marji Panny Matki dusz czyśćcowych (Notre Dame du Suffrage).

21. Ofiar. N. M. P. w świątyni Jerozol-
27. M. B. Cudownego Medalika.

W grudniu:

8. Niepokal. Poczęcia Najśw. M. P.
10. M. B. Domku Loretańskiego.

Alfabetyczny wykaz Świętych Pańskich.

Adama 24 grudnia
Adolfa b. wyzn. 17 czerwca
— m. 27 czerwca
Agaty p. m. 5 lutego
Agnieszki p. m. 21 stycznia
Albina b. w. 1 marca
Albiny p. m. 16 grudnia
Aleksandra m. 12 grudnia
— b. w. 26 lutego
Aleksandry m. 20 marca
Aleksego Falk. w. 17 lutego
— w. 17 lipca
Alfonsa Lig. b. w. dK. 2 sierp.
— Rodr. w. 30 października
Alojzego Gonz. w. 21 czerwca
Ambrożego b. w. 7 grudnia
Amelji p. 10 lipca
Anastazego m. 22 stycznia
— p. w. 27 kwietnia
— w. 17 sierpnia
Anastazji m. 15 kwietnia
— m. 25 grudnia
— p. m. 28 października
Anatola b. w. 3 lipca
Anatolji p. m. 9 lipca
Andrzeja ap. 30 listopada
— Boboli m. 16 maja
— Kors. b. w. 4 lutego
— z Awel. w. 10 listopada
Anieli Merici p. 31 maja
Anny matki N. M. P. 26 lipca
Antoniego op. 17 stycznia
— z Padwy 13 czerwca
— Zacc. w. 5 lipca
Antonji m. 29 kwietnia
— m. 4 maja
Antoniny m. 1 marca
Anzelma b. dK. 21 kwietnia
Apolinarego b. m. 23 lipca
— m. 23 sierpnia
Apolonji p. m. 9 lutego
Apolonjusza m. 18 kwietnia
Atanazego b. w. dK. 2 maja
— kr. m. 20 listopada
Atanazji wdowy 14 sierpnia
Augustyna b. w. 28 maja
— b. w. dK. 28 sierpnia

Balbiny p. 31 marca
Barbary p. m. 4 grudnia
Barnaby ap. 11 czerwca
Bartłomieja ap. 24 sierpnia
Benedykta Polaka m. 12 listop.
— opata 21 marca
— Józ. Labre 16 kwietnia
Benedykty p. 6 maja
Bernarda op. dK. 20 sierpnia
Błażeja b. m. 3 lutego
Bogumiła m. 10 czerwca
Bogusława b. w. 22 maja
Bohdana m. 18 maja
— b. 2 listopada
Bohdany (Teodoty) m. 17 lipca
Bonawentury b. w. dK. 14 lipca
Bonifacego m. 14 maja
— b. m. 5 czerwca
Bronisławy p. 1 września
Brunona w. 6 października
Brygidy p. 1 lutego

Cecylji p. m. 22 listopada
Celestyna I. p. w. 6 kwietnia
Cyprjana b. m. 16 września
— m. 26 września
Cyryla b. w. dK. 9 lutego
— Jeroz. b. w. dK. 18 marca
— b. w. ap. słow. 7 lipca
Czesława w. Polaka 20 lipca

Damazego p. w. 11 grudnia
Damjana m. 17 września
Dezyderjusza b. m. 23 maja
Dominika w. 4 sierpnia
Dominiki p. m. 6 lipca
Doroty p. m. 6 lutego
Dionizego b. w. 8 kwietnia
— p. w. 26 grudnia

Edmunda b. w. 16 listopada
Edwarda kr. w. 13 października
Efrema diak. 18 czerwca
Eleonory p. 21 lutego
Elżbiety kr. 8 lipca
— matki św. Jana 5 listopada
— wdowy 19 listopada
Emila m. 22 maja
— diak. m. 15 września
— m. 6 października
Emiljana m. 8 lutego
— b. m. 8 sierpnia
— w. 11 października
— kapł. w. 12 listopada
— m. 6 grudnia
Emiljany p. 5 stycznia
Erazma b. m. 2 czerwca
Ernesta op. 12 stycznia
Eugenji p. m. 25 grudnia
Eugenjusza b. m. 4 marca
— b. m. 2 maja
— m. 4 stycznia
— b. w. 1 listopada
Eustachego b. w. 16 lipca
— b. m. 20 września
— w. 12 października
Ewarysta p. m. 26 października
Ewy 24 grudnia

Fabjana p. m. 20 stycznia
Felicjana m. 9 czerwca
Feliksa b. w. 14 lipca
— b. w 19 lipca
— m. 14 stycznia
— p. m. 30 maja
— w. 20 listopada
Ferdynanda III. kr. w. 30 maja
Filipa apost. 1 maja
— w. 23 sierpnia
Filipiny m. 20 września
Filomeny p. 5 lipca
Florentyny p. 20 czerwca
Florjana m. 4 maja
Franciszka S. b. w. dK. 29 stycz.
— w 2 kwietnia
— Hier. w. 11 maja
— Kar. w. 4 czerwca
— Sol. w. 14 lipca
— Ser. w. 4 października
— Borg. w. 10 października
— Ksaw. 3 grudnia
Franciszki Rzym. wd. 9 marca

Gabrjela arch. 18 marca
Gaspara kr. 3 stycznia
Genowefy p. 3 stycznia
Gerarda b. m. 24 września
— Maj. w. 16 października
Gertrudy p. 15 listopada
Gerwazego m. 19 czerwca
Grzegorza N. w. 9 marca
— W. p w. dK. 12 marca
— Naz. b. w. dK 9 maja
— VII. p. w. 25 maja
— cudotw. 17 listopada

Heleny p. 22 maja
— ces. wdowy 18 sierpnia
Heliodora b. w. 3 lipca
Henryka b. m. 19 stycznia
— ces. w. 15 lipca
Hiacynty p. m. 30 stycznia
Hieronima E. w. 20 lipca
— w. dK. 30 września
Hilarego b. w. dK. 12 stycznia
Hilarji m. 12 sierpnia
Hipolita w. 2 grudnia
Honorata b. w. 3 lutego
Honoraty p. 11 stycznia
Huberta b. w. 3 listopada
Hugona b. w. 1 kwietnia
— w. 17 litstopada
— op. 29 kwietnia

Idziego op. 1 września
Ignacego b. m. 1 lutego
— Loj. w. 31 lipca
Ildefonsa b. w. 23 stycznia
Imienia Marji 12 września
Innocentego I. p. w. 28 lipca
Ireneusza b. m. 25 marca
— b. m. 28 marca
Ireny p. m. 20 października
— m. 5 kwietnia
Iwona kapł w. 10 maja
Izydora b. w. dK. 4 kwietnia
— rolnika w. 10 maja
— op. 14 grudnia

Jacka m. 10 lutego
— w. 17 sierpnia
Jadwigi księżn. wd. 15 paźdz.
Jakóba młod. ap. 1 maja
— star. ap. 25 lipca
— Strepy b. w. 1 czerwca
Jana Dobr. 10 stycznia
— Chryzostoma 27 stycznia
— z Maty 8 lutego
— Bożego w. 8 marca

Jana Dam. w. dK. 27 marca
— ap. w oleju 6 maja
— Milcz. w. 13 maja
— Salle w. 15 maja
— Nep. m. 16 maja
— Reg. w. 16 czerwca
— Chrzciciela 24 czerwca
— Gwalb. opata 12 lipca
— z Dukli w. 1 października
— Kantego w. 20 października
— od Krzyża w. 24 listopada
— Berch. w. 26 listopada
— ap. i ew. 27 grudnia
Jerzego m. 23 kwietnia
Joachima ojca N. M. P. 16 sierp.
Joanny 24 maja
— Fr. d. Ch. wd. 21 sierpnia
Józefa Obl. N. M. P. 19 marca
— Kal. w. 27 sierpnia
— z Kup. w. 18 września
Jozafata bisk. m. 14 listopada
Juljana m. 7 stycznia
— b. w. 28 stycznia
— m. 12 lutego
— m. 9 sierpnia
— m. 2 września
— w. 9 czerwca
— pust. 18 października
Juljanny p. m. 15 lutego
— m. 17 sierpnia
— Falk. p. 29 czerwca
— wd. 7 lutego
Julji m. 1 października
— p. m. 22 maja
— p. m. 10 grudnia
Juljusza m. 19 sierpnia
— m. 20 grudnia
Justyny m. 26 września
— p. m. 30 listopada
Kajetana w. 7 sierpnia
Kaliksta p. m. 14 października
Kamila Lell. w. 18 lipca
Karola Bor. b. w. 4 listopada
Katarzyny R. p. 2 lutego
— Bon. 9 marca
— Szw. 22 marca
— Sen. p. 30 kwietnia
— p. m. 25 listopada
Kazimierza kr. w. 4 marca
Klary p. 12 sierpnia
— p. 18 sierpnia
Klaudji m. 20 marca
Klemensa Dw. w. 15 marca
— p. m. 23 listopada
Konrada w. 19 lutego
— b. w. 26 listopada
Konstancji m. 19 września
Konstantego b. m. 29 stycznia
Korduli p. m. 22 października
Kornelji m. 31 marca
Kosmy m. 27 września
Kryspiny m. 5 grudnia
Krystyny p. m. 24 lipca
Krzysztofa m. 20 kwietnia
Kunegundy ces. p. 3 marca
— księżny p. 24 lipca
Leokadji p. m. 9 grudnia
Leona b. w. 20 lutego
Leona p. w. dK. 11 kwietnia
— p. w. 28 czerwca
Leonarda w. 6 listopada
— w 26 listopada
Leony m. 15 czerwca
Leopolda w. 15 listopada
Longina żołn. 15 marca
Lucjana m. 7 stycznia
Ludwika kr. w. 25 sierpnia
— Bert. w. 9 października
Ludwiki wdowy 31 stycznia

Łucji p. m. 25 czerwca
— p. m 13 grudnia
Łukasza ewang. 18 paźdz.

Macieja apost. 24 lutego
Maksyma b. m. 18 czerwca
— b. w. 8 stycznia
— b. w. 27 grudnia
Maksymiljana b. m. 12 paźdz.
Małgorzaty z Kort. 22 lutego
— król. wd. 10 czerwca
— p. m. 20 lipca
— Alac. p. 17 października
Marcela p. m. 16 stycznia
— m. ?0 października
— b. w. 1 listopada
Marceli m. 28 czerwca
— wd. 21 stycznia
Marcelina p. m. 26 kwietnia
— kapł. w. 4 lipca
Marcina b. w. 11 listopada
— p. m. 12 listopada
Marka ewang. 25 kwietnia
— m. 18 czerwca
— p. w. 7 października
Marty m. 19 stycznia
— p. m. 23 lutego
— p. 29 lipca
Marjana diak. 17 stycznia
— w 19 sierpnia
Marji N. P. Zaśl. 23 stycznia
— Oczyszcz. 2 lutego
— Objaw. w. L. 11 lutego
— 7 Bol. 23 marca i 15 wrześ.
— Zwiastow. 25 marca
— Dobr. Rady 26 kwietnia
— Król. Kor. Pol. 3 maja
— Pośr. Łask 31 maja
— Wspom. wiern. 24 maja
— N. Pomocy 27 czerwca
— Nawiedz. 2 lipca
— Szkapl. 16 lipca
— Anielskiej 2 sierpnia
— Śnieżnej 5 sierpnia
— Wniebowz. 15 sierpnia
— Jasnog. 26 sierpnia
— Narodz. 8 września
— Wykupu 24 września
— Różańcowej 1 paźdz.
— Opieki 16 listopada
— Ofiarowania 21 listopada
— Niep. Pocz. 8 grudnia
— Loretańskiej 10 grudnia
Marji egipc. 2 kwietnia
— Kleof. 8 kwietnia
— Magd. de Pazz. 29 maja
— Magd. 22 lipca
Marjusza m. 19 stycznia
Mateusza ap. ew. 21 września
Matyldy kr. wd. 14 marca
Maurycego m. 22 września
Medarda b. w. 8 czerwca
Melanji zak. 31 grudnia
Melchjora kr. 6 stycznia
— m. 7 września
Metodego ap. Słow. 6 lipca
Michała Arch. 29 września
Mikołaja b. w. 6 grudnia
— z Tol. w. 10 września
Moniki wd. 4 maja

Nar. św. Jana Chrz. 24 czerwca
Natalji małż. 1 grudnia
Nawr. św. Pawła ap. 25 stycznia
— św. Augustyna 5 maja
Norberta b. w. 6 czerwca

Onufrego pust. 12 czerwca
Oskara b. w. 3 lutego
Ottona bamb. b. w. 2 lipca
Otylji p. 13 grudnia

Pafnucego m. 19 kwietnia
Pankracego m. 12 maja
Paschalisa w. 17 maja
Paulina b. m. 31 sierpnia
— b. w. z Noli 22 czerwca
Pauliny m. 6 czerwca
Pawła I. pust. 15 stycznia
— apost. 29 czerwca
— od Krzyża w. 28 kwietnia
Pelagji m. 22 marca
— p. m. 4 maja
— pok. 8 października
Piotra ks. ap. 29 czerwca
— w okowach 1 sierpnia
— m. 29 kwietnia
— Nolasko w. 31 stycznia
— Dam. b. w. dK. 23 lutego
— Klaw. w. 9 września
— z Alk. w. 19 października
— Złotoust. 4 grudnia
Polikarpa b. m. 26 stycznia
Prokopa m. 8 lipca

Rafała arch. 14 października
Rajmunda w. 31 sierpnia
Reginy p. m. 7 września
Roberta w. 17 kwietnia
— Belarmina b. w. 13 maja
— op. 7 czerwca
Rocha w. 16 sierpnia
Romana m. 9 sierpnia
— b. w. 6 października
— op. 28 lutego
— m. 28 listopada
Romualda op. 7 lutego
Rozalji p. 4 września
Róży lim. p. 30 sierpnia
— witerb. p. 4 września
Ryszarda kr. w. 7 lutego
— b. w. 3 kwietnia

Sabiny m. 27 października
Sadoka m. z tow. 2 czerwca

Salomei księż. p. 17 listopada
Samuela pror. 20 sierpnia
Scholastyki p. 10 lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 sierpnia
Sebastjana m. 20 stycznia
Serafina w. 12 października
Serwacego b. w. 13 maja
Sewera m. 8 listopada
— b. w. 30 kwietnia
Seweryna op. i b. 8 stycznia
— b. w. 23 października
Stanisława b. i m. 8 maja
— Kostki 13 listopada
Stefana kr. w. 2 września
— 1-go m. 26 grudnia
Sylwestra op. 26 listopada
— I. p. w. 31 grudnia
Szymona ap. 28 października
— Tryd. 24 marca
— z Lipn. w. 18 lipca
— pust. 26 lipca
— Słupn. w. 3 września

Tadeusza ap. 28 października
Tekli p. m. 28 września
— ksieni 15 października
Telesfora p. m. 5 stycznia
Teodora b. m. 26 marca
— m. 7 lutego
— żołnierza 9 listopada
— Stud. w. 12 listopada
Teodory pokut. 11 września
Teodozjusza b. w. 17 lipca
Teofila (Bogumiła) b. m 7 marca
— m. 22 lipca
Teofila m. 2 października
— b. w. antjoch. 13 października
— żołn. 20 grudnia
— b. w. 27 kwietnia
Teofili p. m. 28 grudnia
Teotyma (Bogusława) m. 18 grudnia
Teresy p. 15 października
— od Dz. J. 3 października
Tomasza ap. 21 grudnia
— z Akw. w. dK. 7 marca
— b. 22 września
— b. m. 29 grudnia
Tymoteusza b. m. 24 stycznia
— m. 24 marca
Tytusa b. w. 6 lutego

Urbana b. 2 kwietnia
— m. 16 kwietnia
— p. m. 25 maja
— p. w. 29 grudnia
Ursyna b. w. 9 listopada
Urszuli p. m. 21 października

Wacława kr. m 28 września
Walentego kapł. m. 14 lutego
— bisk. m. 14 lutego
Walentyny p. m. 25 lipca
Walerego b. w. 28 stycznia
Walerjana m. 14 kwietnia
— b. w. 15 grudnia
Walerji m. 28 kwietnia
— p. m. 9 grudnia
Wawrzyńca arch. m. 10 sierp.
— b. w. 5 września
— w. 22 lipca
Weroniki p. 13 stycznia
Weroniki Jul. ksieni p. 9 lipca
Wiktora m. 25 lutego
— w. 26 lutego
— m. ż. 21 lipca
— p. m. 28 lipca
— b. w. 23 sierpnia
— p. m. 23 gurdnia
Wiktorji m. 17 listopada
Wilhelma b. w. 10 stycznia
— op. 6 kwietnia
— b. w. 29 lipca
— op. 25 czerwca
Wincentego m. 22 stycznia
— Fer. w. 5 kwietnia
— à Paulo w. 19 lipca
— Kadł. b. w. 8 marca
Wita m. 15 czerwca
Witalisa m. 9 stycznia
— m. 28 kwietnia
Władysława kr. węg. 27 czerwca
Włodzimierza w. 15 lub 4 lipca
Wojciecha arc. i m. 23 kwietnia

Zacharjasza pr. 6 września
— oj. św. Jana 5 listopada
Zenona m. 14 lutego
— żołn. m. 9 lipca
— m. 5 kwietnia
— b. m. 12 kwietnia
— b. w. 8 grudnia
Znal. św. Stefana 1 m. 8 sierpn.
Zofji p. m. 30 kwietnia
— (15 maja)
Zofji wd. m. i 3 córek 30 wrześ.
Zuzanny p. m. 11 sierpnia
Zygmunta kr. 2 maja
Zyty p. 27 kwietnia

Święci i błogosławieni Patronowie Polscy.

Bł. Andrzej Bobola m. Jez. — 6 maja.
Św. Benedykt, m. Kameduła pustelnik — 12 listopada.
Św. Benedykt, pustelnik — 16 lipca.
Św. Bogumił, arcyb. pust. — 10 czerw.
Bł. Bronisława Norbertanka — 3 wrz.
Św. Cyryl, biskup — 9 marca.
Bł. Czesław, Dominik. — 20 lipca.
Św. Chrystjan, m. Kameduła pust. — 12 lstopada.
Św. Florjan m. — 4 maja.
Św. Izaak, m. Kameduła pust. — 12 list.
Św. Jacek w., Dominikanin — 17 sierp.
Bł. Jakób Strzemię w., arcypiskup lwowski — 1 czerwca.
Św. Jan, m. Kameduła pust.— 12 listop.
Św. Jadwiga, Księżna Śląska, Cysterka — 17 października.
Św. Jan Kanty w., kapł. i prof. Uniw. Jagiell. — 20 października.
Bł. Jan z Dukli w., Bernardyn — pierw. niedz. po św. Piotrze i Pawle.
Bł. Jan Sarkander w. — 5 marca.
Św. Jędrzej Żóraw. w. — 16 lipca.
Bł. Jolanta Klarys. — 16 czerwca.
Św. Jozafat Kunc. m., Bazyljan., arcb. połocki — 14 listopada.
Św. Kazimierz w., Król. — 4 marca.
Św. Klemens Dw. w., Redem. — 15 marc.
Bł. Kunegunda Klarys. — 14 listop.
Św. Mateusz m., Kam. pust. — 12 list.
Bł. Melchjor Grodz. m. Jez. — 7 wrz.
Św. Metody w., bisk. — 9 marca.
Bł. Sadok z tow. m. Dominik. — 2 czer.
Bł. Salomea Król., Klaryska — 17 list.
Św. Stanisław m., biskup — 8 maja.
Św. Stan. Kostka w., Jez. — 13 list.
Bł. Szymon z Lipnicy w., Bern. 18 lipca.
Św. Wacław — 28 września.
Bł. Wincenty Kadłubek w., biskup, Cysters 8 marca.
Bł. Władysław z Gielniowa w., Bernardyn — 25 września.
Św. Wojciech m., bisk., Bened. — 23 kw.

Oprócz wymienionych posiada Polska liczny poczet świątobliwych mężów i niewiast, którzy zmarli w opinji świętości. Do nich należą: Iwo Odrowąż, biskup krakowski a stryj św. Jacka, bł. Czesława i bł. Bronisławy, — Stanisław Kaźmierczyk — Izajasz Boner — Michał Gedrojć — Świętosław ze Sławkowa, których ciała mieści starożytny gród wawelski. Do takich należą pozatem królowa Jadwiga, Matka Teresa Marchocka, Karmelitanka, — O. Wojciech Męciński T. J. męczennik — O. Stanisław Papczyński, założyciel Marjanów białych, — O. Kazimierz Wyszyński, Marjanin, — O. Fabjan Maliszewski, Dominikanin, — O. Rafał Chyliński, Franciszkanin; — z nowszych czasów: Bochdan Jański, założyciel Zmartwychwstańców, — Wanda Malczewska, — książe August Czartoryski, Salezjanin, — O. Rafał Kalinowski, karmelita bosy, — O. Bronisław Markiewicz, założyciel Zgromadzenia św. Michała Arch. i wielki opiekun sierót, — M. Franciszka Siedliska i wiele innych.

ŚWIĘTA ŻYDOWSKIE.

Rok 5694.

święto Paschy	31 marca
" "	1 kwietnia
" "	6 kwietnia
" "	7 kwietnia
Zielone Święta	20 i 21 maja

Rok 5695.

Nowy Rok	10 września
2 święto N. Roku	11 "
Święto Pojed. (Sądny Dzień)	19 wrześ.
1. święto Kuczek	1 października.
Radość z Prawa	2 "

ZAĆMIENIA W ROKU 1934.

W roku 1934 nastąpią 4 zaćmienia, mianowicie 2 zaćmienia słońca i 2 zaćmienia księżyca. W Polsce widoczne będzie tylko jedno z zaćmień księżyca.

I. Zaćmienie częściowe księżyca dnia 30 stycznia 1934 r. widoczne w Polsce.

Czas środk.-europ.

Wejście księżyca w półcień godz. 15 min. 7.5

Wejście księżyca w cień godz. 17 min. 1.0

Środek zaćmienia godz. 17 min. 42.6

Wyjście księżyca z cienia godz. 18 min. 24.2

Wyjście księżyca z półcienia godz. 20 min. 16.9

Wielkość zaćmienia 0.12 (w częściach średnicy księżyca).

II. Całkowite zaćmienie słońca 13—14 lutego 1934 r. niewidoczne w Polsce.

Obszar widzialności obejmuje wschodnie wybrzeże Azji, Japonję, zachodni skrawek Ameryki półn., Australję i północne wody Oceanu Spokojnego.

III. Zaćmienie częściowe księżyca dnia 26 lipca niewidoczne w Polsce.

IV. Obrączkowe zaćmienie słońca dnia 10 sierpnia w Polsce niewidoczne.

Widoczne w południowej części Afryki, w zachodnich częściach Oceanu Indyjskiego i na Oceanie Lodowatym południowym.

ZIEMIA.

Promień ziemi na równiku — 6377,4 km., na biagunie — 6356,1 km. **Objętość** ziemi — 1.082.841.000.000 km. **Powierzchnia** ziemi — 509.950.714 km. kwadratowych.

Długość **równika** — 44.070 km., długość **południka** — 40.003 km., stopień **południka** — 111.121 km., dług. **zwrotnika** 36.778 km., dług. koła **polarnego** — 15.996 km.

Szybkość obrotu ziemi na równiku wynosi 455 m. na sekundę, na szerokości 30° — 403 m., 50° — 300 m., 60° — 234 m., 80° — 91 m.

Szybkość biegu dokoła słońca wynosi 29.763 m. na sekundę, tor ziemi (ekliptyka) — 986.250.000 km., (Z kal. „Iskier" 1932 r.).

Rok 1934 ery chrześcijańskiej

jest rokiem zwyczajnym mającym 365 dni. Odpowiada r. 5694—5695 wedle rachuby żydowskiej (N. Rok u żydów 10 września).

TABELA SWIĄT RUCHOMYCH W LATACH 1934—1944.

Rok	Popielec	Wielkanoc	Wniebowstąpienie Pańskie	Zesłanie Ducha Świętego	Boże Ciało	Niedziela 1-sza Adwentu
1934	14 lutego	1 kwietnia	10 maja	20 maja	31 maja	2 grudnia
1935	6 marca	21 kwietnia	30 maja	9 czer.	20 czerwca	1 grudnia
1936	26 lutego	12 kwietnia	21 maja	31 maja	11 czerwca	29 listopada
1937	10 lutego	28 marca	6 maja	16 maja	27 maja	28 listopada
1938	2 marca	17 kwietnia	26 maja	5 czer.	16 czerwca	27 listopada
1939	22 lutego	9 kwietnia	18 maja	28 maja	8 czerwca	3 grudnia
1940	7 lutego	24 marca	2 maja	12 maja	23 maja	1 grudnia
1941	25 lutego	13 kwietnia	22 maja	1 czer.	12 czerwca	30 listopada
1942	18 lutego	5 kwietnia	14 maja	24 maja	4 czerwca	29 listopada
1943	10 marca	25 kwietnia	3 czer.	13 czer.	24 czerwca	28 listopada
1944	22 lutego	9 kwietnia	18 maja	28 maja	8 czerwca	3 grudnia

DNI ŚWIĄTECZNE.

We wszystkie niedziele oraz dni: Nowego Roku, Trzech Króli, Wniebowstąpienia P., Bożego Ciała, śś. Ap. Piotra i Pawła, Wniebowzięcia N. M. P. Wszystkich Świętych, Niepokalanego Poczęcia N. M. P. i Bożego Narodzenia wszyscy obowiązani są pod grzechem ciężkim, jeśli nie mają ważnej, usprawiedliwiającej przeszkody, wysłuchać całej Mszy św. i wstrzymać się od prac służebnych. W inne dnie, chociażby uroczyste nabożeństwa odbywały się w kościołach, Kościół obowiązku tego nie nakłada.

DNI POSTNE.

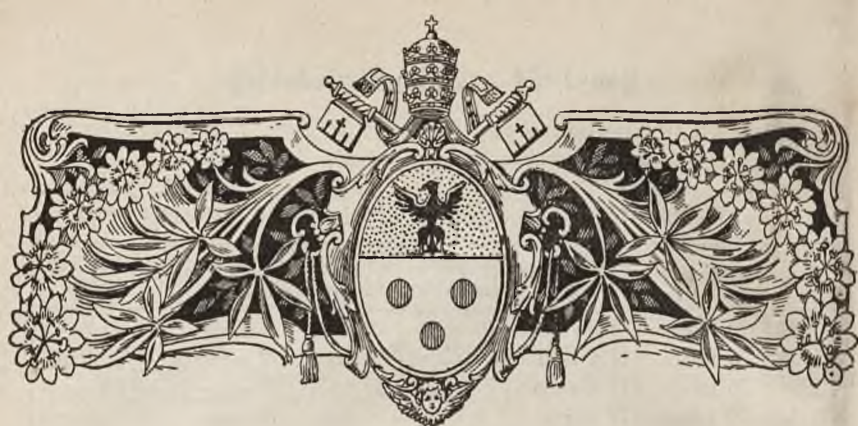
W piątki i soboty Wielkiego Postu, w Suche dni i wigilje Zielonych Świąt, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych i Bożego Narodzenia, obowiązuje post ścisły oraz wstrzymanie się od potraw mięsnych. (W Wielką Sobotę od 12 godz. niema już żadnego postu) We wszystkie inne dni Wielkiego Postu, prócz niedziel, obowiązuje tylko post ścisły.

We wszystkie piątki całego roku (prócz wyżej wymienionych) obowiązuje tylko wstrzymanie się od potraw mięsnych.

Za potrawy mięsne uważa się tylko rosół i mięso. Wszystkie przyprawy i omasty, choćby pochodziły ze zwierząt, zawsze są dozwolone, więc nietylko masło i jaja, ale też i sadło, słonina (jako przyprawa), smalec i t. p. mogą być używane we wszystkie postne dni całego roku, również ryb wolno używać zawsze, nawet jeżeli w dni postne używa się potraw mięsnych. Uroczyste święta poza Wielkim Postem znoszą obowiązek postu i wstrzymania się od mięsa w dniu, na który przypadają. Również we wigilje z postem, jeśli wypadną na niedzielę, niema obowiązku poszczenia ani w niedzielę, ani w poprzednią sobotę.

CZASY ZAKAZANE.

W czasie od 1 Niedzieli Adwentu do Bożego Narodz. włącznie i od Środy popielcowej do Niedzieli Wielkan. włącznie zabaw weselnych wyprawiać nie wolno.



Hierarchja Kościoła Katolickiego

na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej.

Najwyższy Pasterz Kościoła:

Jego Świątobliwość

OJCIEC ŚW. PIUS XI PAPIEŻ

(przedtem kard. Achilles Ratti, były Nuncjusz Ap. w Polsce), ur. 1857, obrany papieżem 6 lutego i koronowany 11 lutego 1922 r.

Nuncjusz Apostolski w Polsce

Mgr. Franciszek Marmaggi

arcybiskup

METROPOLJA GNIEŹNIEŃSKO-POZNAŃSKA:

Archidiecezja gnieźnieńsko-poznańska.

Arcybiskup-Prymas Polski: JEm. Kard. Dr. August Hlond.
Biskup-sufragan gnieź.: Antoni Laubitz.
Biskup-sufr. pozn.: Walenty Dymek.

Diecezja włocławska.

Biskup-Ord.: Karol Radoński.
Biskup sufr.: Walenty Owczarek.

Diecezja chełmińska.

Biskup-Ord.: Stanisław Okoniewski.
Biskup-sufr.: Konstanty Dominik.

METROPOLJA WARSZAWSKA:

Archidiecezja warszawska.

Arcybiskup-metropolita: JEm. Kard. Aleks. Kakowski.
Biskup-sufr.: Antoni Szlagowski.

Diecezja płocka.

Biskup-Ord.: Antoni Jul. Nowowiejski.
Biskup-sufr.: Leon Wetmański.

Diecezja sandomierska.

Biskup-Ord.: Włodzimierz Jasiński.
Biskup-sufr.: Paweł Kubicki.

Diecezja lubelska.

Biskup-Ord.: Marjan Leon Fulman.
Biskup-sufr.: Adolf Józef Jełowicki.

Diecezja podlaska.

Biskup-Ord.: Henryk Przeździecki.
Biskup-sufr.: Czesław Sokołowski.

Diecezja łódzka.

Biskup-Ord.: Wincenty Tymieniecki.
Biskup-sufr.: Kazimierz Tomczak.

METROPOLJA LWOWSKA:

Archidiecezja lwowska.

Arcyb. metrop.: Bolesław Twardowski.
Biskup-sufragan: vacat.

Diecezja przemyska.

Biskup-Ordynarjusz: vacat.
Biskup-sufr.: Franciszek Barda.

Diecezja łucka.

Biskup-Ord.: Adolf Piotr Szelążek.
Biskup-sufr.: Stefan Walczykiewicz.

METROPOLJA KRAKOWSKA:

Archidiecezja krakowska.

Książę-metrop.: Adam Stefan Sapieha.
Biskup-sufr.: Stanisław Rospond.

Diecezja kielecka.

Biskup-Ord.: Augustyn Łosiński.

Diecezja tarnowska.

Biskup-Ord.: Franciszek Lisowski.
Biskup-sufr.: Edward Komar.

Diecezja częstochowska.

Biskup-Ord.: Teodor Kubina.

Diecezja katowicka.

Biskup-Ord.: Stanisław Adamski.

METROPOLJA WILEŃSKA:

Archidiecezja wileńska.

Arcyb. metr: Romuald Jałbrzykowski.
Biskup-sufr.: Kazim. Michalkiewicz.

Diecezja łomżyńska.

Biskup-Ord.: St. Kostka Łukomski.
Biskup-sufr.: Bernard Dembek.

Diecezja pińska.

Biskup-Ord: Kazimierz Bukraba.
Biskup-sufr. Kazimierz Niemira.

Biskup polowy:

Józef Gawlina.

WOLNE MIASTO GDAŃSK:

Biskup-Ord.: Edward O'Rourke.

W Ameryce polscy Ks. Biskupi:

W diecezji Green Bay: Paweł Rhode.
Biskup-sufr. Detroit: Józef Plagens.
W diecezji Grand Island: Stanisław Bona.

Najprzewielebniejsi Ks. Biskupi Polacy, nieposiadający diecezji:

Metropolita mohylewski: Edward Ropp (mieszka w Warszawie).

Były biskup-sufragan łucki, Michał Godlewski, obecnie prof. U. J.

Były biskup łucko-żytomierski, Ignacy Dubowski, (mieszka w Rzymie).

Apostolski wizytator ob. wschodniego: Ks. Biskup Mikołaj Czarnecki.

Były biskup Kanadyjski, obrz. gr.-kat. Ks. Budka (mieszka we Lwowie).

Najprzewielebniejsi Ks. Biskupi innych katolickich obrządków w Polsce:

Archidiecezja lwowska obrz. gr.-kat.

Arcybiskup-metropolita: Andrzej Szeptycki.
Biskup-sufragan: Jan Buczko.

Diecezja przemyska obrz. gr.-kat.

Biskup-Ord.: Józef Kocyłowski.
Biskup-sufragan: Grzegorz Łakota.

Diecezja stanisławowska obrz. gr.-kat,

Biskup-Ord.: Grzegorz Chomyszyn.
Biskup-sufr.: Jan Latyszewski.

Diecezja lwowska obrz. ormiańsko-kat.

Arcybiskup: Józef Teodorowicz.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Za pośrednictwem usłużnego gońca, który po raz dziesiąty wstępuje w wasze progi, składamy Wam, Szlachetni Czytelnicy, pozdrowienia i najszczersze życzenia Błogosławieństwa Bożego na nowy rok życia, trudów i walk. A zarazem i ten dziesiąty rocznik Kalendarza Królowej Korony Polskiej a przezeń i nasze Zakłady polecamy Waszej życzliwej pamięci.

Życzeniem naszem jest, aby ten kalendarz jednoczył nas we wspólnej pracy i wspólnem umiłowaniu. A tej pracy program konkretny, nie pozostawiający żadnych niejasności w ujęciu ścisłego kierunku i metod postępowania, pozostawił nam nasz wielki Założyciel X. Bronisław Markiewicz. I wierzymy, że On, jak i za życia swego, chociaż skromny i ubogi, potrafił do swej idei zachęcić tysiące i przy ich pomocy dokonać dzieła wielkiego, i wiele trudności przełamać, tak i dzisiaj swoją przyczyną u Patronki Swej, Królowej Korony Polskiej uprosi, że resztę dzieła dokonamy i idea Jego zapanuje na chwałę Bożą i na pożytek i sławę Ojczyzny naszej.

W dziesiątym roczniku tego wydawnictwa godzi się rzucić okiem raz jeszcze na nasz program, aby stwierdzić jakim on jest i jaką drogą usiłujemy go wcielić w życie.

Hasłem naszem jest «Powściągliwość i Praca». Ale nie jest ono celem samo dla siebie, tak jak honor i męstwo nie jest jedynym celem służby żołnierskiej w wojnie czy w pokoju. Ale ta »Powściągliwość i Praca« to jakby regulamin naszej służby wewnętrznej, który nas jako bojowników idei przygotowuje do działań na większą skalę.

Zadaniem naszem jest wychowywać i kształcić sieroty i młodzież opuszczoną. To wykonujemy w Zakładach własnych, których obecnie w Polsce mamy 8. Pomiędzy hasłem a zadaniem jest ścisła i wyraźna harmonja przedmiotowa i formalna. Wychowujemy młodzież ubogą — wychowujemy ją w ubóstwie w warunkach takich, w jakich później będzie pędziła życie, tj. w pracy i w szczytnem zrozumieniu pięknej a tak potrzebnej cnoty powściągliwości.

Zadanie to jest ogromne i przerasta nasze siły, a właściwie obliczane jest na możność całego społeczeństwa, któremu oby podołało. Bo właściwe wypełnienie swoje znajduje ono w zupełnem opanowaniu kwestji socjalnej, w zajęciu się biednymi, opuszczonymi, sierotami, bezrobotnymi i wszystkimi potrzebującymi pomocy. Jest to wprowadzenie nowego czynnika do pracy państwowo-twórczej, czynnika miłosierdzia, a raczej miłości społecznej. Praca i Powściągliwość mają dać na to środki, usunąć różnice społeczne przez wewnętrzne urobienie społeczeństwa.

Cóż nas bowiem różni na świecie i dzieli na klasy i na partje. Lenistwo, chciwość dóbr, chęć użycia, samolubstwo, bezmyślność, słabość woli i nieczułość serca, zazdrość i nienawiść. Pracę traktuje się z nienawiścią, jako więzy hańbiące, jako wiosła galernika, a treść życia upatruje się w zaspokojeniu zmysłowych żądz. Na te choroby śmiertelne niema innego lekarstwa jak zamiłowanie pracy i powściągliwości.

One stosowane w czynie i w życiu otworzą nam oczy i serca na prawdy, których dotąd nie znaliśmy i dadzą zrozumienie rzeczy, których nie pojmowaliśmy. Pozwolą nam zrozumieć się wzajemnie, zrozumieć swoje wzajemne cierpienia i potrzeby. A wszystko zrozumieć, to znaczy wszystkiemu zaradzić.

Patronem naszym jest św. Michał Archanioł, który pod znakiem «Któż jak Bóg» «Mi-cha-el» daje pewną rękojmię zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi zbawienia i pokoju szczęśliwego, którego dawcą jest Bóg. W ten sposób sprawa nasza jest sprawą Bożą, bo pokój przynosimy na świat w imię Tego, który powiedział: «Ufajcie, Jam zwyciężył świat».

W działaniu naszem mamy na względzie chwałę Bożą i dobro Ojczyzny. Ważnem jest bezwątpienia zagadnienie, jak pojmujemy tę pracę dla Ojczyzny, bo bardzo często to słowo Ojczyzna staje się etykietą, której różna odpowiada treść.

Nasz Założyciel za życia swego gorliwie krzewił w narodzie polskim cześć dla Królowej Korony Polskiej, N. P. Marji, my ku Jej czci budujemy w Miejscu Piastowem świątynię i ideałem naszym jest Polska taka, jaką nam przekazali Jagiellonowie, jaką w opiekę Królowej niebios oddał król Jan Kazimierz. Ryngraf z Matką Boską Częstochowską, z Orłem, Pogonią i św. Michałem Archaniołem to nasz znak i nasze

wyznanie wiary polityczne. Polska, Litwa i Ruś złączone zgodą i miłością, zaprzysiężoną sobie w r. 1569 w Lublinie, w dniu wielkopomnej Unji, to nasz ideał.

Polityka nie jest naszem zadaniem. Agitować w duchu naszych ideałów nie umiemy ani nie będziemy, ale tej idei służymy i będziemy służyć. Wierzymy silnie, że genjusz narodu polskiego, król-duch naszego państwa, wsparty naszą dobrą wolą, spełni swą misję kulturalno-apostolską w szerzeniu idei braterstwa ludów a zwłaszcza ludów tak nam bliskich i drogich, a Marja Królowa Polski, Litwy i Rusi złączy swe ludy pod swojem miłościwem berłem.

Takim jest nasz program społeczny i narodowy.

Jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że nie musimy o ziszczenie jego walczyć z obawą o skutek. On się spełni i taką Polska będzie, bo taką jest wola Boża. My możemy ułatwić i przyspieszyć ten dzień ziszczenia przez przygotowanie się i urobienie duchowe Ta idea dokona się przez nas, albo mimo nas, w tem zrozumieniu, że gdy my tego nie dokonamy, dokonają to inni, ci co po nas przyjdą.

W dążeniu do takiej Polski nie jesteśmy pierwsi, nie jesteśmy też sami. Nasz Wielki Król, który stworzył Unję, wyrzekł, że który z narodów, poprzysięgających sobie miłość braterską w Lublinie, Unji tej wiernym pozostanie, może być pewnym błogosławieństwa Bożego, a który ją złamie, spotka go gniew i przekleństwo Boże. My chcemy tego błogosławieństwa Bożego, a boimy się przekleństwa.

Potem nasi wieszczowie i prorocy, poeci i myśliciele, Wernyhora, Brodziński, Krasiński, Słowacki i Mickiewicz, Norwid i Wyspiański, X. Markiewicz i inni nie pozostawili nam pod tym względem żadnych wątpliwości. Oni są wodzami ducha Polskiego, oni są tymi prorokami Mojżeszami, o których modlił się w godzinie myśli swej Mieczysław Romanowski, żołnierz, bohater i poeta. Więc im wierzmy.

Ale i to nie jest kresem naszych wierzeń i naszego oczekiwania. My wierzymy w słowa, które wyrzekł nasz Założyciel... »Wy Polacy przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni, nietylko się będziecie wzajem wspomagali, ale nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom, nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane braterstwo ludów. Bóg wyleje na was

wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą poczytne stanowisko na kuli ziemskiej, języka waszego będą się uczyć w uczelniach na całym świecie. Szczególniej przez Polaków Austrja podniesie się i stanie się federacją ludów. A potem na wzór Austrji ukształtują się inne państwa. Najwyżej zaś P. Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża. Ufajcie przeto Panu, bo dobry, miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy jest«...

To jest idea, której służymy, to jest nasz program szczegółowo rozwinięty. My sami jako zgromadzenie pójdziemy w tym duchu pracować na krańce Słowiańszczyzny, głosić tam hasła Pracy i Powściągliwości, garnąć sieroty i młodzież opuszczoną, szerzyć ideę miłości społecznej. To dziś najważniejsze. Jaki naród, jakie społeczeństwo rozwiąże najprędzej i najwłaściwiej kwestję socjalną, to ujmie ster świata w swe ręce. Nie zrobią tego konferencje, ale nasz program. Zachód Europy gubi się w konferencjach i zawiłych kombinacjach bankowych i politycznych, nie widząc tego, że wszystkie one pogłębiają przepaść wzajemną, bo sprawy żywotne a z natury swej sprzeczne wzajemnym interesom stron, puszczają na zgubne wiry dialektyki i argumentacji. Za prędko na to. Zachód Europy nie jest do tego przygotowany, bo brak mu zrozumienia ducha miłości a nie ma w tym kierunku tradycji. Kto bowiem w tysiącleciu dziejów swoich nie znał innej pracy państwowo-twórczej, jak zaborcze wojny i tajną dyplomację, kto dla racyj samolubnych gnębił obce ludy i plemiona, kto wojny niesprawiedliwe prowadził i innym narzucał, kto tyranją rządów i siłą militarną wychowywał własne społeczeństwo, a nie znał innej drogi do wolności obywatelskiej jak przez rewolucje, kto wreszcie materjalną potęgę kosztem słabszych postawił sobie jako naczelny postulat dążeń narodowych i społecznych, ten na samym sobie stwierdza, że myślą nie pojął, a sercem nie przeczuł, na czem polega i jak się dochodzi do braterstwa ludów, co przecież jest szczytem kultury wszechświatowej.

My ich tego nauczymy. My Polacy obsadzimy katedry całego świata i głosić będziemy prawdy, którešmy znali już dawno, już wtedy, gdy tworzyliśmy unję narodów, gdy nie wyciągaliśmy ręki po cudze ziemie mimo okoliczności najbardziej

sprzyjających, gdy zamiast o wojnie i obronie granic, marzyliśmy o braterstwie ludów i Lidze narodów, rozbrajając się wtedy, gdy inni się zbroili. — Te wreszcie prawdy, któreśmy wypiastowali w sercach, w smutnych dniach niewoli, głosząc hasła: »Za naszą wolność i waszą«.

Że tak będzie, widzi to jasno Norwid, który pisze pod adresem państw Zachodniej Europy

. . . .
— Gdy ducha z mózgu nie wyplątasz tkanin
— Wtedy cię czekam ja — głupi Słowianin
Zachodzie ty.
. . . .

A więc to mesjanizm — powiesz, Szlachetny Czytelniku.— Tak jest, to nawet więcej niż mesjanizm, bo to nie tylko logika serca i umysłu, tłumacząca zjawiska dziejów w duchu miłości i szlachetnienia, w serdecznej zgodności pragnień i marzeń naszych wieszczów, ale to niezachwiana wiara w przeznaczenie Polski.

Szlachetni Czytelnicy! czy nie podzielacie wiary tej?

Modlitwa skazańca*.

I odpuść nam naszą winę,
Jak my winowajcom,
Bracia, my w zbożną godzinę
Odpuśćmy słabym i zdrajcom.
Z upadłej sprawy Ojczyźnie
Zostawmy posiew przyszłości,
Gdy krwi nie stało w spuściźnie
Oddajmy na siew swe kości.
Siew dla przyszłości rozpleni,
Kto szubienicę w krzyż zmieni.
Krew nasza lała się marno,
Bóg nie wsparł walki oręża;
Więc nowe rzucajmy ziarno,
Tę miłość, co świat zwycięża.
Wołajmy, przebacz im, Panie!
W szczerej miłości i wierze,
A sprawa zmartwychpowstanie
I nowi staną rycerze.
Zbierajmy zacne imiona,
Upadłym podajmy rękę;
Złe wtedy na zawsze skona,
Gdy padnie na Bożą mękę.

---

* Wiersz Rafała Krajewskiego, jednego z 5 członków Rządu Narodowego powieszonych 5/VIII 1864 r., napisany w więzieniu warszawskiem na cyrkularzu obejmującym imiona zdrajców sprawy narodowej dla uwiecznienia ich hańby. Zamiast słów hańby i potępienia Rafał Krajewski głosi słowa miłości i przebaczenia.

Ave Patria.

Ojczyzno moja, bądź błogosławiona.
I błogosławion owoc twego ducha!
Oto w błękity wyciągam ramiona,
Gdzie Bóg mię słucha,
Majowe słońce promieni się w niebie:
O, Polsko moja! błogosławię Ciebie!

Nie iżeś kłosem pole me okryła.
Skowronki moje żywiła za morzem;
Nie iżeś, ziemio, chleby, mi rodziła,
Szumiała zbożem,
Ale iż duch twój rośnie mi w tym chlebie:
Ojczyzno moja! błogosławię Ciebie!

Nie iżeś orły chowała mi białe,
Gniazda mojego prastare obrońce:
Lecz, że te orły za wolność i chwałę
Latały w słońce
I nie zniżyły lotu w błękity
Ostatni powiał, jak sztandar przebity.

Nie iżeś miecze dała mi i zbroje,
I jasnym hełmem nakryła mi głowę,
I między ludzi wiodłaś hufce swoje,
Błyskawicowe;
Lecz, żem miecz dźwigał w wolności potrzebie:
Ojczyzno moja! błogosławię Ciebie!

Nie za to, ziemio, iżem rosnąc w siły,
Rozparł ramiona pomiędzy dwa morza,
Lecz, że nad moje wzejść musi mogiły
Zmartwychwstań zorza...
Za to, żeś powiew narodów wolności
Stała na polach z praojców mych kości.

Nie przeto, Polsko, Ciebie błogosławię,
Żeś zamki moje dźwignęła i grody,
Gdzie, jak ciągnące za słońcem żórawie,
Obce szły rody;
Lecz, żeś przybysze tuliła do ziemi,
Braćmi ich czyniąc i syny swojemi.

Nie iżeś mocne berłem miała króle,
Lecz duchem proste i sercem naczelne,
Co gromadziły w swą pieczę, jak w ule,
Drużyny pszczelne

Prostaczków, które miód swej pracy niosą
Pod troistego znoju ciężką rosą.

Nie iżeś wznosiła z modrzewiu me dwory
I osrebrzyła je w jaśminów kwiaty,
Lecz, że o miedzę legły twe ugory
I czarne chaty...
I jednej lipy nakryłaś mię szumem
Z ludów oraczem i z siermiężnym tłumem.

Za to, żeś w takie wodziła mię boje,
W których przed szable mosiężne szły kosy
Za te w lnach siwych bohatery twoje,
Za twój huf bosy,
Za twe rycerstwo o polnej buławie
Zbóż — trzykroć, Polsko! Ciebie błogosławię!

Nie iżeś lutnię ostrunila swoją
W blask nieśmiertelny i w promienie chwały,
Iż pieśni twoje w pośród ludów stoją,
Jak posąg biały...
Lecz, że pieśniarzom mówią u nas: „bracie“
W zapadłem siole i w piastowej chacie.

Za to, żeś ślepe lirniki wodziła
Wskróś po kurhanach, po zetlałych polach,
Że nam ze słowa duch rosnął i siła
We łzach i bolach,
Że pieśń wolności dzieci nam kolebie,
Do snów o tobie, — błogosławię Ciebie!

Nie za to, ziemio, że pod armat paszczą,
Gdzie tylko widne Orły i Pogonie,
Gdzie Polak walczy, tam narody klaszczą
W spętane dłonie;
Lecz, że do ludów pijem dziejów czaszą:
„Za naszą wolność — i za wolność waszą!“

Bo nie nastanie chwila jutrzenkowa,
Ni dnia przed słońcem otworzy się brama,
Aż plon swój wyda rola ta grobowa,
Ta Chalcedama...
A oto ludy, co dziś ducha kuszą,
Na hasło z mogił moich czekać muszą!

Marja Konopnicka.



ANNA BARONOWA V. KRANE.

Ave Maria.

I.

Ciemność nocy rozpostarła swe skrzydła nad Judeą. Ciężar jej tłocząco rozłożył się nad Jerozolimą i Świątynią. Z trudem można było rozróżnić kontury pałaców, olbrzymich wież, hal i murów grodu. Złowrogo, jak widma, wznosiły się w kirze ciemności kamienne masy. Gdzie niegdzie tylko na dziedzińcach Świątyni błyszczało jaskrawe światło, które rzucały pochodnie przechodzącej straży, pozostawiając po sobie złociste, ozdobne smugi.

Zresztą wszystko w najgłębszej zanurzone czerni, zatopione w gęstwie mgły zimowej nocy, nie widać nawet rozkosznego migotania gwiazd.

Zdaje się, jakby już nigdy nie miał nastać dzień, jak gdyby słońce na wieki zaszło ponad śpiącymi, którzy, jak umarli, spoczywają pokryci całunem ciemności.

Senne marzenia tylko czuwają. Snują się przez dusze śpiących, tu nędzarzom pokazują zdaleka nieosiągalne skarby, tam straszą sytych nadchodzącą nędzą lub trwożą wrażliwych szyderstwem lub naigrawaniem się tak, że, głucho jęcząc, bronią się przed atakiem sennej zmory.

Czyż naprawdę nigdy dnia nie będzie?

Wartownik na blance Świątyni z przerażeniem okrywa się płaszczem i okiem pełnem tęsknoty patrzy na wschód, skąd przychodzi światło... Czy ta noc ma wiecznie trwać?

Wkońcu idzie zmiana, cicho, powoli, prawie niewidocznie. Niewiadomo, jak, ale przecież pomalutku oddzielają się masy budynków od ciemności nocy i przybierają swe kształty. Niepewna szarość wkrada się w kir nocy. Ziemia i niebo zaczynają się rozdzielać. Widać pędzące po nieboskłonie chmury. Potężnie popycha je wiatr. W dolinie pieje kur, inne mu odpowiadają. Szarość przybiera na sile, w dali, ponad górami nad Martwem Morzem okazuje się na niebie słaby blask. Chmury pędzą i pędzą...

Wartownik na blance podnosi się. „Dnieje na wschodzie!“ woła donośnym głosem w stronę milczących dziedzińców Świątyni, które, podobne do przepaści, przepełnione cieniem nocy, leżą u jego stóp.

„Dnieje na wschodzie!“ woła drugi wartownik, trzeci i tak wokoło, aż całe obejście świętości wieści: „Dnieje na wschodzie! wstawajcie i spieszcie do służenia Panu!“

Głos trąby odzywa się przed miejscem Najświętszego. W rozległych mieszkaniach kapłanów zaczyna powoli brzęczeć, jak wśród obudzonego roju pszczół. Szmer posuwa się coraz dalej, słychać posuwanie się stóp przez ciemne krużganki, głosy szepcą w mrokiem pokrytych halach, w ręku spieszących się postaci kołyszą się płonące lampki, kapłani krzątają sie wokoło ofiarnego ołtarza — całe wzgórze Świątyni aż do najodleglejszego zakątka wrze i biega i szepce o tajemnem, ruchliwem życiu, oczekując wschodzącego słońca, aby pełną rozwinąć pracę.

O tej też godzinie wstaje dziecię Marja ze swego łoża w celi dziewic Świątyni. W wąskiej izdebce płonie jeszcze lampka po nocy. Marja gasi ją ostrożnie i idzie do okiennego

otworu. Jest on za wysoko w ścianie umieszczony, więc dzieweczka przystawia stołek, wychodzi nań i odsuwa okiennicę. Szary zmrok zagląda przez okienną kratę. Ostry powiew wiatru wpada do komnatki. Dziecię stoi dalej na stołku i patrzy na niebo, po którem przewalają się chmury. Pędzą one po ciemnozielonym błękicie powietrza, gdyż wschód jaskrawą czerwienią zaczyna się barwić. W środku między pędzącemi chmurami tkwi wielka i złota poranna jutrzenka.

Marja obie ręce opiera na parapecie okiennego otworu i spogląda. Tej nocy śniła o jakiejś gwieździe. A potem myśli jeszcze o drugiem sennem widzeniu.

Co to za niewiasta mogła być, co przy Jej stała łóżku i rozmawiała z Nią?! Nie pamięta, o czem z nią mówiła, bo zapomniała, przebudziwszy się. Na dnie jej duszy żyje jednak pewność, że słowa niewiasty wieściły radość, że wreszcie skończy się tęsknota i że wreszcie spełnią się obietnice Boga. Taką nadzieję żywiło serce dzieweczki Marji.

Nieznana niewiasta dziwna jakaś była, ale nie straszna ani odrzucająca. Miast szaty odziana była w skórę, długie, siwe włosy pokrywały ją nakształt płaszcza. Uboga była, udręczona, utrudzona i spracowana, ale pomimo to biła od niej królewskość. Czyniła wrażenie strąconej z tronu władczyni, co długo przebywała na tułaczce. Jej oblicze było tak macierzyńskie, iż Marja przypomina sobie, że „Matka!“ do niej mówiła. Lecz niewiasta odparła z pokorą: „Jeśli i Ty córką moją jesteś, niegodnam, by Cię mojem nazwać dziecięciem!“

Marja dokładnie przypomina sobie te słowa. Jakżeż tajemnicze? Co one znaczą? Dziecię zamyśla się coraz więcej, utkwiwszy Swe oczy w niebo, które zaczyna złocić poranna jutrzenka.

Marja pamięta dobrze i sen o gwieździe. Widziała światło na niebie, jaśniejsze i wspanialsze, niż poranna jutrzenka, którą widzi teraz na jawie. Szły od niego strugi blasku, które stoczyły ją, że błyszczała jak gwiazda. A potem zleciało z nieba drugie światło, które tak otoczyło jej serce, że omal nie pękło ze szczęścia i radości.

Marja obie ręce przycisła do piersi, aby uciszyć wybuch Swej radości, a tymczasem jutrzenka zaczyna blednąć i wschód pokrywa się czerwienią.

Chmury rozstąpiły się, rozsunęły jak kotara i tylko na krańcu nieboskłonu czarne piętrzą się obłoki.

Nagle tryska na wschodzie pierwszy złoty promień i czerwona ognista kula znaczy swoje zaokrąglenie. Brzmią dźwięki trąb, z hałasem otwierają się drzwi Świątyni i ku górze wzbija

się dym ofiarny. Nastał dzień. Izrael spieszy na poranną uroczystość, aby słać modły do Wszechmocnego. Chór tysiąca śpiewaków głosi poranne psalmy, brzmią cymbały i harfy.

Dzieweczce Marji zdaje się, jak gdyby słowa Proroków ze śpiewem się zlewały, bo słyszy wyraźnie, jak mówią wszyscy:

„Zbudź się, Izraelu, i stań się światłem! Jakoże idzie światłość i przepych Pana roztacza się nad tobą!"

Tak głoszą Boscy Prorocy o przyjściu Pomazańca, o zjawieniu się Mesjasza! Światło Jego tak będzie jaśniało po długich ciemnościach ziemskiej nocy, jak dzisiaj promieniujące słońce nad wszelkiemi mgłami odniosło zwycięstwo!

II.

Minęły lata. Cztery i pięć razy przychodziło lato po zimie. Teraz skwar lata cięży nad Jerozolimą i Świątynią.

Prostopadle tkwi słońce ponad miastem. Prostopadle trafiają jego strzały wszystko, co żyje; ludzie z trwogą kryją się przed niemi. Ulice, place i hale tak puste, jakby wszystko żyjące dawno umarło. Naokoło taka cisza, jak wówczas w owej zimowej nocy, gdy Marja o gwieździe śniła. Z tą tylko różnicą, że dziś, zamiast ciemności, straszny dzień ma roztoczyć swe władztwo. Nic się przed nim nie skryje! Każda piędź ziemi leży odsłonięta, naga przed nieznającym litości wzrokiem światła.

To oko Boga-Sędziego patrzy na grzeszną ludzkość! A niema nikogo, ktoby mógł powiedzieć o sobie: — Niema na mnie zimy! — Wszechwiedza Boga najskrytsze odkrywa błędy!

Pośród cel dziewic Świątyni samotna czuwa Marja. Jej towarzyszki twardemu uległy snu, który sprowadził żar południa. Tylko Marja nie odczuwa znużenia. Modli się i oczekuje.

Bo teraz, gdy z dziecka wyrosła w dziewicę, zaręczono Ją. Za kilka miesięcy ma poślubić Józefa, z rodu Dawida, i wyjechać potem do Nazaretu, swego rodzinnego gniazda.

Dusza Marji jednoczy się z Bogiem. Ona wie, że Jej losem kieruje Bóg, więc chyli się przed Jego Wolą, milczy, słucha i idzie, dokąd każe Pan. Teraz jednak myśli o wielkiej tęsknocie, która drzemała w Jej sercu a która obudziła się wśród wielkiego bólu i drżącej niepewności.

Zbliża się coś nieskończenie Wielkiego, coś niepojęcie Wzniosłego, coś nie do opisania Szczęśliwego, ale równocześnie coś przeogromnie Bolesnego!

Wśród niezmiernej ciszy króluje środek dnia. Przez zamkniętą okiennicę wciska się cudny promień światła, jak złota

przędza i czule opada na pochyloną głowę Dziewicy. Promień przybiera na sile, porusza się i w cudowny sposób zaczyna własnem tętnić życiem... Marja widzi to...

Światło staje się uchwytne i zgęszcza się w uśmiechające się i pozdrawiające Anielskie główki, które słodko pochylają się przed Dziewicą, a Ona ze słodkiem odczuwa drżeniem, że coś porusza się pod Jej Sercem i z Łona Jej wyrasta lilja, która powoli zwraca się ku niebiańskiemu światłu. Lilja rośnie i rośnie, aż do stropu komnaty dochodząc. Powała rozsuwa się, widać blaskiem otoczone niebo — a lilja pnie się aż do pełnych tajemnic wyżyn! Z jej kwiatów wytryska promień, który cały oświeca świat i w kształcie krzyża ponad całą rozciąga się ziemią.

Zali upłynęły godziny czy dnie, sekundy czy lat dziesiątki? Marja nie wie i budząc się z zachwycenia, spogląda wokoło. Znów w ciemnej widzi się komnacie. Lilja, blask i główki Aniołów zniknęły tylko... Dziewica przychodzi zupełnie do siebie i bystrzej patrzy w róg izdebki, gdzie stoi pokorna, uboga królewska niewiasta, książęca żebraczka, którą już raz widziała w śnie.

Nieznajoma obie ręce podniosła do góry. Przez jej udręką zniszczone oblicze ślizga się pełen nadziei uśmiech. Niewypowiedzianie czule spogląda na Marję i szepce wkońcu: „Wnet!"

I zaraz znika.

III.

Powiew wiosny unosi się ponad Nazaretem, darząc kwiaty rozkoszną szatą, ptaszki śpiewem, źródła szemrzeniem. Na góry i doliny śle blask księżyca swój czar, w krzakach oleandrów wywodzą słowiki swe pienia, wszystkie wonie czegoś mającego nadejść mieszają się z tchnieniem nocy i szala czasu powoli schyla się ku świtu.

Marja idzie do studni po wodę. Wyszła dlatego tak wcześnie, aby nie stykać się z tłumem niewiast, które o wschodzie słońca gromadnie przychodzą do źródła. Chce być samą ze wszystkiemi swemi przeczuciami, które władną Jej duszą.

Idzie zatopiona w sobie i nie widzi, jak wszystkie drzewa i krzaki schylają się przed Nią, jak wszystkie kwiaty ścielą się do Jej Stóp, jak wszystkie słowiki zlatują się do Niej i najpiękniejsze dla niej nucą melodje. Za głęboko zasłuchana w to, co ma nadejść.

Wznoszący się ponad studnią daszek zaciemnia źródło, ale skoro przybliżyła się do cembrowiny, łagodny blask oświeca

miejsce. Bez trudu zanurza dzban, który napełnia się chłodzącym płynem. Krystalicznie czysta woda bulkoce w naczyniu. Światło promieniujące z Dziewicy staje się coraz jaśniejsze, aż wkońcu jako jasny promień wzbija się w górę i zamienia się w miecz, który bezlitośnie przeszywa drżące Serce Marji. Usta Jej wydają okrzyk, ona cofa się i opiera o mur studni, aby nie upaść ze strasznego bólu.

Nagle staje przed Nią dziwna nieznajoma, którą już dwakroć widziała.

„Kim jesteś?" pyta Marja słabym z bólu głosem.

Królewska żebraczka odzyskuje mowę na to wezwanie.

„Jestem Ewą, matką rodu ludzkiego i Twoją, choć nie jestem godną zwać Cię mojem dzieckiem".

„Czego chcesz ode mnie? Czego pragniesz?"

„Zbawienia rodzaju ludzkiego".

„Jak mogę je sprawić?"

„Ono przyjdzie przez Ciebie".

„Powiedz mi, jak?"

Ewa jednakże kładzie jedynie palec na swych ustach: „Bóg Ci to oznajmi. Mnie nie wolno".

Marja z jękiem chwyta się za Serce, które miecz jeszcze głębiej przeszywa.

Ewa całuje kraj Jej szaty. „Nie wyjmuj go!" błaga, widząc, że Marja usiłuje wydrzeć broń ze Swej Piersi.

„Nie wyjmuj go!"

Tym błagalnym okrzykiem nie jeden odzywa się głos, nie — to głosy miljonów i miljardów błagają z czterech stron świata. „Nie wyjmuj go! Nie wyjmuj!"

„Za cóż mam znosić tę mękę?" pyta Marja, odsuwając rękę od miecza.

„Bo inaczej nie moglibyśmy dostąpić zbawienia!" odzywają się głosy. Ewa, jak marny, zdeptany robak kładzie się na ziemi.

„Jeśli nie wyjmiesz miecza, cała nadzieja przy mnie!" jęczy, wijąc się.

Marja pochyla się i podnosi ją. „Nie godzi się, by matka wszystkich ludzi tak marnie leżała w prochu. Wstań, nieszczęśliwa Ewo. Nie wyjmę miecza, jeśli w ten sposób mogę tobie i nieszczęśliwej ludzkości przynieść ratunek".

Ewa porusza się nagle i rozpływa jak jasny obłoczek, miecz niknie, ból ustaje i ponad sklepieniem studni wschodzi dzień, promieniejąc wonią i rozkoszą wiosny.

...„Światło Twe nadejdzie i jasność Pana zejdzie nad Tobą!"

Kto to powiedział? Czy wyśpiewały to tysiączne głosy? Słowa te odbijają się jeszcze od murów, brzmią w radosnym śpiewie ptasząt, w świergocie jaskółek, które lotem strzały wzlatują w błękit powietrza.

Marja bierze swój dzban, dąży do zacisznego domku i zamyka się w Swej izdebce, wzruszona tem wszystkiem, co widziała, tem wszystkiem, co odczuła i tem wszystkiem, co ma przyjść.

Wielka, uroczysta cisza spada na cyły świat. Jest tak cudownie cicho, błogo i uroczyście, jakgdyby wielki nastał Sabbat, w którym wszystek Izrael modli się do Pana. Nawet powietrze, które dotyka czoła Marji, poświęconem się zdaje. Błogie oczekiwanie więzi wszelakie stworzenie.

Nagle niezmierna jasność ubogą oświeca komnatkę. W pełni blasku staje przed Marją Archanioł. Jego szaty jak biały błyszczą ogień. Różany świt i blask południa mieszają się na niej z sobą. Bezcielesne, a jednak pokryte ciałem promienieje Jego oblicze, głowa jasną otoczona aureolą.

Książę Aniołów pokornie schyla ją przed Marją, jak przed swoją Królową i wielkie zaczyna zwiastować poselstwo:

„Bądź pozdrowiona, Marjo, łaski pełna, Pan z Tobą..."

W owej to godzinie Słowo Ciałem się stało.

Niedobra to gospodyni:

1. która wstawszy z łóżka zaraz się nie myje i nie czesze;

2. która zupełnie spokojnie przed południem wychodzi z domu, nim jeszcze porobiła w nim porządki;

3. która nie ponaprawia małych braków w ubraniu i bieliźnie, nim je schowa do szafy;

4. która zaściela łóżka nie wywietrzywszy ich poprzednio;

5. która robi się „ładną" jedynie na ulicę i dla towarzystwa, a nie dla męża;

6. która biega po domu w podartych sukniach, twierdząc, że po domu to i to dobre. **I stare suknie mogą być czyste i całe.**

7. która wieczorem, gdy mąż wraca do domu zaczyna pracować, a cały dzień spędza na niczem lub nawet romanse czyta a nie zna przysłowia, że „wieczorem tylko lenie są pracowici";

8. która wobec dzieci i męża z prawdą się mija;

9. która nie przenosi przyjemności pożycia domowego nad wszelkie przyjemności poza domem;

10. która na wszystkiem innem oszczędza, sobie atoli nic nie może odmówić.



HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

Uśmiech dziecka.

(Dwuśpiew poezji i prozy).

Zła i szara jest codzienność ludzkiego bytowania. Wiedźma troska chodzi za nami krok w krok następując nam na pięty, a nawet nocą gdy już przymkniemy zmęczone powieki usiada na skraju łóżka, pochylając nad naszym niespokojnym snem swą bladą twarz. Obowiązki, kłopoty, zawody, krzywdy, niespełnione marzenia przyciskają nas swym ciężarem. Więc jakże często idziemy przez życie z głową pochyloną ku ziemi, nie widząc nad sobą błękitu nieba, pod którym nie krążą już tak jak w młodości czarne jaskółki naszych myśli. I z biegiem lat stajemy się coraz bardziej gorzcy, zimną lodową taflą refleksji oddzieleni od całego świata i coraz bardziej na nim samotni.

Taki w człowieku jest uczucia przepych,
Taki lot myśli co przenika świat,
A wciąż błąkamy się w ulicach ślepych,
Dźwigając ciężar starych ludzkich wad.

Gdyby tak można duchem wyogromnieć
Jak jakiś wielki i dostojny pan,
Wszystko przebaczyć i wszystko zapomnieć,
Choć serce jeszcze jątrzy się od ran.

I wszystkie krzywdy, które nam sprawiono,
Rzucić w głęboki i milczący staw
I nieprzebytą oddzielić zasłoną
Jesień żywota od przyziemnych spraw.

Gdyby tak można złamać szpady gardę,
Którą wciąż trzeba wojować za trzech
I zamiast tarczy mieć tylko pogardę
I zamiast broni tylko jasny śmiech.

Gdyby tak można zaszyć się w samotność
Cichych przełęczy gdzieś ku niebios bram,
Gdzie wszystkie drogi wiodą w bezpowrotność
I jest się z duszą swoją sam na sam.

I na tak wielkiej znaleźć się wyżynie,
Gdzie w ciszy płyną gwiazd wieczyste łzy,
Gdzie się nie słyszy jak chrząkają świnie
I jak nad kością żrą się głodne psy.

A jednak jest na świecie coś, co nas odrywa od tej szarej codzienności życia, co ogrzewa znów nasze skostniałe serce, jak promień słońca w ponury dzień jesienny: Uśmiech dziecka, największy cud, największa tajemnica duszy ludzkiej.

Ludzie starsi śmieją się też często czy trzeba czy nie trzeba i zawsze bystry obserwator potrafi sklasyfikować, czy jest to uśmiech dobroduszności, nadmiaru temperamentu, wesołości, szyderstwa, dosytu życiowego, chwilowego powodzenia, czy też zalotnictwa. Uśmiech dziecka nie ma kwalifikacji. Jest czemś jedynem, w sobie samym skończonem, czystszem ponad śnieg — jest emanacją Dobra i Piękna, największą tajemnicą Boga. Ileż to razy pochylałem się nad tą tajemnicą w mych wierszach czując, że nawet najpiękniejszy rym nie sprosta jej głębi, ileż to razy obserwowałem na sobie cudne i kojące działanie tego uśmiechu — gdy padł na drogę mego życia.

Idąc przez miasto, które w deszczu moknie
Z duszą jak łachman podartą i zmiętą,
Dostrzegam czasem za szybami w oknie
Twarzyczkę dziecka ślicznie uśmiechniętą.

Jest w tym obrazie taka piękność życia
Jaką jaśnieją aniołowie gwiezdni,
Więc cały smutek po duszy mej spływa
Jak strugi deszczu po błyszczącej jezdni.

I chciałbym zaraz ten uśmiech dziecięcy
Rozstrzępić w rymach na złociste nicie
I wszystkim, którzy smutni są najwięcej
Owym uśmiechem rozpromienić życie.

Lecz to co napełniało zawsze promiennością całą moją istotę, bardzo często bywało także przyczyną mego niepokoju i smutku, gdy zły los, przypadek lub choroba odbierały mi kiedyś codzienne moje spotkania z uśmiechem dziecka.

Codziennie rano, gdy pędem jaskółki
Lecę do biura mą ulicą stromą,
Spotykam buzię dobrze mi znajomą
Małej dziewczynki śpieszącej do szkółki.

Te przypadkowe codzienne spotkania
Dwie nasze dusze zbliżyły ogromnie,
Bo każdym razem uśmiecha się do mnie
I choć obcemu przepięknie się kłania.

Ja też uchylam grzecznie kapelusza
Jakby to była dojrzała osoba
I zaraz więcej świat mi się podoba
I zaraz lżejszą staje się ma dusza.

Lecz od dni kilku o tej samej porze
Już nie spotykam mojej dobrej duszki
Czyżby na słocie przemoczyła nóżki
I jak węgielek od gorączki gorze?

Stałem się smutny, jakiś zgryz mię gniecie
Jakbym utracił istotę najdroższą,
Bo dusza moja stała się uboższą
O uśmiech dziecka najsłodszy na świecie.

A czy studjowaliście kiedyś niemowlę w kołysce, czy śledziliście uważnie wszystkie stopnie jego rozwoju duchowego, odbierania wrażeń, powolnego pojmowania tego wszystkiego, z czem spotyka się na tej ziemi po raz pierwszy. Najpierw jest płacz lub krzyk, lecz jedynie jako podświadome reagowanie na ból, niewygodę, lub niezadowolenie. Lecz pierwsze świadome już zetknięcie się duszyczki ze sprawami tego świata, pierwsze pojęcie jego zjawisk i rodzenie się pierwszej myśli

objawia się zawsze uśmiechem. W pierwszym uśmiechu małego dziecka rodzi się dopiero jego dusza, a w dalszym jej rozwoju wykwita dopiero pierwsze słowo, ta najpiękniejsza muzyka duszy, odróżniająca człowieka od biednego zwierzęcia.

Już jest, zwiastują je już od miesiąca
Kapryśne sylab pojedyńczych gońce,
Już o zagrodę białych ząbków trąca
A brak odwagi mu by wyjść na słońce.

Jedynie matka, co swą twarz nachyla
Nad główką dziecka z czujnością wciąż nową,
Wie że nadchodzi już ta wielka chwila,
Gdy się narodzi w duszy pierwsze słowo.

I w pewien ranek, gdy w niebios przeźroczu
Pełno radości i skowrończych treli,
Dwoje fiołkowych uśmiechniętych oczu
Dostrzega promień słońca na pościeli.

I chciwa rączka małego człowieka
Pragnie popieścić się jego urodą,
Lecz promień słońca przez palce ucieka
Jakby był ciepłą i złocistą wodą.

Więc z dziwu który trzeba z kimś podzielić
Dusza się dziecka otwiera jak brama,
By z za parkanu białych ząbków strzelić
To najpiękniejsze pierwsze słowo: mama!

Przez całe swoje życie byłem skrzętnym łowcą tego uśmiechu, szedłem mu naprzeciw z duszą otwartą, pochylałem się nad jego głębią, uczyłem się od niego tej największej mądrości, jakiej nie dadzą uczone księgi. Przyswoiwszy sobie jego tajemnice, umiejąc do dziś dnia swoją starą smutną twarz przystroić choćby nikłym odblaskiem jego czystej jasności, potrafiłem dom mój w najcięższych nawet czasach wyzłacać gościnnością chwytającą za serce.

Gościnny jestem, więc gdy do mej chaty
Przyjdzie gość miły, zawsze na mym stole
Chciałbym mieć stary tokaj, świeże kwiaty
I tłustą kurę w gorącym rosole.

I gdybym złoto miał tak jak Wierzynek,
Który przyjmował po królewsku gości,
Każdemu dałbym piękny upominek,
By nie zapomniał o mej gościnności.

Któż z nas pozwolić sobie może na to?
Kryzys — a dobre czasy są już echem,
Więc dzisiaj gościa przyjmuję herbatą,
Którą osładzam najsłodszym uśmiechem.

Lecz w tym uśmiechu są te wszystkie dary,
Których brakuje dzisiaj na mym stole:
Złoto i kwiaty i ten tokaj stary
I tłusta kura w gorącym rosole.

Dopomaga mi on do osądu ludzi, bo ile razy na twarzy starszego choćby pierwszy raz widzianego człowieka dostrzegam uśmiech dziecka, wiem że mam do czynienia z naturą prawą, kryształową i czystą, z człowiekiem z którym bez obawy zawodu można się podzielić opłatkiem braterstwa i przyjaźni. Rozmiłowanie w tym uśmiechu nauczyło mnie garnąć się do młodości, podawać jej pomocną dłoń, wspierać młodziutkie talenty, ogrzewać przy ich cieple samotność i smutek jesieni swego życia.

Wiem, że minęło dawno moje rano,
Że dzień mój zbliża się już do zachodu,
Więc gdy ktoś pnie się tak jak ja zamłodu,
Uczuwam w sercu radosć niekłamaną.

I jak ogrodnik bluszcz podpiera młody
Chciałbym podeprzeć go w tym górnym pędzie
I zawsze wierzę, że z niego coś będzie,
Jeśli nie braknie mu słońca i wody.

Ten nawet, który jest przy drogi końcu,
Gdzie tkwi drogowskaz jeden: bezpowrotność,
Mniej swego życia odczuwa samotność,
Gdy się ogrzeje przy młodości słońcu.

Jakże cudowny jest ten pęd powrotny,
Który nam wiecznie nowe formy niesie —
I dąb stuletni w młodym szumnym lesie
Czuje się młodszy i nie tak samotny.

Czyż można się wobec tego dziwić, że kocham dzieci. Całemi godzinami potrafię się przypatrywać ich zabawom w ogrodzie, czy na podmiejskiej łące. Nawet ich psoty znajdują u mnie zawsze jakieś łaskawe wytłumaczenie. Najlepszym terenem obserwacji światka dziecięcego jest jednak ulica. Widzę tę moją ulicę codzień z okien pokoju w całej rozciągłości, stromą, w dzień pogodny iskrzącą się od słońca, w dzień desz-

czowy szumiącą potokami wody, walącej przez ścieki, zamkniętą z obu stron ścianami kamienic albo parkanami licznych ogrodów. Przez cały dzień od samego rana bawią się na niej dzieci wylęgłe z ciemnych suteren, gdzie nie dochodzi słońce. Pod wysokim ceglanym murem mego ogrodu jest specjalne stosowne miejsce do zabawy. Szeroki stromy chodnik stanowi w lecie cudowny teren do karkołomnych zjazdów na deszczułce z kółeczkiem zwanej „hulaj noga”, w zimie zaś zmienia się



w śliską taflę, po której tak idealnie zjeżdża się na saneczkach lub na jednej łyżwie. Wzdłuż chodnika biegnie dość szeroki pas trawnika. Oddawna zerwał ktoś druty chroniące przed przechodniem ten kawałek łąki wśród kamieni. Wymarzony to teren do footbalowych zawodów. To też przez cały dzień odbywają się tu krzykliwe mecze przy zachowaniu wszystkich reguł sportowych a bujna fantazja dziecięca zamienia w wymarzoną piłkę każdy przedmiot, który da się kopnąć.

Dzieci dzisiejsze nie lubią zabawek,
Drwią z Ali Baby i z lamp Alladyna,
Ale gdy dojrzą jakiś placu skrawek
Mecz footbalowy zaraz się zaczyna.
Gdy brak im piłki, co tak ślicznie tańczy,
Kopią kasztany, papieru kawałek,
Zgubioną szmatę, skórę z pomarańczy,
Lub porzucone pudełko zapałek.
Zaledwie dwóch się zajmie tą zabawką,
W przygodnych widzów rozkrzyczanem gronie
Zaraz się znajdzie i sędzia z gwizdawką,
Który ster walki ujmuje w swe dłonie.
Lecą czapeczki, krzywią się buciki,
Otwarta buzia pył uliczny łyka —
Często w zapale gracz zanadto dziki
Poniżej krzyżów kopnie przeciwnika.
Wtedy przeciwnik łzami się zalewa
Bolące miejsce zasłaniając dłonią —
Srogi policjant patrzy z poza drzewa,
Więc przestraszeni chłopcy dalej gonią
Lecz ledwie dojrzą w ścieku przy chodniku
Skórkę z cytryny wystającą z wody,
Wnet się w meczowym ustawiają szyku
I zaczynają na nowo zawody.

Gdy burza letnia przeleci ponad miastem a po jej przejściu płyną stromemi ściekami ulicy dwa rwące strumienie ku miastu, albo gdy z nastaniem wiosny topniejące śniegi pobliskich wzgórz zamienią całą ulicę w topielisko wodne, niedawni footbaliści zmieniają się momentalnie w marynarzy.

Z nadejściem wiosny zawsze pełen zdumień
Chłonę swą duszą jej dźwięczne obrazki:
Gdy resztki śniegu spiją słońca blaski
Sciekiem ulicznym płynie wartki strumień.

Tu w lodzie bruku staw ogromny wygryzł
I wodospadem spływa przez kamienie,
Tam znów podzielił się na dwa strumienie,
Jak Missisipi lub Eufrat i Tygrys.

Płynącej wody poszum tajemniczy
Gromady malców wywabia z suteren,
Jakże cudowny to zabawy teren
Dla tych, co życia nie znają słodyczy.

Krzyki uciechy, głosów zamęt dziki
I wnet kołyszą się na wartkiej wodzie
Z łup od orzechów i z pudełek łodzie
I papierowe białe okręciki.

Na te okręty patrzy pełen wzgardy
Najstarszy wiekiem sklepiczarki synek,
Bo ma pancernik z pudła od sardynek
I torpedowiec z puszki od musztardy.

I w zachwyceniu spogląda gromada,
Schyliwszy twarze nad ulicznym ściekiem,
Jak płynie w słońcu ku krajom dalekim
Niezwyciężona dziecięca Armada.

Pogodna jesień znowu, gdy nad ziemią jest cisza a w górnych sferach dmą niewidzialne wiatry, to okres latawców. Przez cały dzień od świtu aż do zmierzchu kołują nad moim domem kolorowe ptaki przeróżnej konstrukcji, klejone z papieru pakunkowego, ze starych gazet, z kartek zeszytów szkolnych, z ogonami, lub bez ogonów. Jedne wznoszą się wysoko aż do chmur, inne koziołkują pociesznie w powietrzu i opadają na dachy kamienic, albo pomiędzy gałęzie drzew. Mały właściciel udanego latawca trzyma kurczowo w swych piąstkach naprężony sznur i spogląda z dumą na swoje dzieło. Otacza go gromada zachwyconych towarzyszy i główek zadartych do góry, bo oto po wyprężonym sznurze leci ku górze depesza — kawałek papieru nanizanego na sznurek z ogromną chyżością wzbija się ku górze i przylepia się do dzióba latawca. W gromadce robi się ruch. Dziesiątki rąk podają coraz to nowe kawałki papieru. Każde z dzieciaków chce posłać w ten sposób swój liścik do nieba, na którym w marzeniach wypisał gorącą prośbę o dobrą notę, o scyzoryk z dwoma ostrzami lub o katapulkę. Za krótki jest jednak sznurek latawca, ażeby te liściki dziecięce doszły do rąk dobrych aniołów. Lecz w zamian za to jesienne niebo uśmiecha się do tej poczty swoim jasnym błękitem a uśmiech ten odbija się w dziecięcych oczach. Może dlatego tak często mają one niebo w oczach. Ale nie wszystkie — są i takie dzieci, upośledzone przez los, które nie śmieją się nigdy. Wychowane w chłodzie i głodzie, pozbawione pieszczoty i radości, są tak szare jak sutereny, w których się chowają, są tak nieszczęsne jak dola ich rodziców. W gromadce dzieci, które obserwuję codziennie, jest także taki rudy dziki chłopak, zawsze zachmurzony, przypatrujący się zdaleka zabawie swoich towarzyszy. Przemyśliwa tylko nad tem jak popsuć ich radość.

Czasem podstawia nogę bawiącym się w footbal, innym razem bombarduje kamieniami papierowe okręciki płynące po wodzie, to znowu pluje z przedziwną wprawą z wielkiej odległości na rozbawioną gromadkę dziecięcą, a gdy poszkodowany zbliży się do niego z wyrzutami, puszcza mu prosto w oczy gryzący dym z niedopałków papierosów, które zbiera skrzętnie na ulicy zapychając niemi obie kieszenie brudnej podartej bluzy. Nie śmieje



się nigdy, a tylko czasem wykrzywia szarą, pokrytą piegami twarz złośliwym grymasem i wydaje ze ściśniętego gardła wysoki, przenikliwy, nieartykułowany dźwięk, coś niby okrzyk bojowy Indjan. Brzmi w nim przestroga, że lepiej się z nim nie zaczepiać. Więc nawet starsi wiekiem chłopcy omijają z lękiem rudego Józka i znoszą cierpliwie jego psoty, wyzwiska i prowokacje. Pewnego dnia wiosennego zauważyłem z rozpaczą, że do mego pięknego ogrodu, pomimo wysoki parkan z cegieł, tłuczone szkło i kolczaste druty wkrada się o świcie jakiś

wandał, wyłamując dziko najpiękniejsze gałęzie bzu i wykradając dopiero co rozkwitnięte róże. Znosiłem to przez kilka dni z filozoficznym spokojem aż do czasu śmierci najulubieńszej róży ponsowej, rosnącej tuż pod oknami werandy i dotychczas oszczędzanej przez złodzieja.

Najcenniejszy w mym ogrodzie krzak ponsowej róży
Dzisiaj w nocy ktoś mi wyciął pod osłoną burzy.
Wyciął dziko i okrutnie do samego spodu
Najpiękniejszy krzak płomienny mojego ogrodu.

Nie dostrzegłem w pierwszej chwili tej bolesnej straty,
Lecz mi o niej powiedziały zasmucone kwiaty
I tłum bratków mi zaszumiał rozpłakany rosą,
Że tu w nocy śmierć bawiła ze swą srebrną kosą.

Byłbym oddał wszystkie róże mojego ogrodu
Za ten jeden krzak ponsowy pieszczony od młodu.
I przeklinam tę noc ciemną i te dzikie ręce,
Które to mi zrabowały, com kochał najwięcej.

Cała moja istota zawrzała oburzeniem na to bezmyślne barbarzyństwo, niszczące kilkuletnią pielęgnację cudnego, wspaniale już rozrosłego krzewu. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, żа tym podłym złodziejem musiał być rudy Józek. Postanowiłem przekonać się czy to prawda i zrobić raz nareszczie koniec igraszkom złego chłopca, ogałacającego mój ogród z wszelkiej ozdowy. Pewnego dnia o wczesnym świcie zaczaiłem się na szklanej werandzie za dużym krzakiem oleandru.

W pewnej chwili w słabem świetle przedświtu zamajaczyła na szczycie parkanu postać o niewyraźnych konturach. Tak, to był rudy Józek. Poznałem go po włosach odbijających się czerwoną plamą od szarości sylwetki. Jak kot zeskoczył z parkanu do ogrodu i, rozglądając się uważnie dookoła, zaczął coś majstrować przy krzaku herbacianych róż. Zaszedłem go pocichu ztyłu i mocno ułapiłem za kark. Nie bronił się. Dał się zaprowadzić na werandę. W jego małych oczkach czytałem wyraźnie wyzwanie: „No bijże mnie prędzej, dziadu, bo wiem, że zasłużyłem na baty, i nie myśl, że będę płakał, skórę mam twardą!“ Posadziłem go na fotelu i zacząłem długą przemowę, tłumacząc chłopcu łagodnemi słowy, jak brzydkim uczynkiem jest kradzież i ile przykrości czyni mnie i kwiatom tem barbarzyńskiem niszczeniem najpiękniejszych krzewów. Próbowałem wytłumaczyć mu, że kwiaty są żywym organizmem, posiadającym też własne czucie, że cierpią tak samo jak ludzie, choć nie potrafią okazać swego bolu. Chłopak nie okazywał naj-

mniejszego zaiteresowania dla mojej przemowy, uważając ją jedynie za chytry wstęp do bolesnej egzekucji. W pewnej chwili wyjąłem z biurka duży pakiet czekolady i wcisnąłem chłopcu do rąk:

— Proszę cię bardzo nie rób tego więcej i bądź dobry. A teraz możesz już odejść, ale nie przez parkan, bo pokaleczysz sobie na szkle bose nogi, ale przez furtkę tak jak porządni ludzie.

Chłopak zdębiał. Przez chwilę patrzył to na mnie, to na trzymaną w ręku czekoladę, nie mogąc zrozumieć mego postępowania. I w tej chwili stał się cud. Szara piegowata zawsze zachmurzona twarz chłopca rozjaśniła się nagle najcudowniejszym uśmiechem szczęścia, jakby pojął po raz pierwszy w życiu, co to jest skarb dobroci. Rzucił się do moich rąk, ucałował je pośpiesznie i wypadł jak piorun z werandy. Zakurzyło się tylko na ścieżce od jego bosych nóg i znikł mi z oczu. Jestem pewny, że chłopak ten więcej kraść nie będzie, bo dusza jego otworzyła się jak kwiat ku słońcu Dobra i Piękna.

I pomyślałem sobie, że wciąż za mało robimy dla tych biednych bezdomnych dzieci ulicy, które opuszczone przez świat i ludzi wyrastają nieraz na złoczyńców, że w dzieciach tych jest przyszłość narodu, jeśli poprowadzi się je za rękę, oświeci, przytuli. Dlatego powinniśmy najczulszą opieką otaczać i nie szczędzić ofiar na wszelkie bursy, internaty, ochronki, schroniska, zakłady wychowawcze, te najpiękniejsze i najważniejsze placówki dobroczynności publicznej. Kto wie czy w tych brudnych, dzikich, wałęsających się po ulicy chłopakach nie tkwią materjały na przyszłych świetnych marynarzy, lotników, rzemieślników, sportowców, tylko trzeba nimi pokierować, wyczuć ich wrodzone zamiłowania, dać im naukę i dach nad głową, przygotawać do dalszego życia. Wiele w tym kierunku robią u nas Zakony Chrystusowe i Stowarzyszenie młodzieży polskiej (S. M. P.), które zwłaszcza w dawnym zaborze pruskim stworzyło potężną organizację oświatową. Złotą kartę w tem zbożnem dziele ma również w Małopolsce „Michalineum” w Miejscu Piastowem, instytucja owiana duchem Chrystusowym dla maluczkich. Lecz to wszystko za mało i wiele jest jeszcze do zrobienia na tem polu. Więc starajmy się wszyscy o dziecko własne i cudze, stwórzmy mu takie warunki egzystencji, ażeby zawsze było uśmiechnięte, bo ten uśmiech dziecka, to chyba najwyższe szczęście naszego bytowania na tej ziemi.

Czem się ucieszyć mogą ludzie starzy?
Co odchodzącym ich smutek umniejszy?
Jeśli na dziecka ukochanego twarzy
Zobaczę uśmiech szczęścia najpiękniejszy.

Czy go wywoła z włosami złotemi
Laleczka, kwiatek albo promień słońca,
To jest jedyna rzecz na naszej ziemi,
Na którą patrzeć pragniemy bez końca.

Bo coś z uśmiechu tego na nas spływa,
Coś nas dotyka skrzydłami srebrnemi
I duszy jawi się ta prawda żywa,
Że nie zginiemy bez śladu na ziemi.

Że choć na trumnę już się ziemia zwali
I choć zapomną o nas ludzie żywi,
To w swoich dzieciach żyć będziemy dalej,
Smutni ich smutkiem, szczęściem ich szczęśliwi.

W. BYCZEK.

Bądź pochwalony.

Za niepojęte Twe dzieła, o Boże,
Za wszechświat cudny i nieogarniony,
Za ziemię naszą, za słońca i zorze —
Bądź pochwalony!

Za te bezdenne błękitów otchłanie,
Gdzie tylko srebrny gwiazd pył rozproszony;
I gdzie nic niema — prócz Ciebie, o Panie —
Bądź pochwalony!

Za te Twą ręką zbudowane góry,
Za żyzność ziemi, deszczem Twym żyźnionej;
Za wszelkie życia — za piękno natury —
Bądź pochwalony!

Za grzmot wulkanów, za lazurów ciszę,
Za huk piorunów i szumy wzburzonej
Fali mórz, które Twój żywioł kołysze —
Bądź pochwalony!

Bądź pochwalony w dzieł Twych wszechharmonji!
Stwórco Wszechdobra — Miłości — Pokoju;
Wspieraj mą duszę mdlejącą wśród toni —
W życiowym boju!



EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI.

„Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica".

Instytutowi Mesjanicznemu w Warszawie.

...Komisarz zadzwonił na wartę, a gdy weszła, rzekł:
— *W razchod.* Zaraz otrzymacie, towarzyszu, bumażkę.

* * *

Do więzienia wracali Zwadowie tą samą drogą. Nic się nie zmieniło na świecie. Natura była bezczelnie piękną, jak wprzódy — przed godziną. Złocone kopuły bizantyńskie licznych

cerkwi, wyłaniające się z zasrebrzonej powodzi kędzierzawych brzóz, odświecały przeciw słońcu, jak banie lustrzane. W alejach brzozowych bawiły się na ciepłym piasku roześmiane dzieci. Tłum z lubością wałęsał się po słonecznej stronie ulic. I co komu było do tego, że ci oto dwaj idący pod bagnetem bladzi ludzie, o wejrzeniu śmiertelnie znużonem, w łachmanach mundurów, pamiętających przełęcz karpacką, Mołotków, Rafajłową i Kaniów, oglądają ten świat słoneczny wzrokiem żegnania na wieki.

Z całej rozprawy u komisarza skazańcy dobrze zrozumieli jedno słowo „w raschod“. Jeszcze w więzieniu obijało się często o ich uszy to słówko. W żargonie złodziejskim siepaczów czerwonej Rosji oznaczało to: rozstrzelać niezwłocznie. Byli zresztą przygotowani do wyroku, więc ani przeraził ich, ani zdziwił. A jednak teraz, gdy ostatnia nić nadziei prysła, zrobiło im się tak smutno, tak straszliwie żal młodego życia swego, że — aby nie krzyczeć na głos — musieli ściskać szczęki, aż do szumu w głowie i dzwonienia w uszach, aż do zgrzytu zębów. Nadomiar złego zauważyli, że idąc — maluczko się zataczają. Od dwu dni bowiem właściwie nic nie mieli w ustach. Administracja więzienia, rozumując przysłowiem rosyjskiem, że „przed śmiercią człek się nie nadyszy“, więźniów, pozostających na „uczocie“ czrezwyczajki, morzyła głodem. Lekkie zataczanie się, jakiemu Zwadowie podlegali, wielce ich zawstydzało. Samolubstwo junackie i nieśmiertelna pycha polska bolały nad tem, czy aby nieco menuetowe *pas* osłabionych nóg nie będzie wzięte u Moskali na karb tchórzostwa przed śmiercią.

Dochodząc do zakrętu alei, gdzie stała ławka owej bladej pani w żałobie, pomyśleli, że mogą jeszcze zobaczyć swoją nieznajomą przyjaciółkę.

Istotnie była ona tam dotąd. Gdy zbliżyli się do niej na kilka kroków, podniosła nieskwapliwie duże i ciemne oczy, zarzęsione otchłaniami smutku. Zeszłemi razy to robiąc, zawsze witała ich uśmiechem, ledwo dostrzegalnym, jak więdnienie kwiatu. Teraz z jej wzroku wyzierał pytający niepokój. Chłopcy zrozumieli wyraz spojrzenia i dali odpowiedź skinieniem głowy, które powiedziało więcej, niż kiedykolwiek wyrażał najtragiczniejszy gest wielkiego aktora. Chcieli w jakiś sposób pożegnać przyjaciółkę a jednocześnie wykazać swe junactwo. Więc obaj razem zasalutowali tak sprawnie i dzielnie, jakgdyby samemu Hallerowi.

A wtedy usta kobiece złożyły się w coś niewypowiedzianie pięknego w swej boleści, czującej cierpienie bliźnie. Nieznajoma nagle podniosła się z ławki i dłonią, przezroczystą jak opłatek, zrobiła nad przechodzącymi znak Krzyża Świętego. Na ten widok

w piersi skazanych targnęło się serce, jak dzwon, szarpnięty za sznur ze wszystkiej siły. Znak Krzyża był ów sam, jakim niegdyś pożegnała ich matka.

Tego już było dla nich za wiele. Człowiek mężnego ducha, pogrążony w nieszczęściu, zdzierży wszelką mękę, zniesie wszelkie urągowisko, lecz się załamie gdy mu w tem nieszczęściu ktoś niespodzianie okaże trochę duszy życzliwej. Załamali się i Zwadowie. Szloch utkwił im w gardle, niby dławiący kęs suchego chleba powstańczej niedoli polskiej. Ledwo połknęli te łzy.

Jan przyszedł do siebie pierwszy i ku zgrozie swojej ujrzał, że Jerzy idzie z zamkniętemi oczyma, jakby łzy nieposłuszne chciał zawrzeć przyciśniętą powieką. — Jeszcze mi się rozbeczy tu na ulicy — pomyślał z irytacją i ofuknął brata surowo:

— Jurku, opamiętaj się. Nieróbże Hallerowi wstydu.

Jerzy tylko zagryzł wargi, literalnie aż do krwi i odrzekł:

— Dobrze. Nie ucz mnie. Wiem.

Jednak upomnienie poskutkowało i Jerzy jął się rozglądać, jakgdyby ulice, któremi wracali, widział pierwszy raz.

* * *

Po przyjściu do celi usiedli w swoim kącie na asfalcie podłogi, głowę oparli o ścianę i długi czas nic nie mówili. Współwięźniowie nie pytali ich o nic. Jaki wyrok wydała na Zwadów czrezwyczajka, można było wywnioskować i tak. I znów, jak zeszłego wieczora, zapanował w celi nastrój przerażonego wyczekiwania. Zmora musnęła po piersiach cichem, nietoperzowem skrzydłem, a histerja w ściśnięte gardła zatopiła drobne kły, niby łaszący się kot, niewymownie obmierzły. Zaczęła się conocna, dobrze znana męka.

Jan spostrzegł, że ogólna uwaga jest zwrócona na nich. To go ubodło, jak bolesna ostroga. Wszystką cierpiętliwość żołnierską, jaka w nim jeszcze się ostała, zwarł w sobie i wyprężył nią zgnębionego ducha na wytrwanie do końca. Gdyby był sam, bez młodszego brata, możeby się z sobą nie uporał. Ale Jerzy był dlań czemś w rodzaju tej brzytwy, której chwyta się tonący. W obliczu śmierci należy się zająć czemkolwiekbądź, byle — nie sobą; *trzeba wyjść poza siebie*, gdyż inaczej nie da się rady temu lękowi potwornemu, który ogarnia wszelkie serce, dopóki bije ono w żywym człowieku. I Jan zajął się bratem. Jerzy zatrwożył go potrosze.

— Niewiadomo — myślał Jan — jak *to* się zachowa. Jeszcze się rozpłacze... Młode to a zawsze było rozegzaltowane. Ot, zwyczajnie, jak poeta. A tyle razy gadałem mu: „Rzuć te wierszydła. Co ci po Słowackim, kiedyś legun. Lepiejbyś wkuwał

na pamięć przepis szyków piechoty. Jesteś już kapral, bo awansowali cię za waleczność, ile żeś lazł jak głupi, gdzie trzeba i nie trzeba, ale nie potrafisz w zwartym szyku przećwiczyć plutonu. A teraz widzisz: najemy się wstydu obaj". Muszę go przekonać, pouczyć... Bo coś takiego, nie daj Boże, zrobi, że ta ziemia, co nasze ciała okryje, poruszy się ze wstydu za nas, za polskich żołnierzy, co nie potrafili umrzeć, jak się patrzy.

— Jurek wysłuchaj dobrze, co ci powiem — rzekł, kładąc dłoń na ramieniu brata. — Wiesz, że w życiu myślałem zawsze za ciebie i za siebie; i nigdyś na tem źle nie wyszedł. No, powiedz? Prawda? Jurek, słyszyszże, co mówię?!

— Słyszę, Janku.

— I rozumiesz?

— Rozumiem, Janku.

— To dobrze. A uważaj, ile logiki będzie w tem, co powiem — zażartował umyślnie, zaglądając nibyto po łobuzersku, jak za szkolnych czasów, do oczu Jerzego, pełnych ciemnej nicości, jak dwie czarne wypaście po sękach w trumiennej desce. I ciągnął dalej w tonie żartu, sądząc, że to otrzeźwi odrętwiałego na duszy brata.

— Niema sytuacji, z której nie można byłoby wybrnąć. Tylko cywil, uważasz, stara się ujść z całą skórą, a żołnierz — powinien wyjść z honorem. Skór ludzkich do garbowania Polska ma chyba ze sześć miljonów, ale honor — jeden. Teraz wojna, więc dusza Polski jest tam, gdzie Jej żołnierz nadstawia na kule łeb w dziurawej maciejówce. A reszta to — hinterland, Enkaen i wszelki tam inny komitet z paniami i bez pań, co urządzają wenty i różne kwiatki, aby dwaj żołnierze w kompanji mogli ustroić się do trumny w całe gacie. Zatem wyimaginuj sobie, że jesteś Polską. *Item* — ów jeden jedyny honor dźwigasz na sobie. Dobrze mówię? Co? Ale coś ty taki markotny? No, chłopie, dobra nasza. Raz mać na świat urodziła! Uszy do góry! Pamiętasz, jak przed atakiem mawiał to zawsze nasz kapitan? Byczy był chłop, co? Gdzieś pewno bolszewicy również i jego ze skóry łupią... Więc — uszy do góry! I słuchaj, co ci starszy brat powiada, abyś na tym interesie, co o świcie nas czeka, nie wyszedł na perłowo. Podziękujesz mi, zobaczysz... Co to ja mówiłem?... Aha. Otóż wszystek polski honor my dźwigamy. Patrzą na nas Moskale, więc trza uważać, aby rzeczy tak kruchej nie uronić pod ich but, śmierdzący dziegciem. Bo honor, jak powiada poeta, to zwierciadło rycerza, ze zwierciadłem trzeba, jak ze szkłem — ostrożnie. Jak to tam stoi po łacinie, bo już dobrze nie pamiętam, ale słowem — „wszyscy ludzie są śmiertelni, Juljusz Cezar jest człowiek, więc i Juljusza Cezara szlag trafi". Chodzi tylko o to, aby

szlag trafił go, jak Cezara, a nie jak cywila. Ergo — wszyscy żołnierze są śmiertelni, ty jesteś żołnierzem, więc sprawa jasna, jak słońce.

Nie możemy się bić, bo nie mamy w ręku karabina, więc pozostaje nam umrzeć, a umrzeć godnie. To jest poprostu nasz psi obowiązek! Psi obowiązek, powtarzam. Bo my — czemże jesteśmy? Proch, marność wobec tej Polski, za którą giniemy. Ty pomyśl, jaki to dla nas zaszczyt, żeśmy walczyli za nią z bronią w ręku. A że taki marny nam koniec wypadł — to trudno. Nie pierwsi my i nie ostatni. Tylu nas leży w ziemi i tylu jeszcze legnie... Tem się pocieszaj, bo niczem innem się nie pocieszysz. Ściśnij zęby, powiedz: „Tobie, Polsko!“ a z lekkiem pójdziesz sercem i staniesz pod mur.

Wiem, że ci żal życia, pisywałeś wiersze, marzyłeś o sławie... Dajmy na to, stanie się cud i z tej tarapaty wybrniesz cało. Bardzo pięknie! I cóż dalej? Napiszesz jeden i drugi tom poezji do księżyca, do posągu Wenery z Milo, do kwitnących bzów, do słowików na jaśminach, do włosów kochanki i do jej cienkich kostek na nogach. Lecz co z tego, pytam? Dużo jest takich panów, co o tem piszą a robią to lepiej od ciebie. Ale za Polskę zginiesz ty, a nie oni. Oni zostaną i dalej będą rymować o księżycu, o pałacach dożów weneckich, o łabędziu i Ledzie. A jak sumienie ich ruszy, to może nawet ładny wierszyk o nas ułożą. Tak to bywa na świecie...

A kiedyś, po latach, wstanie z gruzów Wielka Polska i nas, bezimiennych, pomści ogniem i żelazem. Potem, jak przyjdzie jaka rocznica — nasz naród bardzo lubi rocznice — to o nas, poległych w tej wojnie, wspomną ryczałtem i zrobi się im przyjemnie i ciepło na sercu od łezki patrjotycznego mazgajstwa. A my, bracie, będziemy leżeć w tej obcej ziemi, równiutko ułożeni, i żadnej już krzywdy nikt nam nie wyrządzi. Skończy się męka. Zapomnimy o świecie, a ludzie o nas zapomną. I w tem zapomnieniu będzie nasza wielkość, wspanialsza od sławy wielkich mężów pióra. A wielkości tej nikt nam nie wydrze, bo zapłacimy za nią krwią serdeczną; a i któż bo, prócz nas, będzie na nią łasy? Ale trzeba rzetelnie na to zapracować. W lufy do ciebie wycelowane trza spojrzeć nieulękle. Daj mi słowo, Jurku, że dotrwasz, że sumiennie zarobisz sobie na tę wielkość. Oni są straszni — ci, którzy przyjdą do nas, aby zamordować... Sam wiesz, jacy oni są. Dlatego ci mówię. — Więc daj mi słowo żołnierza żelaznej brygady, że się nie ugniesz, że obaj pomrzemy inaczej, niż ci, co tu siedzą, zamknięci z nami, a żaden nie wie, za co dostanie kulą w łeb. Dasz słowo? Dobrze? Jurku, braciszku mój kochany?!...

W te słowa Jan mówił do brata i czuł, że i sam znajduje w nich olbrzymie upojenie, jakby się przed kim spowiadał i kogoś pocieszał zarazem. Miłość do Ojczyzny i miłość braterska włożyła mu w usta te właśnie słowa, które były potrzebne. Młodzieniec zawsze chlubiący się trzeźwością swych poglądów, a dla leguńskiej tężyzny rozmyślnie w sobie hodujący żołdaczość duchowych odruchów, przemawiał, jak poeta, nie wiedząc o tem wcale.

A Jerzy słuchał i jaśniał na twarzy, jak lampa, w której rozpala się święty ogień. Brał do duszy każde słowo brata i zamykał je w muszlach myśli, kwitnących, jak perłowa macica, młodzieńczemi barwy i szlachetnie podatnych na wszystko, co wielkie i piękne. Z tych słów urabiały się w nim jakoby perły, nizane na złotą nitkę uczucia. A nić ta snuła się z jego serca, nagle wskrzeszonego, i wracała doń, objąwszy pierścieniem bolesnego ukochania całą daleką ziemię ojczystą i znacząc jej tą miłością żołnierską granice, których nie zamaże przenigdy żaden polityczny traktat, podpisany nieuczciwą ręką możnych maklerów tego świata. Jerzy z tą twarzą jasną, z płomieniami w źrenicach, łyskającemi jak miecze skrzyżowane, rzekł cichym, pozornie obojętnym głosem:

— Ja nie zrobię wstydu — ani Polsce — ani naszej Brygadzie — ani tobie, Janku. Tak mi dopomóż Bóg, że nie zrobię.

Poczem obaj bracia wstali, aby się przechadzać po celi. Była w tem inicjatywa Janka, który wielce troszczył się o to, jak się wydają z bratem ludzkim oczom; czuwał nad zachowaniem się obu, mającem podkreślać, że oni sobie nic, ale to nic najzupełniej, z rychłej śmierci nie robią. Teraz przychodziło im to tem łatwiej, że osiągnęli stan ducha, do tego niezbędny: *śmierć przestała dla nich istnieć.*

O tem nieistnieniu śmierci — to nie komunał poetycki, lecz prawda istotna, jak samo życie. Ażeby pogodnie umierać, będąc mordowanym, trzeba być żołnierzem Chrystusa, albo żołnierzem wielkiej ojczyzny. Nad głową skazańca musi jaśnieć promienny Krzyż, lub odwieczne godło jego ziemi. Pierwsi chrześcijanie umierali w ekstazie męczeńskiej, śpiewając pieśni pobożne. Romuald Traugutt uśmiechał się do tłumów pod hakiem moskiewskiej szubienicy, a Toczyski ucałował swój stryk, jak relikwję. Bajką jest, co wiemy o pogodnej śmierci senatorów rzymskich, skazywanych przez cezara. Sumienne studja historyczne mówią, że oblamowani purpurą stoicy chwytali się życia, wyrywając się z rąk nasłanych dla zamordowania centurjonów, jak zarzynane prosięta, które wierzgają i kwiczą wniebogłosy. Samuraj, robiący sobie z wyższego nakazu harakiri, umiera przecie z pobudek

honoru, identyfikowanego z pojęciem ojczyzny. Aby więc umrzeć pięknie, *trzeba wyjść poza siebie* i roztopić się w czemś wiekuistem, jak Bóg, i wiecznem, jak ojczyzna.

Zwadowie wychowani w czasach, gdy religijność była wyśmiewana, a tradycja ojców — z młodych głów wyparta przez europejską filozofję, wykalkulowaną przez Żydów i duchowych ich bastardów, nie słali do Boga modlitwy, coby wysłana wracała, jak cicha gołębica, składająca na zrozpaczonej piersi oliwną gałązkę łagodnej pociechy. Lecz, że byli żołnierzami na ordynansie u niewskrzeszonej Rzeczypospolitej, oto, na ich pierwszą myśl o Niej, przyszła — Ona, Najjaśniejsza, Wspaniała, Wyśniona... Cierpiące dusze roztopiła w wielkości swojej i natchnęła je zbiorowym duchem wszystkich bezimiennych Trauguttów, Toczyskich i Okrzejów.

Wyolbrzymiła ku sobie miłość skazańców i uczyniła, iż każda ich myśl w głowach, rosnących aż pod sklepienie niebieskie, przewiewała szeroką falą wiatru, co od gór tatrzańskich płynie wzdłuż srebrnej i błękitnej Wisły, pomiędzy nieobeszłą polską ziemią a wysokiem i zadumanem polskiem niebem.

Słowa Jana poruszyły w Jerzym najgórniej dźwięczące struny. Jerzy mówił o czemś do brata powoli, jakby przypominał z siebie rzeczy cudowne a głęboko dotychczas ukryte. Było tam: o domu, o matce, która nigdy nie będzie wiedziała, jak pomarli jej synowie, o towarzyszach niedoli żołnierskiej, co może doczekają żywi niepodległej Polski. Najwięcej jednak obchodziła go Ojczyzna. Gdy o Niej mówił, był w swej ekstazie anhellicznej nieskończenie, marzycielsko piękny.

— Myslę, Janku, nad tem, coś powiedział o Polsce i o nas. Że wobec Niej proch jesteśmy i nicość. To tak, jakby Rzeczpospolita była świętym słowiańskim dębem, który konarami rozniósł się ponad wszystką ziemią naszą. Pokolenia polskie to dębu tego liście. Sto razy i więcej zazielenieje, zżółknie i opadnie listowie, ale dąb stoi, jak stał, i szumi wyniośle. Rodzili się, żyli i marli na polach bitew i po katorgach Polacy, ale Polska nie minęła i nie przeminie nigdy. A my właśnie, ja i ty, Janku, to takie dwa listki, zawiane Bóg nie wie gdzie... My zmarniejemy, jak liść, zadeptany w krwawem błocie, ale Drzewo nasze, zanim od gromów dziejowych zwali się ostatecznie, pierwej po stokroć wyda ze siebie zieleń, chlubniejszą nad laury starogreckich bohaterów. Pamiętasz, Janku, mój wiersz, ten, co to wydrukowano go w gazecie legjonowej na pierwszej stronie a nawet grubszym drukiem? Ty go nazywałeś banialuką modernistyczną, a ja zawsze mówiłem, że to najlepszy mój wiersz. Powiedziałem tam o Polsce, że Jej wizję niesiemy wszyscy na

bagnetach naszych, jak cudnego motyla. A bardzo ostrożnie tego motyla niesiemy, aby się nie spłoszył i nie odleciał. Z twego i mego bagnetu ten motyl odfrunął. Lecz żywi doniosą go do ziemi polskiej, a wtedy on w orła się wyskrzydli, wbije szpony orle w graniczne kopce i ziemi swojej nikomu nie odda! Tyle będzie nieprzejednanych orłów, ile bagnetów. A święty nasz Dąb okryje się drogocenną zielenią młodzi, która dorasta, zapatrzona na wielkie zdarzenia w Ojczyźnie. Kiedyś Polska musi być skrzydlata dwojgiem mórz, wzrośnięta w swe dawne ziemie, pod republikańskiem berłem sprawiedliwych i wolnych rządów, dzierżąca plemiona pobratymcze, które oddadzą się pod Jej królewskie ramię. Ale w jednem nie zgadzam się z tobą: Mścić się Polska na nikim nie będzie. To Niemiec knuje skrytobójczy odwet a Moskal rozjusza się szałem zemsty. My na to za szlachetni, za jaśnie wielmożni. Gdzieś o tem proroczo woła Słowacki, że kiedy ze snu Polacy powstaną, to zadziwią się narody, że bój jest taki krwawy, ale nie słychać zwierzęcego krzyku...

Jan słuchał uważnie tych słów i nagle, w jakiejś chwili, Jerzy wydał mu się kimś innym, więcej niż zwyczajnym bratem.

Nie był to już „niedorajda“, któremu w dzieciństwie nabijało się guzy z tytułu starszeństwa i większej siły w chłopięcej piąstce, nie był „wierszokleta“, piszący całemi nocami sążniste tasiemce rymem we wspólnej stancyjce studenckiej; i nie był „cywilny kapral, nie umiejący w zwartym szyku przećwiczyć plutonu“. Jan dostrzegł w bracie jakąś wielkość, posianą w jego duszy nie ludzkiemi rękami. Zadumał się nad tem i naraz go pożałował, wprost już po ojcowsku, rozpaczliwie, za to właśnie, że przecie Jerzy, razem z tą świeżo odkrytą wielkością, za parę godzin zginie od kuli moskiewskiej.

A on, tem swojem marzycielskiem jakiemś recytatywem, mówił dalej:

— Czy znasz ten wiersz Norwida?

Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica,
tam jest mój środek dziś, tam ma stolica,
tam jest mój gród...“

— Czytałem to kiedyś, alem tego nie rozumiał wtedy, choć względem Norwida robiłem minę ogromnie pojętną i panibracką. A teraz naprawdę rozumiem. Bo jestem żołnierz Polski, na którego śmierć już woła. Tyle jest więzień w tej czerwonej Rosji, a w każdem siedzi legjonista i czeka swojej godziny. Nie pomrzemy dzisiaj samotnie. W każdem więzieniu chodzą wzdłuż celi nasi koledzy i, jak my, rozmawiają z sobą. A tam, gdzie ostatnia zaświeci szubienica, gdzie tylko ostatnia rozlegnie się

salwa, będzie dziś środek Polski najlepszej, stolica Jej ducha i niezdobyty gród bohaterstwa bez gestu. Jak myślisz, czy oni również są tacy jacyś... szczęśliwi, jak my?

— Kto?

— Tamci, co w innych więzieniach...

— Przypuszczam, że tak. Oni też — za Polskę...

— Nie wyśmiewaj się ze mnie, Janku. Ale coś takiego czuję, że chciałbym ściskać ciebie i całować. Coś takiego... jakby to określić? Sam nie wiem... Zdaje mi się, że mam pełną pierś tego szczęścia dziwnego, że po wszystkich żyłach pulsuje mi ono, niby słońce płynne. Jak mnie zastrzelą, to zamiast krwi, lunie na ziemię potok plam słonecznych! Hm, wcale niezłe porównanie poetyckie... Ach, Janku, Janku, jakże ja teraz wiem i wierzę, że na świecie jest coś większego nad życie i mocniejszego nad śmierć!...

Jerzy mówił, a Jan coraz to mocniej czuł owo, ojcowskie jakby, rozżalenie na okrutny los i przyszła nań obawa, zkolei o siebie, aby się sam nie rozbeczał. W lot pojmował wszelkie „modernizmy" brata, ale jego nie mógł już poznać: tak mu w oczach zmienił się i urósł. Istotnie w Jerzym na ową chwilę odmieniła się dusza. Może i lepiej, że zginął. Bo gdyby na wojnę nie chodził, stałby się zapewne jednym z tych poetów, co widzą i odkrywają wszystek swój świat wciąż i wciąż jeno w ciasnym kole bioder kobiecych, opisując swe odkrycia wytwornisiowskiem słówkiem, tudzież żonglerskim rymem, wymanikiurzonym, jak paznokcie stołecznej nierządnicy. W najlepszym razie mógłby kiedyś napisać pięknym stylem dramat, w którym syn uwodzi rodzoną matkę, a matka syna, poczem schodzą ze sceny niby to dla dalszego grzechu w słodkiem sam na sam, zaś publiczność wyje i klaszcze, jak opętana. Jednak Jerzy, na szczęście dla ojczystej literatury, w cywilu nie został, lecz wojował. I oto przed śmiercią zestrzelił całą ekstazę twórczą w improwizacji, wypowiedzianej bratu, niby w łabędziej pieśni swojej. Wszelki „bodeleryzm", „nowy dreszcz w sztuce", „naga dusza", „absolut", wszystko to, co wykarłowacało całe pokolenia polskie, opadło z Jerzego pod dotknięciem świętej różdżki chwil przedśmiertnych, jak słomiany chochoł z krzewu róży, gdy wrychle ma ona rozkwitnąć krwawemi gruzłami kwiecia. A zostało w nim to, co jedynie było pięknem i zawsze będzie: młoda, czysta i ofiarna dusza żołnierza polskiego.

— A wiesz co, Janku? — ciągnął dalej rzecz swoją Jerzy. — Jedno mię tylko niepokoi... Gdy Polska będzie już niepodległa i wielka, przecie nie wszystko w niej pójdzie dobrze. Widzieliśmy za naszych czasów różnych ludzi. To pewno i w wolnej Polsce

będą rozmaici Polacy. Nawet na słońcu bywają plamy... Tylko to mi w głowie pomieścić się nie może — biję się z tą myślą, ale nie chcę jej uwierzyć — żeby znalazł się kiedykolwiek w gromadzie polskiej człowiek, coby mógł — strach pomyśleć! — wyciągnąć rękę do naszych katów po ich dłoń, lepką od naszej krwi. Przecie wyciągnąć trzeba ją będzie przez nasze, rozumiesz? *nasze* mogiły!...

— Idealisto ty, idealisto! — pokiwał głową Jan. — Całe życie uczyłem ciebie rozsądku, a ty umierasz niepoprawny. Wspaniałość polskiego ducha i jego szlachetność bywa od Tatr niebosiężniejsza, lecz znaszże ty podłość duszyczki ludzkiej? Tej, co to koziołkuje na błazeńskiej arenie polityki każdego państwa quasi-samodzielnego, a sprzedajna jest jak dziewka, która za złoto byle alfonsa gotowa na ekscesy najhaniebniejsze?

— Nie mów tak, Janku. Trzeba w duszę polską wierzyć. Ja w nią wierzę! W godzinę śmierci mojej wierzę! Takich ludzi w Polsce nie będzie.

— Daj Boże. I mnie nawet trudno sobie wyobrazić, aby naszej Polsce wydarzył się taki kolosalny szubrawiec.

* *
*

Na takich to gawędach schodził żołnierzykom polskim czas przed śmiercią. Chwile upływały, jak ziarna piasku w klepsydrze. Nad światem rozpostarła się upiorna biała noc krain północnych. Do okien zaglądał przezroczysty księżyc, już się nadszczerbiający. Za ogrodzeniem więziennem szeleściły liście srebrnych brzóz, jak papierowe karty książki, doczytywanej do końca. Szybko mijał czas.

Zwadowie, objąwszy się ramieniem, wciąż spacerowali po celi, z przyzwyczajenia idąc krok w krok, jak na mustrze.

Gdy który z nich gubił w chodzeniu takt, to wnet poprawiał się, jak żołnierz, co „wskakuje“ w ogólne tempo koleżeńskiego marszu. Owa biegunka muzgowa, gnębiąca ich podczas powrotu do więzienia, dawno już ustała. Mieli ład w myślach, harmonijność w ruchach i wydawali się czemś ukojeni, niby wierzący człowiek po przyjęciu Komunji. Zapatrzeni w dale i szczyty, im jeno widzialne, jakby nie dostrzegali tej ludzkiej reszty, która wraz z nimi zamknięta była pod klucz.

Więźniowie-Rosjanie zrazu zdumieni byli takiem zachowaniem się Zwadów, bezprzykładnem dotąd w dziejach celi. Lecz, że Moskal za gminny jest duchem, aby zrozumieć orle szlachectwo duszy polskiej, przeto spokój i zewnętrzną obojętność Zwadów inni więźniowie wytłumaczyli sobie, jak na to ich stać. Nawet poczęli odczuwać do skazańców niechęć pewną. Władca umysłów rosyjskich (włastitiel umow), własnowolny cham i po sekciarsku

prawosławny mistyk, Fiodor Dostojewskij, będąc na katordze, zetknął się z Polakami, zesłanymi na Sybir za udział w powstaniu styczniowem. Nie podobali się mu rodacy Andrzeja Towiańskiego. Ilekroć w swych pismach wspomina o nich, zawsze dodaje nieżyczliwie: „gordyje Polaki“. Rosjanin, gdy czego nie rozumie, lży to zazwyczaj. To też i gromadce więźniów przewijały się złośliwe szepty o „polskoj gordosti“.

— Wot preklatyj narodiec! Skowyczy to w duszy, jak pobity pies, ale przez gordost' nie wypłacze się dla ulgi na słowiańskiej piersi towariszcza po niesczastju — myśleli i mówili Rosjanie.

Jeden z nich, znany Zwadom lepiej, bo nieraz rozmawiali z nim, jako że władał łamaną niemiłosiernie polszczyzną, podszedł do nich i rzekł:

— Panowie jednak dzielnie się trzymają...

Skazańcy obejrzeli go, jak rzecz martwą, i czekali, co on dalej powie.

— Ja to rozumiem, panowie. Moja matka także była polskiego pochodzenia. Honor to wasz Polski, honor... Tak, tak... Piękna to rzecz mieć honor... Ja to rozumiem.

— A czy wiesz — zapytał Jan — za co walczyliśmy i za co giniemy, mój panie, który powiadasz, że z Polki się rodzisz?

— No, tak, tak... Niby wiem... Ależ doskonale wiem!

— Nie, bratuszko Słowianinie, nie wiesz. I nie dowiesz się nigdy, choć bujną duszę nosisz na rozpaszkę. I ja ci tego nie wytłumaczę. Bo niedola zamyka duszę polską na siedem żelaznych rygli nieugiętej dumy i przykłada niepołomną pieczęć honoru, owego właśnie, o którym mówiłeś. Ta rzecz dla nas samych wytłumaczy się dopiero — naszą krwią, co z przestrzelonej piersi chluśnie na gnój waszej ziemi...

Czas mijał. Szczerbaty księżyc, wpierw tkwiący w dolnych prętach krat, podniósł się już na szczyt okna. Piały dalekie koguty. Ulicą przechodziły patrole, stukocąc po nierównym bruku sołdackiemi butami. Poza tem było cicho, jakby nadleciała i tam, pod krwawym murem, usiadla wyczekująca śmierć, potwornie szczerząca zęby, jak koński kościotrup.

Zwadowie, zmęczeni przechadzką po celi, spoczywali w swoim kącie. Umilkli, zapodziani w błękitnych przepaściach swego ducha. Czasami odzywali się, a każde słowo, nim z warg zleciało, ważyło się, jak motyl o nieziemskich barwach, co się namyśla, czy od kwiatu warto oderwać się, by lecieć...

Nie dosłyszeli hałasu, uczynionego na schodach przez zbrojnych ludzi, którzy przyszli nad ranem do więzienia. Ocknął ich dopiero ów Słowianin, który mówił, że jest z matki Polki:

— Panowie. Czyście ogłuchli? Hej, panowie! Pożegnajcie się z sobą, póki czas. Bo zaraz wam ręce powiążą. Czyż nie słyszycie? Już idą po was...

Wtedy pożegnali się krótkim uściskiem i pocałowaniem braterskiem. Sami poszli ku drzwiom, które właśnie otwierano ze zgrzytem rdzawych zasuw i dzwonieniem dobieranych kluczy.

Marynarzom, mającym dokonać egzekucji, przewodził sam komisarz Wasia. Do osobistego udziału w mordowaniu legjonistów natchnęła go sprzeczka, jaką miał ze swoją sekretarką, vel kochanką. Po odejściu Zwadów z czrezwyczajki do więzienia, Zosia jeszcze raz próbowała przekonać Wasię. Doszło nawet do łez i ataku histerji, zupełnie zresztą nieudawanej. Lecz Wasia, pomny na swą zasadę dygnitarską, niewieściemi łzami niezbyt się wzruszył, natomiast jeszcze mocniej zaciął się w postanowieniu. Nadto przypomniała mu się jedna dawna kłótnia, w której on Zosi ustąpił, więc zdecydował teraz, przy nadarzonej sposobności, owo ustępstwo sobie powetować. Oznajmił Zosi, że skoro już tak bardzo obchodzą ją ci dwaj „buntowszczyki“, tedy on, jako komisarz, osobiście dopilnuje, aby „wszystko obeszło się po zakonu“, i dał słowo, że Zwadom „resztkę chwil osłodzi, jak to on tylko potrafi“.

Wbrew oczekiwaniom skazańców, poprowadzono ich na śmierć niepowiązanych. Gdy schodzili ze schodów, Jerzy potknął się i, upadając, potrącił jednego z oprawców. Ten go za to uderzył w pierś kolbą karabinu, aż jękło, i wypoliczkował. Pod murem ustawiono narazie tylko Jerzego. Jan został opodal w asyście dwóch marynarzy. Miał przypatrywać się, jak będą strzelali do jego brata. Zresztą nic go teraz nie obchodziło. Na wszystko zgóry był przygotowany. Blade jego oblicze stężało w boleściwą spokojność, jakby miał zamiast twarzy gipsową maskę pośmiertną. Nic — prócz troski: jak się zachowa brat, czy aby wytrwa? Gdy rząd luf był już wycelowany do strzału, niby szczeknięcie złego psa, padały kolejne słowa rosyjskiej komendy, Jerzy z za szczeci zniżonych bagnetów przesłał Janowi uśmiech. Błogi to był uśmiech, lecz tak bezgranicznie wysilony, jak ostatni niedobłysk robaczka świętojańskiego, co gaśnie, rozdeptany. — Po strzałach Jerzy bezwładnie się zachwiał, jak obsuwający się worek, napełniony piaskiem. Potem z rozmachem runął, straszliwie wyrzynając głową o mur. Jan patrzał bez czucia, w osłupieniu, aż do chwili, gdy rozstrzelany brat o mur głową uderzył. Wtedy cały ścierpł. Pod czaszką uczuł jakoby wrzask myśli:

— Ach, jak można! Co oni robią dziecku! Tak się głową uderzył... Jak można!...

Ale trwało to mgnienie jedyne. Gdy potem patrzał na leżącego brata, w którym uciekające życie charczało, jak żar zalewany

wodą, już znowu skamieniał do szpiku kości, do najzawilszych zwojów mózgu.

Trupa brata kazano mu wziąć i nieść za więzienie, na miejsce, gdzie był śmietnik. Tam czerniał dół, wykopany zawczasu. Jan ciepłe jeszcze ciało niósł ostrożnie, jakby to było uśpione dziecko. Krew sącząca się z pleców umarłego, przesiąkłszy kurtkę na piersi Jana, dotknęła go, jak wilgotny i mdlejący pocałunek z zaświata, miłośnie składany na braterskiem sercu. Skądś wybłąkało się dawne wspomnienie:

— To już raz było... było już raz... Ach, prawda! Na polu mołotkowskiem tak cię, braciszku, dźwigałem, a tyś ranny krwawił...

Niedostygłe zwłoki złożył do jamy, płytkiej, jak rynsztok. Ukląkł i oburącz spychał ziemię. Marynarze dopomogli mu, używając kolb, jak łopat do zgartywania. Poczem wrócił i stanął pod murem na miejscu Jerzego, uważając tylko, aby nie nastąpić na ziemię, mokrą od krwi, świeżo przelanej.

Szereg uszykował sią na nowo i do ramienia przyłożył broń. Znów kolejno rozległa się komenda. Gdy doszło do ostatniej, po której strzał pada, komenderujący komisarz Wasia rozkazał wziąć karabiny do nogi.

— Zapalcie papierosa, towarzysze — rzekł — mamy czas.

Jan poczuł, że kolana mu naraz rozluźniły się gwałtownie, jak węzły, nagle rozepsnięte. Więc oparł się plecami o mur i czekał, machinalnie śledząc, jak marynarze kręcą z machorki papierosy, nie śpiesząc się zapalają i z zadowoleniem wydmuchują biały dym.

...Po jakimś czasie znowu zobaczył wyloty luf, skierowane nawprost swej piersi.

Doszedł go głos, nań wołający. Ledwo zrozumiał, coby znaczył głos. To komisarz zachęcał:

— Nu, pan, teraz krzycz swoje „Jeszcze Polska nie zginęła".

Potem — głośna komenda. Tym razem — do końca; usłyszał najwyraźniej to jakieś śmieszne: „pli!" W ledwomgnieniu, pomiędzy komendą a salwą pomyślał piorunującem pociągnięciem nie myśli już, lecz jakiegoś wiedzącego uczucia:

— Zaraz umrę.

A jednocześnie, w tejże czątce sekundy, zanim salwa się rozległa, coś wewnątrz niego olśniło go tak wspaniałą błyskawicą, aż musiał oczy przymrużyć:

— A to jest śmierć. Więc *to* tylko! O, Jurku, ty już wiesz. Ludzie, którzy myślicie, że zabijacie — gdybyście wiedzieli!... Stójcie!... Wpierw dajcie wam powiedzieć to!... O ludzie, głupi, biedni... Nie wiecie prawdy... Przecie śmierci niema... Niema!...

W kamiennym worku dookolnych ścian gruchotnęła salwa, jak garść stalowych orzechów, rozgryzionych potężną szczęką...

W tym czasie w czerwonej Rosji również po więzieniach innych padali na wznak legjoniści polscy, zszarpani salwami kul, wyplwanych z broni moskiewskiej.

Zaś w dalekiej Polsce zegary poważnie wydzwaniały godzinę czwartą po północy — według berlińskiego czasu. A w obu stolicach nad zamgloną Wisłą zmieniały się niemieckie posterunki, zakapturzone hełmem, niezgrabnym jak skafander nurka.



JANINA WAŚCISZAKOWSKA.

Modlitwa.

Według wielkości miłosierdzia Twego
Osądź nas, Panie, za grzechy i winy,
Ciężką pokutę ślesz na ziemskie syny
I ponad siły stał się nadmiar złego;
Bądź nam miłościw, dobrotliwy Boże,
Odwróć zło od nas, błagamy w pokorze.

Ludziom bez jutra — daj stanąć do pracy
I pozwól ręce trudzić znów we znoju,
I głodne dzieci, jak niebiescy ptacy,
Niech znajdą pokarm i wodę we zdroju;
Nędzarzom ziębłym, bez dachu nad głową,
Dopomóż znaleźć schron w porę zimową.

I tym, co ognisk rodzinnych nie mają
Rozniecić miłości ciepło w sercach bratnich,
Niech będą pierwsi w Bożym wiecznym raju
Ci, co na ziemi niszczeli ostatni,
Już ponad siły stał się nadmiar złego,
Więc sądź nas według miłosierdzia Twego.



Parana: Pinjory.

Fr. F. Łyp.

Polacy w Brazylji.

Upłynęło 60 lat, gdy pierwsi emigranci polscy osiedli w Brazylji w stanie Parana na kolonji nazwanej Pilarzinho (pod Kurytybą — stolicą stanu) w 1871 r. Nazwa ta oznacza „pielgrzym“ — bo zaiste, pielgrzymami byli ci pierwsi osadnicy polscy, którzy po przybyciu ze Śląska do S. Cathariny przeszli tyle przygód, ponieśli tyle trudu, pokonali tyle przeszkód, przebyli tak rozległe puszcze, że gdy dostali się wreszcie po prawie czteroletnich przygodach na wyżynę parańską, miano to słusznie im się należało.

I zaczął się potem ciąg naszego chłopstwa do Brazylji, do tej — jak powszechnie sądzono — ziemi obiecanej, a jak twierdzili agenci emigracyjni, ziemi, którą Matka Boska podarowała Narodowi Polskiemu, aby nie tułał się po świecie, ale osiadł w tej krainie, gdzie — według zapewnień agentów — jest taka urodzajność gruntu, że nawet, jeśli się wsadzi parasol w ziemię, to wkrótce, obok młode parasolęta wyrastają, a małpy z własnej ochoty orzą ziemię dla osadników.

Słuchali tych dziwów chłopi, skwapliwie dopytywali się, czy udaje się tam pszenica, a otrzymawszy odpowiedź, że wyrasta jak

las i nawet trudno ją kosić, bo taka słoma gruba, ruszali z rodzinami za morze. Gdy nie mogli dość szybko otrzymać paszportów, przemykali się nocami przez zieloną granicę, za ostatni grosz i bez zapasowego odzienia i bielizny docierali do portów, skąd za pośrednictwem usłużnych Niemców, rząd brazylijski zabierał ich corocznie dziesiątkami tysięcy na swój własny koszt i dostawiał na kolonje, gdzie dawał im ziemię na spłaty i zapomogi aż do pierwszych zbiorów.



Osada polska w Brazylji.

A ciąg ten stale przybierał na sile, aż wybuchnął żywiołowo. Ruszyli na ziemię brazylijską nietylko fornale dworscy i chłopi bezrolni, którzy nic nie mieli do stracenia, ale także małorolni, zamożni gospodarze i nawet robotnicy fabryczni. Nastroje były takie, że okres ten nazwano „gorączką brazylijską". Cały bowiem żywiołowy ruch emigracyjny uważano za objaw niezdrowy, za upust żywej krwi narodu, który to upust pozbawia kraj sił żywotnych i tanich rąk do pracy na roli.

Takie było przekonanie niedawno, bo zaledwie przed czterdziestu a nawet trzydziestu laty. Zapatrzeni w owym czasie w wewnętrzne nasze sprawy narodowe, pogrążeni jedynie i wyłącznie w troskę o byt narodowy i paleni pragnieniem swobody, wolności i własnego bytu państwowego, uważaliśmy każdego emigranta, niejako za zbiega, za ubytek bojownika, którego nam może braknąć

w momencie decydującym walki, gdy do niej staniemy przeciw najeźdźcom, gdy ziści się nasz sen o Niepodległości.

A równocześnie ludy europejskie olbrzymiemi masami parły w kraje zamorskie, ugruntowując tam swoje sprawy gospodarcze i kolonizując obie Ameryki: północną i południową. Był to okres niebywałego przedtem, ani potem wychodźtwa, które przyniosło Ameryce kilkadziesiąt miljonów ludzi i stworzyło podstawę jej potęgi i dobrobytu. I naród nasz był pod wrażeniem ogólnego podniecenia emigracyjnego, do którego dołączyła się ciężka dola naszego wolnego najmity, związanego pracą z ziemią, ale jej pozbawionego. Pragnął nasz chłop posiadania ziemi, parł więc wszędzie tam, gdzie miał nadzieję ją uzyskać — nawet na końcu świata.

Rosła więc fala emigracyjna i co roku to z większą, to z mniejszą siłą wyrzucała masy naszego chłopstwa pod skwarne niebo brazylijskie.

A tam w kraju palm pierzastych, kawy, bananów, ananasów, stepów ogromnych, puszcz olbrzymich, rzek niezbrodzonych i wiecznej wiosny, rozpoczął się dla chłopa naszego okres ciężki, okres, który można nazwać tylko Golgotą cierpień.



Parana: Kolonja Rio Claro — w głębi kościół polski.

Agitacja rozwinięta w całej Europie za przychodźtwem do Brazylji dała nadspodziewanie obfity plon: setki tysięcy osadników co roku.

Baraki emigracyjne na Wyspie Kwiatów (pięknie się zwie ta wyspa, ale kwiatów na niej niema) w ślicznej zatoce Rio de Janeiro były stale przepełnione. Podczas gdy emigranci innych narodowości mieli opiekę konsularną oraz spotykali swych ziomków dawniej tam osiadłych, za których radą wiedzieli w które skierować się części Brazylji, prawie tak dużej jak Europa, o różnych klimatach, bardzo gorących lub tak łagodnych jak lato nasze, to nasi emigranci bez opieki i rady nie wiedzieli co począć, nie spotykając nikogo, kto służyłby im dobrą radą. Każdy więc ruszał na chybił-trafił, wpadał najczęściej w jak najgorsze warunki, w których ginęły nietylko słabe dzieci i kobiety, ale marli najsilniejsi mężczyźmi.



Wodospad Santa Marja na rzece Iguassu.

Straszne te przejścia chłopa naszego, bez żadnych środków pieniężnych, analfabety rzuconego dolą na obczyznę, bez znajomości kraju, warunków bytowania, pracy i języka, niewiedzącego gdzie się obrócić, pozostawionego bez opieki swego narodu, który szamotał się w bezsilnej niemocy z zaborcami i tak tem był zajęty, że nawet nie widział niedoli braci swych, rzuconych za ocean ujęła z całą wyrazistością i świetnie opisała nasza poetka ludowa M. Konopnicka w eposie: „Pan Balcer w Brazylji“.

Większość jednak emigrantów skierowała się na południe Brazylji; przeważna z nich część udała się na płaskowyż w puszcze parańskie, o klimacie łagodnym, mniejsza część udała się jeszcze dalej na południe w równie dobre warunki w puszcze riograndeńskie.

I tu rozpoczęła się dalsza droga cierniewa naszego chłopa-osadnika w odwiecznej puszczy brazylijskiej. Na niektórych kolonjach natrafili osadnicy na przygotowane działki i zaraz na nich osiedli, ale na innych, tkwili osadnicy miesiącami w barakach i czekali aż działki ziemi będą im odmierzone. A tymczasem dur brzuszny (tyfus) zaczął ich dziesiątkować. I szły codziennie pochody pogrzebowe, niosąc na mogiły po kilkanaście zgasłych istnień ludzkich. Lud padał na kolana na cmentarzu, z płaczem

wyciągał ręce do nieba i zanosił modły: Święty a Nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami.

Powrót do Ojczyzny był już niemożliwy — nie było za co i dokąd powrócić. Wprawdzie łudzili się różni, rozsiewanemi wieściami, że przez ocean buduje się most, po którym może każdy piechotą powrócić do Polski, ale śmielsi chyłkiem zaczęli wymykać się w puszczę z baraków — miejsc zakażonych. Ścieżynami leśnemi przedzierały się rodziny i osiadały tak, jak mniej więcej wykombinowali sobie, gdzie przypadną im działki.

Wkrótce senne puszcze brazylijskie zadrżały pod toporami chłopów polskich. Olbrzymy kilkusetletnie pinjory, cedry, kanele, imbuje — runęły. Chociaż niejeden osadnik zginął przywalony olbrzymiem drzewem i chociaż — gdy skończyła się pomoc rządowa — nędza zaglądała zewsząd w małe, naprędce sklecone chatki, chociaż brak było jakiejkolwiek opieki lekarskiej i słowa otuchy i zachęty z zewnątrz, to jednak wkrótce otwarły się małe polanki, a na nich niezadługo pojawiły się schludne, białe domki kolonistów. Tu i ówdzie powstały większe skupienia, a nawet ukazały się smukłe wieżyczki skromnych, drewnianych kościółków i budynki szkolne.

Powoli zaczął pojawiać się dostatek.

Wprawdzie okazało się, że parasole nie wyrastają, a pszenica tylko wtedy obradza, gdy rdzy nie dostanie, co zdarza się bardzo rzadko, więc trud prawie coroczny idzie na marne, to jednak ziemia okazała się urodzajną, duże wydając plony: kukurydzy, fasoli, ziemniaków, słodkich batatów, manjoku, warzyw, owoców miejscowych, a tu i ówdzie truskawek i malin, pszczoły dają dużo wosku i miodu, a drób, bydło, konie i nierogacizna hodują się dobrze.

Pojawiły się w cichych domkach kolonistów: urok, piękność, radość, wesele i uroda życia. Nikt bowiem nie mógł pozostać obojętnym na wdzięk przyrody. Klimat łagodny, wokół bujna, splątana, w gęstwę zbita roślinność — istna orgja w dążeniu do słońca, tego dobroczynnego, ciepłego słońca parańskiego na lazurowem niebie w czas tzw. zimowy (chociaż śnieg tam nie pada) lub pięknie ustrojonem pierzastemi chmurami w czas letni. Niebo nocą usiane dużą ilością gwiazd pierwszej wielkości lub cudne, dziwnie jasne noce księżycowe dodają niezwykłego uroku.

Lecz chociaż powróciła cała pełnia życia, chociaż osadnicy posiedli moc ziemi, chociaż niejeden dawny fornal dworski nabył z czasem większy obszar ziemi, aniżeli posiadał dziedzic u którego służył, to mimo wszystko pozostały pewne uczucia, które zadumą okryły znojne czoła kolonistów i oczy ich zwracały w stronę północno-wschodnią, hen, daleko na drugą półkulę do tak zwanego „Starego Kraju“.

Żarła ich tęsknota za krajem ojczystym — nie czuli pełni zadowolenia. Zawiedli się w nadziejach — inne spotkali, niż marzyli, warunki bytowania. Zamiast ziem ornych, w które staropolskim swyczajem mogliby rzucać ziarno i cieszyć się widokiem kołysanych podmuchami wiatru łanów żyta i pszenicy, napotkali ciche, senne, niegościnne, ogromne puszcze, które musieli powalić, strawić ogniem i dopiero po wielu latach uzyskali ziemie orne, na których jednak okazała się niemożliwość uprawy pszenicy z powodu zarazy (grzybka) zwanej rdzą, która co roku pokrywa młode listki i niszczy całe zasiewy.



Kościół polski w Brazylji.

Nie napotkali tego rytmu i pełni życia, jakie pozostawili w „starym kraju“ wśród zagród ojczystych, sadów, łąk, pól uprawnych, kiermaszów, wesel i zabaw. Brakło także uroku śnieżnej zimy. Wprawdzie lato i roślinność nie tracąca liści jest początkowo zachwycająca, ale z czasem nuży — i człowiek północy pożąda

zmiany. Zatęsknili za śniegiem, który pojawia się bardzo rzadko i tylko daleko na południu w Rio Grande do Sul. Gdy spadnie, koloniści mówią wtedy, iż nastała „polska zima“, ale ogląda go niewielu Polaków, bo spada na skraju rejonu kolonij polskich.

Tak pogrążeni w swych radościach i smutkach, naraz drgnęli. Zelektryzowała ich wieść o wybuchłej w Europie wojnie, o polskim czynie zbrojnym — Legjonach. Gdy przyszła wiadomość o niepodległości Polski — pomimo iż jej gorąco pragnęli — tak byli oszołomieni radosną nowiną, że początkowo nie chcieli wierzyć, że już ziściło się marzenie pokoleń. I pospieszyli wtedy ze swemi skromnemi datkami na ratowanie skarbu swej dalekiej Ojczyzny.

Z niepokojem śledzili przebieg walk w 1920 r. gdy młode nasze państwo stanęło do rozprawy, której wynik ku ich ogromnej radości stał się chwałą oręża polskiego i uratował ludy Europy od strasznej, społecznej zarazy wschodniej, zwanej bolszewizmem.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdybyś, Zacny Czytelniku, ruszył śladami polskiego osadnika, wstąpił na ziemię parańską i zapuścił się na wyżynę, wzniesioną 800—1100 m. nad poziom morza, zobaczyłbyś ciekawy kraj.

W ląd wrzyna się głęboko zatoka Paranagua, a nad nią leży miasteczko portowe o tej samej nazwie. Wyżyna, o kilkadziesiąt kilometrów położona od brzegów Atlantyku, oparta jest o wysokie Góry Nadmorskie (Serra do Mar) o przeciętnej wysokości 1400 m. nad poziom morza, ale ponad samą wyżynę tylko o 400—500 m. Są to góry urwiste, o wyglądzie dzikim, pokryte na stokach, a nawet i na szczytach niskim, liściastym lasem. Brak jest przełęczy; z trudnością więc przeprowadzono pomiędzy graniami, z Paranagua na wyżynę, kolej, która jest arcydziełem sztuki, ma kilkanaście tuneli, olbrzymi most oraz wiadukt przyczepiony do granitowego odkosu, najwyższego w Paranie szczytu Marumbi 1600 m.

Wyżyna ciągnie się daleko, kilkaset kilometrów w głąb kraju, a potem opada powoli w kierunku zachodnim i północnym, ale w południowym ciągnie się przez stan S. Katharina aż do Rio Grande do Sul, gdzie obniża się i ginie w coraz niżej opadających stepach, łączących się ze stepami urugwajskiemi.

Cała wyżyna jest lekko falista, pokryta niezbyt wysokiemi pasmami górskiemi, pokrytemi lasem.

Stepy są duże. Wielki step ciągnie się tuż od Gór Nadmorskich na Zachód i północny zachód, drugi step leży na wyżynie guarapuawskiej w głębi kraju, za Górami Nadziei (Serra da Esperança) a trzeci na południu za rzeką Iguassu i zwany jest Palmas.

Wygląd stepów zmienia się w różnych okolicach. Naogół stepy są pagórkowate, pokryte niską trawą i ustrojone są kępami drzew,

nad które wybija się z parasolowatą koroną charakterystyczne drzewo dla Parany, pinjor, tworząc piękną ornamentację horyzontu i urozmaicając jednostajność krajobrazu.



Parana: Szkoła polska.

Lasy są potężne, największe w głębi kraju. Nazewnątrz wyglądają pięknie i pociągająco, ale wewnątrz czynią wrażenie nieprzyjemne. Podszycie mają tak gęste, splątane pnączami, zbite kępami trzcin bambusowych, paprociami kolczastemi o pniu drzewiastym itp., że posuwanie się w takim lesie naprzełaj jest możliwe tylko przy pomocy długiego noża, którym trzeba torować sobie przejście, a przytem bardzo uważać, aby nieostrożnie nie chwycić się jakiego drzewka, które ma pień pokryty długiemi, ostremi kolcami. Lasy te nie mają uroku naszych, polskich lasów szpilkowych, liściastych, czy też mieszanych.

Zwierzyna jest w nich już przepłoszona, pomknęła daleko w głąb puszczy, na niższy płaskowyż, gdzie klimat jest gorący, niezdrowy i dlatego też tereny te są dotąd prawie niezaludnione.

Deszcze padają często, są ulewne, dlatego też jest dużo strumyków, rzeczek i wielkich rzek. Wszystkie rzeki z wyjątkiem jednej (Nhunhdaquara — wpadająca do zatoki Paranagua) mają bieg skierowany w głąb lądu i uchodzą do ogromnej rzeki zwącej się

Parana (tak samo jak stan), która powyżej zwie się Rio Grande, a poniżej Rio de la Plata.

Imponująca ta rzeka posiada najpotężniejsze wodospady (jakkolwiek nie wysokie) na świecie zwane Sete Quedas lub Saltos de Guayra. Jest to grupa siedmiu spadów wysokości tylko 18 metrów, ale przepływa przez nie olbrzymia ilość wody. Powyżej bowiem wodospadów rzeka ma 4 kilometry szerokości i 12 m. głębokości. Cała masa wody spada 7-miu wodospadami i poniżej nich wciska się w gardziel zaledwie 60 m. szeroką, a jak głęboką — nie wiadomo, gdyż nurt jest tak wartki, że żadna sonda dosięgnąć dna nie może.

Największym dopływem rzeki Parany jest Iguassu. Źródła ma w Górach Nadmorskich, przecina cały stan w kierunku zachodnim na przestrzeni ponad 1000 km. i ma jeden z największych i najpiękniejszych wodospadów Santa Maria lub także zwany Saltos do Iguassu, 95 m. wysokości.

Granica argentyńsko-brazylijska przecina go tak, że w połowie należy do Brazylji w połowie do Argentyny. Istnieje projekt wykorzystania tego wodospadu przez założenie tam wielkiej elektrowni i przenoszenie energji elektrycznej do miast argentyńskich, nawet do Buenos Aires, oraz zelektryfikowania kolei parańskich.

Naogół kraj jest piękny, są w nim wysokie góry, rozległe stepy, ogromne puszcze, wielkie rzeki, potężne wodospady i niezmierna ilość mniejszych wodospadów, które w przyszłości w elektryfikacji kraju okażą się wielkiem jego bogactwem.

Roślinność jest bujna; na wyżynie klimat jest łagodny, warunki bytowania łatwe — kraj więc jest interesujący, tembardziej, że posiada koleje i drogi, po których w czasie posuchy mogą kursować samochody.

Miast dużych jest niewiele. Stolica Kurityba ma 60 tys. mieszk., Ponta Grossa 30 tys., a Castro, Palmeira i Rio Negro po 5 tys. — reszta to małe osady, noszące miano miasteczek.

— — — — — — — — — — — — — —

A teraz przypatrzmy się kolonjom polskim i wynikom pracy kolonistów polskich.

Chłop polski przełamał w Paranie wszystkie przeszkody, pokonał wszelkie przeciwności i pomimo niezmiernie trudnych warunków przy zagospodarowywaniu się bez jakiegokolwiek kapitału w głębi puszczy, bez dróg, które w czasie zakładania kolonji łączyłyby go ze światem, gdzie mógłby produkty swe sprzedać i zakupić niezbędne towary, pomimo braku rad i wskazówek — zdał egzamin swych wysokich wartości kolonizatorskich. Tam, gdzie nie mogli wytrzymać na nowych kolonjach Niemcy, Holendrzy i Francuzi, tam przetrwali Polacy i wykazali, że nietylko bytować

tam można, ale nawet można w tak trudnych warunkach doprowadzić gospodarstwa do stanu kwitnącego.

Dowodami tej pracy i wysiłku — to około 150 kolonij polskich w Paranie i tyleż samo w S. Catharinie i w Rio Grande do Sul, obejmujących razem ponad 30 tys. gospodarstw rolnych. Polacy koloniści są w Paranie głównymi producentami rolnymi i oni to właśnie wnieśli w bezludzia puszcz brazylijskich życie i wytrwałą swą pracą doprowadzili nietylko gospodarstwa swe do dużej rentowności, ale ponadto stworzyli liczne osiedla, wśród których powoli tworzą się miasteczka, gdzie robotnik i rzemieślnik polski aktywnością swą przyczynia się do ich wzrostu.



Parana: Poczta i sklep polski w Therezinie.

Ktokolwiek podróżuje przez południowe stany Brazylji nie może nie zauważyć pracy i wysiłku kolonistów polskich, których liczebność wynosi około 300 tys. osób wśród prawie 5 miljonowej ludności stanów Rio Grande do Sul, Santa Cathariny i Parany, ludności rozrzuconej na obszarze 550 tys. km^2 (z czego na Paranę przypada 200 tys. km^2 — całej ludności około 800 tys. w czem Polaków 180 tys.).

Przejeżdżając przez Paranę spotyka się kolonje polskie w stepach i w borach. Niektóre z nich jak np. stepowa kolonja Ga-

rauna (wraz z okolicznemi kolonjami polskiemi) około Ponta Grossy wzbogaciły się na wyrobie mąki manjokowej, inna znów w lasach São Matheus nad rzeką Iguassu uzyskała zamożność z wyrobu herwa-matte, w której wyspecjalizowali się nasi koloniści i poczynili wiele ulepszeń w jej przygotowaniu.



Kurityba. Parana-Brazylja.

Herwa-matte jest prawdziwem bogactwem Parany, dlatego też zwaną jest przez Polaków „pszenicą parańską", a przez Brazyljan „zielonem złotem". Herwa-matte jest drzewkiem, której gałązki obcina się długim, tasakowatym nożem, gałązki te wiąże się w pęki, suszy nad ogniem, młóci, przesiewa, a potem ładuje w wory i wysyła do Argentyny, Urugwaju i Chili, gdzie używa się jej na wyrób pewnego rodzaju herbaty. Posiada bowiem wiele własności wzmacniających organizm i chociaż smak ma odmienny od herbaty chińskiej, to jednak łatwo się do niej przyzwyczaić. U nas w Polsce sprzedaje się ją pod nazwą „Matte Parana". Używanie jej przez dłuższy czas, jako herbaty z cukrem, wzmacnia system nerwowy, wpływa dodatnio na system trawienny oraz daje dużą odporność na trudy i wysiłek fizyczny i umysłowy. Używana bez cukru, naczczo, działa odtłuszczająco.

W borach każdy kolonista wyrabia setki lub tysiące kilogramów herwa-matte tak, że większość produkcji jej przypada na Polaków. Sam stan Parana wywozi jej za 80—90 miljonów milrejsów rocznie (1 milrejs równał się w roku zeszłym 1 złotemu — obecnie kurs milrejsa jest prawie dwa razy niższy).

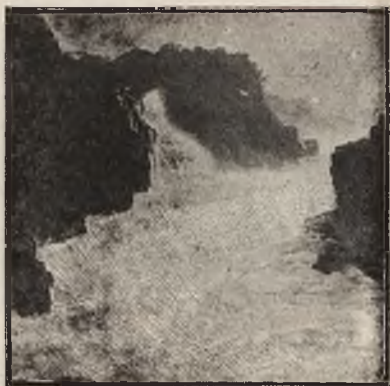
W lasach, gdzie dużo jest drzew pinjorowych, powstały tartaki polskie. W pobliżu miast wybudowali Polacy cegielnie, tu i ówdzie młyny, garbarnie, małe fabryczki, warsztaty mechaniczne, pracownie rzemieślnicze, kina itp., a wszędzie po kolonjach handel prowadzą kupcy polscy.

Dzisiejszy stan posiadania Polaków w Brazylji można śmiało obliczać na 1,600.000 ha posiadanej ziemi, (tj. 16.000 km.^{2} czyli

powierzchnia Prus Zachodnich) wartości ponad 300 miljonów złotych. Po doliczeniu wartości budynków, inwentarza żywego i martwego, wartości przedsiębiorstw i sklepów, oraz oszczędności w gotówce, ogólny polski stan posiadania będzie się wyrażał wartością ponad 600 milj. złotych.

Wszystko to zdobyli koloniści jedynie i wyłącznie swą własną pracą, nie wkładając żadnego innego kapitału jak tylko swe siły i chęć posiadania ziemi.

Ale w ciągu swej znojnej pracy i tworzenia sobie warunków bytowania nie zapomnieli bracia nasi za oceanem o swej Macierzy, nie zapomnieli swej mowy ojczystej i nie pozbyli się obyczajów przodków.



Wodospad na rzece Iguassu.

Chociaż sami byli analfabetami, to jednak budowali szkoły i mają ich dzisiaj około 150, sami opłacają nauczycieli i wszystkie wydatki szkolne. Budżet roczny tych polskich szkół prywatnych, utrzymywanych wyłącznie przez kolonistów, wynosi prawie 600 tys. milrejsów. Naukę w nich pobiera dziatwa polska w języku polskim.

Młode pokolenie — już drugie, a nawet i trzecie — zrodzone na ziemi brazylijskiej czuje i myśli po polsku, oraz wychowuje się w miłości do dalekiej, dalekiej Ojczyzny ojców swych Polski, której zapewne nigdy nie będzie oglądać.

I zaiste dziwić się należy, że lud nasz, który w latach dawniejszych nie miał żadnej oświaty, którego nikt miłości Ojczyzny nie uczył, który nie znał pięknej i bohaterskiej historji swego kraju, który w „starym kraju“ cierpiał biedę i niedostatek, że lud ten okazał tyle przywiązania i tyle gorącego patrjotyzmu do dalekiej swej ziemi rodzinnej, że szczere to i serdeczne uczucie zdołał przelać w dzieci swe i wnuki, że mimo ciemnoty z takim zapałem rzucił się do budowania szkół i że tak wysoki coroczny wydatek ponosi ochotnie na kształcenie dzieci, radując się, iż dzieci jego przez książkę oglądają cały świat wraz z jego pięknością, przyrodzonemi bogactwami i sztuką osiągniętą rozumem człowieka.

Nie zapominajmy, że na drugiej półkuli, pod skwarnem niebem parańskiem, biją żywem uczuciem do nas serca polskie, że

tam jest część naszego Narodu, która myślą jest z nami, która również jak i my serdeczną okazuje troskę o dobry stan naszych żywotnych, państwowych i narodowych spraw.

Nasza Kolonja Polska w Paranie jest częścią Polski — nie w znaczeniu terytorjalnem lub politycznem, ale w znaczeniu kulturalnem i narodowem. Polska bowiem nie kończy się tam, gdzie są jej granice terytorjalne, ale jest także wszędzie tam, gdzie jest lud polski, gdzie jest mowa polska, kultura polska i gdzie się odbywa aktywność polska.

— — — — — — — — — — — — — —



Jesteśmy narodem o wielkim, naturalnym przyroście ludności i może już niezadługo nadejdzie moment, w którym znów wezbrana fala emigracyjna rzuci na wyżynę parańską dziesiątki, a może i setki tysięcy naszych wychodźców. Zapewne pójdą tam rzesze chłopstwa ujęte w pewną organizację, która usunie wszystkie niedole pierwszego osadnika. Ale mimo wszelkich udogodnień, mimo całej opieki, jakie własne państwo rozciągnie nad emigrantami, to jednak w dalekich puszczach parańskich gazeta polska i książka polska będą najmilszymi i najwięcej pożądanymi gośćmi. Mimo tego żywego kontaktu, jaki będzie utrzymywany ze „starym krajem" to jednak osadnik, z trudem powalając kilkusetletnie olbrzymy leśne, niejednokrotnie przeniesie się myślą w rozległe niwy i łąki ojczyste i niejednokrotnie zamyśliwszy się przerwie pracę i wsłucha się w jakieś dalekie echa, które dadzą mu złudę pieśni płynącej w czasie żniw, dożynków lub lecącej z dalekich łąk w czasie sianokosów.

I śmiało możemy zakończyć garść tych wiadomości o braciach naszych za morzem, ich pracy kolonizatorskiej i szczerej miłości Ojczyzny — słowami poety parańskiego:

Puszcz milczących zrywamy pieczęcie,
Echem grają tatrzańskie nam straże,
Nadwiślańskie powstają miraże,
Na tej duszy lechickiej zaklęcie.

(*Tadeusz Milan — „Wianki Parańskie"*).



WACŁAW FILOCHOWSKI.

Siostra Wanda.

Tak, przypominam sobie — widziałem ją kiedyś. To była niewątpliwie ona, choć nie mam na to innego dowodu, niźli wewnętrzne przekonanie. Tylko gdziem ją widział? Może wyjrzała mi kiedyś z ganeczka szkoły, gdym trajkocącą furmanką przejeżdżał przez mazowieckie miasteczko? A może wysnuła się z urojeń, jako wcielenie jakiejś młodej tęsknoty lub zasłyszanej w dzieciństwie opowieści? Tego nie wiem, ale żadna metryka, żaden argument nie zdołałyby mi wytłumaczyć, iżem nigdy nie mógł jej spotkać na swoich szlakach i ściężynach.

Nazajutrz po wysłuchaniu historji, którą tu zaraz powtórzę, z samego rana pobiegłem do księdza Karola, prosząc, by mi jeszcze opowiedział o siostrze Mazowieckiej wszystko co wie, czego się o niej domyśla.

Kapelan, z żołnierską niedbałością ugniatając sobie papierosa, pokręcił głową.

— Przedewszystkiem napijesz się pan ze mną kawy, której przepis zdobyłem, będąc wikarym na probostwie nad Bugiem. A powtóre: co ja mogę więcej powiedzieć, niż powiedziałem wczoraj? Chyba to, że...

Starannie zgarniając ze śmietanki kożuch i dzieląc go na dwie równe części — dla siebie i dla mnie, wygiął wąskie brwi i rzekł:

... — Że świętość ludzkiemi chadza drogami i o nas, nieświadomych, ciągle się ociera, człowiek bowiem to stwór w gruncie dobry tylko tragicznie lekkomyślny, zarówno w złu, jak i w dobru nieobliczalny. Siostra Wanda jeszcze wróci na widownię...

— Przy procesie beatyfikacyjnym? — przerwałem.

Ksiądz Karol wetknął chudą brodę w zbyt szeroki kołnierz munduru, ruchem nieswoim, pewnie zapożyczonym od wyższej zwierzchności.

— Śmiało pan stawiasz wnioski, niema co mówić. Zresztą zobaczymy, jeżeli nie my osobiście, to następne pokolenia.

W każdym razie tradycja o siostrze Wandzie w naszej dywizji nabrała już blasku legendy. Cóż, życie chce i powinno mieć świętych.

Historję siostry Wandy przedstawię zwięźle, opierając się na opowieści księdza Karola, z dodaniem jednak własnych moich akcentów uczuciowych, tej zaprawy, której nie ustrzeże się najbezstronniejszy nawet kronikarz.

Działo się to zimą 1919—1920. We wsi N., w mińszczyźnie, opodal frontu, naonczas tętniącego nierównym pulsem walk zajadłych, to znów podstępnych cisz, w opuszczonym pałacu magnackim roztasował się szpital wojskowy. Zadaniem jego i specjalnością była doraźna chirurgja, stosowana w wypadkach, kiedy nie mogło być mowy o dalszej ewakuacji chorych bez dokonania poważniejszych zabiegów. To też szpital pędził żywot pracowity, bezsenny, w atmosferze pośpiechu i ustawicznej groźby najazdu, jako że linja słabo umocnionego frontu w każdej chwili mogła ulec znacznym nawet zmianom.

W tym oto szpitalu poświęciła się dziełu miłosierdzia siostra Wanda. Dość drobna, choć silna i zdrowa, bynajmniej nie zamknięta w sobie, chętnie łącząca się z otoczeniem, nie odznaczała się jednak niczem takiem, coby mogło być wskazówką lub tylko poszlaką, że skromnej sanitarjuszce sądzona jest świetna, choć nieziemska karjera. Nie wiedziano o niej nic, albo prawie nic. Zgłosiła się na ochotniczkę wprost do szpitala ze świadectwem odbycia kursów samarytańskich u szarytek. Przedtem była jakoby nauczycielką ludową na wsi czy też w miasteczku, a że nazwisko miała trudne do zapamiętania czy też do niej nie pasujące, więc zwano ją Wandą „Mazowiecką". Pewnie dlatego też, że w typie jej, w niebieskich źrenicach, w jasnej barwie włosów, w łagodnym uśmiechu były rzucające się w oczy znamiona etniczne.

Mimo atoli dodatnie rysy charakteru, mimo wrodzony spokój i bezprzykładną pracowitość, siostra Wanda nie cieszyła się sympatją ani kolażanek, ani lekarzy. Spoglądano na nią z pewną nieufnością, czy też z urazą. Może to raził właśnie jej spokój w warunkach nieustannego pośpiechu, na tle fugi jęków, jakiemi rozbrzmiewały dni i noce szpitala. Może niechęć tę pogłębiały zabiegi, stosowane przez siostrę czasem samowolnie, dodać należy zabiegi dziwnie skuteczne, ale jak z gniewem mawiał lekarz naczelny „niebezpieczne, gdy je ordynują gęsi i kozy". Te oto potajemnie udzielane cierpiącym niewinne dawki narkotyku, kiedy dyżurni lekarze, zmordowani nad wszelki wyraz, w martwy zapadali sen, albo też podsuwane chirurgowi rady, by coś tam przedsięwziął lub czegoś zaniechał, sprawiły, że kiedyś wreszcie szef, zielony z niewyspania, w pasji krzyknął:

— Czego się siostra mieszasz do nieswoich rzeczy? Skąd te pretensje do leczenia?

Ona zaś, rumieniąc się zlekka, dawała jakieś proste i jasne odpowiedzi, że jednak Walerek uspokoił się i śpi, a zmiana opatrunku, zarządzona wprawdzie bez porozumienia z lekarzem, okazała się dla Koberdy niezbędna. I ta niewątpliwa słuszność siostry Wandy coraz bardziej drażniła i tak już rozdrażnioną załogę szpitala.



Zgoła inaczej zachowywali się wobec niej chorzy. A trzeba o tem pamiętać, że byli to chorzy ciężko, częstokroć beznadziejnie, ludzie, którym groziła śmierć lub kalectwo. W salach od czasu do czasu wybuchał szał zbiorowy, wyjący chórem takich złorzeczeń, że przytomniejsi cierpli ze zgrozy. Znużony pracą ponad siły i liczebnie zbyt szczupły personel ogłuchł wreszcie na tę mowę nieszczęścia. Tam, gdzie lekarz stawał bezradny, gdy sanitarjuszki opuszczały ręce, wchodził w swoje prawa i obowiązki niezmordowany ksiądz Karol, prawie nie rozstający się z Sakramentami. A jeżeli i kapelana zmorzył sen lub kiedy zajęty był na innej sali, wówczas zjawiała się siostra Wanda, zawsze przytomna, silna i ujmująca.

— Kiedyś przybył, pamiętam, jakiś wyjątkowo ciężki transport — rzekł ksiądz Karol. — Przeważnie rany szarpane

i skomplikowane odmrożenia. Widziałem, jak Mazowiecka zbliżyła się do nosz, na których od słóp do głów spowity w bandaże, niczem w kokon, bez ruchu leżał człowiek. Nawet nie jęknął, nie odpowiadał też na pytania lekarzy i felczerów. „No, jak tam, mój stary?“ spytała wtedy siostra Wanda, głaszcząc biały tobołw tem miejscu, gdzie powinna była być głowa. I oto poprzez powijaki wysiąkł i wionął, nawet rzeźko brzmiący półgłos: „Dzięki Bogu, całkiem niezgorzej“. Słyszysz pan? Taki półtrup powiada jeszcze, że się ma „niezgorzej“...

Ale siostrę Wandę wkrótce potem wydalono. Padł bowiem na nią cień niesławy, oczywiście przez fatalne nieporozumienie. Ktoś zobaczył raz i drugi siostrę Mazowiecką, nachyloną nad łóżkiem żołnierza. Słyszano podobno jej szept gorący, miłosny i elastyczny dźwięk pocałunków. Nikomu jakoś nie przyszło na myśl, że to Wanda godzi umierających ze śmiercią.

— Zamknij oczy, i niechaj ci się zdaje, że to siostra twoja lub narzeczona, jeśli ją masz, całuje twoje rany, z ran tych dumna i z ciebie dumna, mój ty niemądry, któremu się ubrdało, że umierasz! Niosę ci pozdrowienie życia; a że jest ono darem Bożym, więc go nie przeklinaj — przez nie wiedzie przecież droga do wieczności. Całuję usta twoje, byś nie myślał, że czcigodnem swem kalectwem budzić możesz strach lub odrazę. Kocham cię, bo czyż można ciebie nie kochać, któryś jest wojska chwałą i sławy oblubieńcem?

Siostrę Wandę wydalono. Padł na nią cień niesławy.

Na odprawie, w obecności paru sanitarjuszek, powiedział do niej szef zmordowany, zielonkawy, ziewający:

— Ani medycyna, ani pociecha religijna nie stosują takich środków, jak pani.

Było to na schyłku dnia. Zimowe niebo płonęło łuną zachodu. Świat tężał od mrozu. Za oknami skrzypiał liljowy śnieg pod buciskami ordynansów, znoszących drwa na opał. Wydalona sanitarjuszka poprosiła kapelana o natychmiastową spowiedź. Ksiądz, nie dziwiąc się temu pośpiechowi, prośbie uczynił zadość. Gdy po krótkiej modlitwie Wanda zażądała koni do stacji kolejowej, intendent powiedział, że wszystkie konie są w rozjazdach. Obiecał na jutro, kiedy wróci transport z żywnością.

Siostra jednak nia chciała czekać. Ubrana w krótki kożuszek, z tornistrem na plecach, ruszyła do kolei na piechotę, z nikim się nie pożegnawszy. Dławił ją pewnie żal i wstyd, lub wiódł ją może anioł męczeństwa?

Dość, że kiedy koło dziesiątej wieczorem ksiądz Karol dowiedział się od sanitarjuszek o sromotnem usunięciu siostry Wandy i o pożegnalnym monicie naczelnika, wypędzonej już

nie było w szpitalu. Uspakajano się tem, że Mazowiecka niechybnie nocuje na wsi, że nie zaryzykuje czterech mil marszu w siarczyście wroźną noc.

— Niech mi pułkownik nie miesza medycyny z pociechą religijną! — uniósł się kapelan, nie bacząc na to, że w tej chwili ma na sobie znaki służby kapłańskiej. — Moja to rzecz rozprawa z grzesznikami, a wasza bandaże i wlewka.

Pułkownik palnął coś o nieobyczajności.

Ksiądz Karol aż zadrżał. Na czoło wystąpił mu pot.

— Łgarstwo! — krótko zawołał, grzmotnąwszy pięścią w stół.

— A skąd niby taka pewność? — zdawały się mówić oczy naczelnika.

Kapelan dał również milczącą, niemniej jednak wymowną odpowiedź.

— Jestem przecież jej spowiednikiem.

Po północy zaskrzypiał przed pałacem śnieg, zaparskały konie, rozległ się gwar markotnych głosów. Wracający z kolei woźnice wnieśli do sieni jakiś chyba ludzki, ale nieludzko sztywny kształt.

— Powtarzam raz jeszcze: dwie okoliczności muszą tu każdego wzruszyć i zastanowić — rzekł ksiądz Karol, znów wciągając brodę w kołnierz. — Pierwsza, że tabor, wiozący żywność dla szpitala, prawie zaraz za stacją zatrzymała jakaś sanitarjuszka, ostrzegając, żeby nie jechać boczną, krótszą znacznie drogą, ponieważ na skraju lasu błądzi kawaleryjski podjazd bolszewików. Żołnierze, poznawszy siostrę Wandę, spytali zdziwieni, dokąd zdąża sama po nocy, ale ona pobłogosławiła ich znakiem krzyża i wsiąkła w mrok.

— Drugie. Tenże tabor, ruszywszy teraz głównym traktem, w połowie drogi zatrzymał się nagle, ponieważ konie nie chciały dalej iść, z trwogą zwracając łby w stronę, kędy czerniła się na śniegu czarna plama, właściwie grupa plam. Była to siostra Wanda, twarzą zwrócona ku ugwieżdżonemu niebu, a obok niej — istny cud przymierza! Wyobraź pan sobie, woźnice, zszedłszy z sań, spłoszyli stado kuropatw, dwa lisy, jelenia, wilka i niedźwiedzia. Wszystko to stworzenie pokotem leżało obok świętej... chciałem rzec: koło siostry Wandy, jakby chcąc swojem ciepłem rozgrzać zabitą przez mróz męczennicę, ciepłem, którego nie zaznała wśród bliźnich. Tak, to są szczególne okoliczności, zastanawiające... No co, czy i w dalszym ciągu twierdzisz pan, że to pańska znajoma.

Teraz przez świadomość moją przeszedł jakby płomień. W jego świetle ujrzałem prawdę swojej fikcji.

— Znajoma? — odparłem. — Nie. Zwiodła mię wspólność przeznaczeń Wandy Mazowieckiej z inną świętą. Wspólny mają rodowód moralny, podobną linję losów. Takby pewnie umarła Madzia Brzeska z „Emancypantek“ Prusa.



Recepty dla szczęśliwego pożycia domowego.

Dla niej:

1. Nie wyprawiaj scen.
2. Nie staraj się dociec, co on chce zataić.
3. Jeśli on zmęczony wróci do domu, to nie zmuszaj go do zabawy.
4. Podaj mu smaczne jedzenie na czysto nakrytym stole.
5. Ubieraj się czysto i czesz włosy porządnie.
6. Urządź mieszkanie przyjemnie, ogrzewaj w zimie dostatecznie, w lecie przewietrzaj należycie, uważaj na porządek.
7. Nie narzucaj się mu z bolami domowemi.
8. Zachowaj spokój, jeśli uważasz, że on podrażniony.
9. Staraj się w mężu zachować i po ślubie kochanka.

MARJA KONOPNICKA.

Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi:
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: „Matko!“
Gdyby miał matkę, i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratą.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: „Gdzie rodzice?“
„Nieznani“ — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle od jednego słowa
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się i pochylił czoła
I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?“
— „Nie“. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle.
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmącony i szklany,

Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
Nie znała światła innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
Z jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości.
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miljona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy nad sprawą chłopczyny...
Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi„
Kto więcej winien; czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę!“



JÓZEF BIRKENMAJER.

Strach na wróble.

Wśród łanu wiechatego owsa, tuż koło grzędy głów kapuścianych — opodal Jędrzejowej zagrody — stał strach.

Nie był-ci on wcale straszny, jakby z nazwy sądzić można było. Złośliwi utrzymywali, że się go nie bały nawet wróble.

Był to bowiem strach na wróble.

Jędrzej, który po nocach nieraz do Krakowa furmanił (starszego pan wiozący), a przed figurą na Dworosku z lękiem się pożegnywał, mawiał często za dnia (bo ino wtedy z ludziskami gadał), że strach ma wielgie oczy.

Ale ten strach, co stał w owsie, nie miał oczu wielgich — ba, bardzo prawie wcale ich nie miał, bo te, co mu chłopaki węglem nakrechały, bezmała już spłókała deszczowa woda. Taki to był-ci z niego strach!

Co gadać, łapserdak — oberwus był, nie strach nijaki!

Na dwóch patykach, wpoprzek wbitych, go rozpięto, ze szmaty głowę umaglowano jako-tako, kapeluch czarny, wyszarzały już i dziurawy, na tę łebiznę nadziano, poprzeczki okryto kamizolą czyli kabatem starym, furmańskim, Jądrzejowym, w paski czarne i burakowe, na to włożono sukmany strzępek, w której jeszcze (póki cała była) Jędrzejowy dziaduś chodzili, a potem jeszcze wnęk Jędrzeja Wawrzek, gdy zmłodu krowy pasał, od deszczu miał uchronę; portki, rozumie się, także całe nie były, ino że to nie wstyd dla straszka, a zresztą on, pośmidrąg taki, wstydać się nie umiał. Bucisków mu ta żadnych nie było potrza, jako że zimie nie stał na polu, a lecie to i godniejsi

od niego przez butów chodzą. Ale zato jakby chciał pana udać, na jednej łapie (na tym, ma się wiedzieć, drągu) zegarek mu przywieszono jarmaczny, za dwa grajcary, co chodzić nie chodził, ale miał fajny — piekny pątret pana cysarza za śkłem i na papendeklu.

Zresztą, na co mu-ta był zegarek! — chodzić on, ten niby godzinnik, nie potrzebował, bo nad głową straszka najlepszy zegar, i to dzwoniący, powiesił sam Pambóg. Zegar za śkłem modrem, ze słońcem we wskazówce. Bo jak na kościele segnaturka śpiewała: dzień! dzień! dzień! — tedy napewno było wiadomo, że to już dzień — godzina szósta albo i siódma... a słońce wtedy zara obudzone stawało ze śpiączku i po Juszyńskiego gruszy drapało się wgórę, kieby chłopak swawolny — juści, że dopomóc se musiało, bo na to niebo wysokie niełacno się wydostać. Zasie kiej słonko stało nad Wroniną rzeźnią, jak gdyby kominem haw chciało zaźrzeć do środka, to wiadomo było, że już połednie. Wtedy odzywał się na wieży stary dzwon, największy, i połednia godzinę odzwaniał: Pokój wam! wam! wam! — że to w ową porę przerywano na polu robotę i wypoczywano, posilając się na miedzach. A gdy słonko z za cmentarza smugą ino krwawą się wychylało i z wieży kościelnej przygadywał dzwon średni: Do-dom! Do-dom! — wtedy straszek wiedział, że już ludziska, od roboty pomęczeni, wnetki do chałpy wrócą, bo już jaka siódma wieczór będzie, albo i poźniej.

Od ranka do wieczora na sąsiednim wygonie, podle lasa, pasała krowy Salka sierota, co ją Jędrzej z litości do siebie na służbę przygarnął, choć sam miał w chałpie swego dosyć — dzieciów i wnęków nawet. Nie miała-ci ona u niego używania, nie miała! Co już do cna sprzenosiły dzieci Jędrzejowe i wnęki, w to jej odziewać się dawano — że strzęp był na strzępie i łata na łacie — nierzadko i łat nie stało; w łachmanach chodziła ostatnich, kusych i wysiorganych niemal do ciała żywego. W dnie słotne, gdy ziąb i deszcz wdzierały jej się za pazuchę, przykucała kole kaplicznego słupca i na głowę se zarzucała, niby bracką lub organistową kapicę, worek od ziemniaków, co jej dawało niejaką ochronę; szczękała zębami, rączynkami się na krzyż uderzała po żebrach, to znów przebierała nóżkami chudemi, wykrzywionemi, zabłoconemi, gdy zaś i tak rozegrzać się nie poradziła, przytulała się do Krasuli — leżącej nad przykopą i żującej trawę spokojnie, mlaskliwie, jakby z namysłem lub ze smakiem.

Ale kiedy się trafiły dni ciepłe, jasne, słoneczne, Salka nie była taka markotna. Wylegiwała się na trawie, grzała się w słonecznem cieple i przyglądała tym obłoczkom, co chodziły po

niebie, niby krówki białe i łaciate, pasące się pod okiem słońca, jak to na wygonie pod jej, Salcynem, okiem pasły się: Kwiatula z Krasulą, Brzydziochą i Grechotem. Albo też plotła wianek



z rumianków, łezek Matki Boskiej i chaberków — by go rzucić na grób matuli, zaraz za cmentarną furtą położony. Albo układała sobie z kamyczków kopczyk pod kapliczką, żeby mo-

gła wspiąć się do framugi i umaić obrazek. Albo se chodziła, pośpiewując, aż się po lesie rozlegało:

Jagem pasała bydło,
Widziałam straszydło
W czarnym kapelusie,
Wołało: nie bój się!

Wprawdzie to śpiewka pospolita i nie przez Salkę wymyślona, alić strachowi na wróble się widziało, że to ona o nim śpiewa — tak wszyćko tam do niego pasowało. A że mu się na polu cniło, bo nawet i ptaki rzadko do owsa przylatywały skłonniejsze jawnie do dworskiej pszenicy za górką — więc rad był nie tylko tej Salcynej śpiewce, ale też, i tak wobec jej tu przebywaniu, bo miał na co pozierać i cej nie cemu się przysłuchać. Lubił Salkę szczerze i prawdziwie, jak brat siotrę, bo mu się w tych łachmanach, przytem z tą bladą gębiną i chudemi nóżętami, wydawała do niego samego podobna, jak rodzona siostra, — zwłaszcza, że i ten zdarty przyodziewek od tej samej Jędrzejowej famieliji obojgu się dostał. Oboje tu piekli się na słońcu, mokli na dżdżu, dygotali na wichrze, trzęśli się, gdy biły pioruny — oboje warowali przez dzionek: on pilnował Jędrzejowego owsa, ona krów Jędrzejowych.

I tak tu im we dwoje raźniej było — ona że miała z kim se pogwarzyć, więc mu opowiadała (niby nie jemu, ale tak sobie sama) to o matuli swojej nieboszce, to o Jędrzejowem gospodarstwie, to na Brzydziochę się uskarżała, że taka nieprzystępna i taka zła w spojrzeniu i że raz zjadła całą pajde czarnego chleba, który jej, Salce, na obiad dano. On gadać nie umiał — a nawet i gęby rozewrzeć — więc ino słuchał a słuchał, kiwając kiej niekiej głową lub wymachując rękawem obwisłym, pustym, jak u bezrękiego inwalidy. I taka bywała ich rozmowa nieraz aż do samego przedwieczerza, gdy Salka przypominała sobie o krowach, które tymczasem, bywało, zalazły w las, albo i w szkodę (nie bronił im tego strach) — i spędziwszy, gnała ku oborze, okładając je witką kalinową, to pokrzykując:

— Nę, krowisie, nę, nę!

Brzydziochę najczęściej kijem okładała — mało na nią było i pręta — bo w tej czarnej krowie jakby zły duch siedział, taka była krnąbrna, uparta i zła; może dlatego, że prowadzono ją koło Wroninej rzeźni, skąd biła nieraz woń krwi bydlęcej... Grechot też się nieraz na matkę swoją zapatrzył i wyprawiał cielęce figle, ale jego to łatwo było do opamiętania zmusić, bo był chudy i słaby, a kija bał się nawet zdaleka; natomiast Brzydziocha była zawzięta i mściwa, tak, iż nieraz Salka musiała wzywać ludzi do pomocy.

...Słońce coraz to później stawało, coraz to niższą dróżką szło ponad ziemią i kładło się coraz wcześniej — już nie za cmentarzem, ale u jego podnóża, bardziej w stronę młyna. Coraz więcej było ranków chłodnych, coraz mniej ciepła w godzinę połednia. Dzwony niekiej biły dźwiękiem jakimś smutniejszym z dzwonnicy, niewidzialnej poza mgłą. Na polach uprzątnięto najpierw żytko, bacząc, by przy zwożeniu snopków wyrzucić wprzódy z nich szare, wścibskie kłopot-ziele. Krowy tera chadzały po opuszczonych ścierniskach, póki tychże nie przeorano pod zasiew ozimy. Jęczmień przez czas jakiś jeszcze z fantazyją stroszył harde wąsiska, ale i on też niebawem lec musiał pod sierpem. Nie oparły się ludzkim nożom i główska kapuściane, spadając ze śliskim chrzęstem w zgrzebne wory, w których przenoszono je do komory Jędrzejowej, żeby tam znów zbratały się z dawnym swym sąsiadem — grochem, w pierw już wyłuskanym na przetaki; na miejscu, gdzie były wzrosły i gdzie się głowiły (zielono-ż jeszcze miały w tych głowach, kie je ścinano!) pozostały tylko bezradne głąby...

Strach na wróble patrzył na tę rzeź — i nic nie mówił, ino dumał, kiwając smutnie głową i potrząsając dwugrajcarowym zegarkiem, który wciąż ino pokazywał jedną, jakąś smutną, nieistniejącą godzinę... Wiatr rzucał strzępem sukmany, jak żaglem wiszącym na rejce flisackiego statku...

Kopano potem ziemniaki — krągłe, twarde, mączyste, cielisto-burej barwy — podobne do małych pyzatych twarzyczek o krzywo umieszczonych oczkach, zaklęsłych noskach, zbyt ścieśnionych lub zbyt rozdziawionych wargach. To co było przódziej ich nacią, dziś jako zeschły perz rzucano na szarą kupę i palono. Wlekły się dymy siwe, długie, wilgne, cierpkawe, na podobieństwo i na spotkanie mgieł, snujących się gdzie niegdzie pod lasem, a gdy stlały płomienie ogniska i żar przypadł ku ziemi, w gorącym popiele pieczono ziemniaczane bulwy. Nieraz się przytem pożywiła Salka. Strach musiał się smakiem obywać, a od dymów twarz i nawet odzież mocno mu poszarzała. Stawał się coraz brzydszy. I coraz smutniejszy. I coraz mniej potrzebny.

Bo ptaków z jesienią wiela odleciało w inne strony.

Owies jakosik dość długo się zielenił, ale z czasem też pożółkł i wyziarnił się pięknie, na ostatku i jego zżęto. Że późna już była pora roku i że spieszno było ludkom do innych robót, co czekały w chałupie, więc nikt sobie trudu nie zadał, by uprzątnąć stracha na wróble. Został sam samiuśki w szczerem polu... i ręką — a raczej rękawem — machał na wszystko...

Salka po staremu przychodziła codzień pod słupiec. Trawa na wygonie była już doszczętnie wyskubana i stratowana; krowy,

zmuszone ogryzać przywiędłe listki kolczastej tarniny lub suche badyle przydrożne, porykiwały z głodu, stawały się złe i nieposłuszne. Salka, sama też wygłodniała i osłabiona od umęczenia ciągłej bieganiny, nóg nie czuła pod sobą — były tak cienkie, zgrabiałe, jak patyki. Ilekroć przysiadła, ażeby odpocząć, kłuło ją po ciele nielitosne zimno. Nie palono już ognisk, przy których tak miło było grzać skostniałe ręce — tera to i chuchanie nie pomagało: Krasula zaś temi czasy nieczęsto przylegiwała na ziemi, więc i od niej ocieplić się nie było można.

Raz — po rannym przymrozku — przyszedł wicher szalony, co huczał w lesie, jak sto młynów, a na cmentarzu wył płaczliwie, jak sto dusz w czyścu cierpiących; rozchybotał krzewy i drzewa, z gałęzi otrząsał fałszywą pozłotę liści, wzbijał kurzawę, jakby tratując pola i drogi tysiącem kopyt końskich... Tę kurzawę ciskał w oczy wszystkiemu, co napotkał, poczem obezwładnił zdobycz objęciem zimnem a mocnem, do objęć śmierci podobnem.

Salka w przerażeniu, w osłupieniu, oszołomieniu, nie wiedziała co począć. Chciała wracać do chałupy, cóż, kiedy nie mogła pozbierać krów, bo jej kurz oczy przesłaniał; wiatr ją mroził, dławił, obalał na ziemię. Czuła, że się nie oprze, nie strzyma, nie wydoli. Przycupnęła pod słupcem, który jej dawał jaką taką zasłonę, i czekała, pokiel nie przejdzie wichura.

Strach na wróble — choć ta ani jemu ani nikomu nic z tego przyjść nie mogło — nie dawał się wiatrowi. Silnie widać był wbity w ziemię lub go trzymała zmarznięta gleba, bo tyczka, trzymająca ten niby brzuch i głowę, nie zgięła się pod potężnym naporem, ledwie że się chybotała. Zadzierał-ci straszek, jak zawdy, głowę do góry i urągliwie se świstał na wszystkie wiatry, a rękami — czyli raczej rękawami — ostro wymachiwał, jakby bijąc się z kimś niewidzialnym. Wiatr, nie mogąc go pokonać, postanowił przynajmniej go obedrzeć — zaczął więc obchodzić raz z tej, raz z tamtej strony, tarmosić za przyodziewę, jak pies, co napadł żebraka, doskakiwać, osaczać, aż nakoniec zerwał mu z kija jeden rękaw sukmany, zatoczył nim parę furczących młyńców, szasnął wbok, wydął całą sukmanę, jak bieliznę suszącą się na sznurze, potrząchnął drugim rękawem, jak ministrant zdejmujący z księdza komeżkę, aż wreszcie uniósł ze sobą cały ten łup, trzepoczący się w powietrzu, jak raniony wielgaśny myszołów, gdy napróżno stara wzbić się wzgórę. Ciężka była sukmana, deszczami namokła i stężała od szronu, więc nie poleciała daleko — upadła tuż koło kapliczki, otulając skuloną Salkę, która dzięki straszkowi została w ten sposób nieco zabezpieczona od zimna. Owinęła się szczelnie w grube, choć

przetarte i dziurawe, sukno, nie dbając wiela o to, co się dzieje na całym świecie — chuchała na zziębnięte palce, tarła obolałe łydki — zwolna zrobiło się jej krzynę cieplej.

A strach uradowany, że Salce dopomógł, nabrał jeszcze większej zuchwałości. W samej tylko kamizeli burakowo-czarnej, jak młocek stający do roboty, wziął się za bary z wiatrem — niby to odkasawszy rękawy u ramion, które już teraz były ino drewnianemi kikutami, bo i ten zegarek cysarski kajsik się urwał — a i brzękadło, które wisiało na drugiej łapie, też się kadyś zapodziało. Wichr mu jeszcze ino kapelus zerwał z głowy i poniósł hen daleko, ale więcej nic poradzić nie mógł, więc namordowawszy się, dał wreszcie spokój i ucichnął.

Salka, że to już późnawo było, zaczęła zganiać rozbiegłe krowy; troje bydła znalazła, ale Brzydziochy nikaj odszukać nie mogła. Nareszcie, przechodząc koło cmentarza, zobaczyła furtę ozwaloną. Zajrzawszy przez nią, widzi, że Brzydziocha tratuje po mogiłce jej matki, chrupiąc rosnące tam zioła i powiędłe wianuszki, kiedyś przez nią, Salkę, tu ochfiarowane.

Jakże to Salki nie miało rozgniewać!... Chyciła kij i dalej spędzać Brzydziochę. Ale ta już była dnia tego gniewna ponad miarę. Pochyliwszy kańczaste czoło, poderwała je nagłym ruchem i oburóż przebodła dziewczynkę.

Salka padła — nie wiedziała wcale, ile czasu tak leżała. Znalazł ją Wawrzek, zaniepokojony tak długą jej niebytnością; owinąwszy strzępem sukmany straszkowej, zaniósł dziewuszysko do chałupy. Dawali jej leki różne, przyzywali ludzi, którzy się na leczeniu znali. Nie pomogło. Po tygodniu Salka umarła. Pochowano ją na szarym kierkowie[1]), kole matusinego grobu, z którego rozchylił się poziomy krzak głogu, owijając obie mogiłki koroną krwawą i cierniową...

Na ściernisku nieprzeoranem, na twardej grudzie, stał cicho, nieporuszenie, nikomu już niepotrzebny, obdarty strach na wróble. Nie umiał — i nie miał kogo — zapytać, co się stało z Salką. Z nieba posypał się śnieg biały, jak lelija... nakrył cmentarzysko, wygon, drogę, orną ziemię i podlesia...

Cicho, nieporuszenie, sztywno, w smutnem zadumaniu, stał drewniany, skostniały, tyczkowaty strach. Nikomu nie był potrzebny, nikogo nie wzruszał, nikogo nie zaciekawiał. Nikogo nawet nie straszył...

Nie straszył nawet wron, co nie znajdując żeru w lesie, czarną, złowieszczą chmurą pociągnęły w stronę dworskiego brogu, wrzaskliwie, przeraźliwie głosząc niezbożne hasło:

---

[1]) Cmentarz (z niem. Kirchhof).

— Kraść! kra-aść! kra-aść! kraść!

Gdy zoczyły stracha na wróble, znać im się podobały burakowe pasy starej kamizoli, bo oto w jednej chwili czarna zgraja obsiadła niewinną ofiarę i dalej drzeć na strzępy całą przyodziewę, bijąc się o każdą chadrę, każdą łatę i każdy przyszczepek. Wiotka i zbutwiała była kamizola, portasy w gorszym jeszcze były stanie — wszystko to stało się pastwą wron i wyściółką ich legowisk. Zerwały wkońcu i potargały nawet płachtę, z której wyrobiona była głowa tego cudaka...

W miejscu, gdzie przódziej stał strach na wróble — koło kapliczki i wedle cmentarza — czernił się teraz wśród śniegów prosty, samotny krzyż.





IWAN CANKAR.

Ojczyzno, ty jesteś jak zdrowie!

(Z nowel jugosłowiańskich).

Od lat piętnastu Jerzy nie widział ojczyzny.

Jako silny i zdrowy chłopiec, łaknący pracy i szczęścia, wyruszył w świat. Pracę znalazł, szczęścia — niewiele. Szerokie miał plecy, więc niósł swój ciężar, jaki włożył nań Bóg.

Ledwie się wkoło lepiej rozejrzał, wstąpił do nowej fabryki na krańcach wielkiego miasta i pozostał tam przez lat piętnaście, a nawet nieco dłużej. Rankiem, o świcie, szedł do fabryki; wieczorem, kiedy mrok zapadł, z fabryki powracał; białego dnia nie oglądał. I zawsze, ilekroć wracał z fabryki, jego ciało było uboższe o trzy krople krwi; Jedną kroplę wypijały potężne maszyny, druga gubiła się w czarnym pyle, a trzecia — tonęła w wódce.

Pewnego razu, kiedy Jerzy podniósł rękę, chcąc obetrzeć rękawem uznojone czoło, zawirowały nagle przed nim maszyny, jakgdyby ożyły, i on sam zakręcił się również wkoło, a kiedy ukląkł na podłodze — z ust jego buchnęła czarna krew.

— Co się to stało? — spytał kolegę.

— To koniec, bracie, koniec! — odrzekł kolega. — Niebawem, zdaje mi się, będziesz już spoczywał...

— Jak to — spoczywał?

— Ech, przyjacielu! piętnaście lat i po trzy krople dziennie, po trzy krople krwi — to nie żarty. Pójdę i ja za tobą, pójdziemy wszyscy — któżby się nad tem rozczulał? Harowałeś, napracowałeś się, no — to i umieraj!

—Jeśli trzeba umierać — posłucham — powiedział Jerzy, wyszedł i nie wrócił już do fabryki.

Póki pracował, nie czuł i nie myślał o tem, że młoda siła wylewa się z ciała coraz cieńszym strumieniem. Teraz siedział na łóżku, bez pracy, a był wycieńczony i zrozumiał, że jest wyczerpanym i schorzałym starcem. I ścisnęło go coś za serce.

— Patrz, Jerzy! — pomyślał. — Pracowałeś, oto, piętnaście lat i dłużej — i dnia białego nie oglądałeś, radości nie zażyłeś;

nie było dla ciebie święta; twojem świętem i twoim wypoczynkiem będzie dół w ziemi.

Tego wieczora posłyszał, jak zdala, z ojczyzny nadleciał szum lasów.

— Burzą wiosenną mię pozdrawiają! — przejęło go aż do głębi serca. W tej samej chwili związał swój tobołek i ruszył w drogę. A droga to była długa; trzy kraje przemierzył czarny wóz kolejowy. A kiedy zaświtał trzeci ranek, zarzucił Jerzy tobołek na ramię i wyszedł z wagonu.

Ledwie noga jego stanęła na ojczystej ziemi, zakipiało w nim i zagrało życie, jak młode.



— Piętnaście lat, i dłużej, nie oglądały moje osierocone oczy ciebie, matko!... Bądź pozdrowione, ty nieobjęte pole, błogo woniejące! Witaj mi, wyniosły lesie, ku niebu śpiewy wznoszący! Witam cię sercem całem, ojczysty mój kraju, na zielonych jaśniejący wzgórzach!

Gdzie jest choroba? Gdzie znużenie? Blask wrócił się oczom; w piersiach ozwała się siła.

— Błogosławiona bądź, matko-ojczyzno, dzięki ci! O ty, rodzicielko, litościwa rodzicielko!

Raźnym krokiem wchodził na wzgórze. Na zboczu spotkał sąsiada, niegdyś młodego chłopca, dziś mężczyznę, wąsatego i mrukliwego.

— Hej, Janie! — zawołał Jerzy.

Sąsiad milczał.

— Nie poznajesz mnie? Jestem Jerzy.

— Jerzy? Jaki Jerzy?

— Piętnaście lat temu, a nawet więcej...

— Patrzajcie! Ten Jerzy!... Bardzo się zmieniłeś, chory jesteś i chudy; rodzona matkaby ciebie nie poznała.

Smutek zatargał aż sercem wędrowca.

Tuż pod wsią spotkał innego sąsiada; lecz ten go również nie poznał.

— Jerzy, powiadasz? A po cóż wracasz teraz, Jerzy, z niemieckich stron?

— By umrzeć w kraju...

— A dużo tam zarobiłeś?

— Zarobiłem sobie — chorobę.

— No, to wystarcza, żeby umrzeć. Ale jakże tu będziesz żyć, skoro nie masz ni domu, ni pola, a wkrótce nie będziesz mieć ni rąk?

Jerzy zwiesił głowę.

— Ech, jakoś to będzie...

— Niemieckiej ziemi dałeś życie, Jerzy, a do domu przyniosłeś śmierć.

Smutny, szedł Jerzy dalej.

— Dokąd iść? — pomyślał. — Pójdę w las, między obcych, między pijaków, sam również obcy w ojczyźnie i jej zakała!

Spotkał trzeciego sąsiada i zwiesił głowę, zanim jeszcze tamtem przemówił do niego.

— Gdzież pójdziesz, Jerzy? — pytał sąsiad. — Biedakami jesteśmy i ciężko nam żywić człowieka, który w obcym kraju zużył młodość.

— Do lasu pójdę!

— Jak to — do lasu? Przecie i tak ledwie na nogach się trzymasz. Nie, do lasu nie pójdziesz, ani w pole, tylko na ciepłą słomę...

Przybyszowi wydało się, że kamień ma na grzbiecie. Zmęczony był, więc usiadł przy drodze na tobołku, żeby wypocząć.

Zgarnął z drogi trochę ziemi i pogładził ją dłonią, jak twarz dziecka.

— Ziemio, matko!

Łza spłynęła na ziemię; twarz jego stała się wtedy zwiędła i trupia, jak twarz starca, siedzącego przed wykopanym dlań dołem.

Długo Jerzy wypoczywał.

A kiedy podniósł głowę, przed nim stali sąsiedzi.

— Tak, tak, Jerzy: nie odmówimy ci ani ciepłej słomy, ani chleba, ani nie będziemy ci robić wymówek, że nie zbierasz tam, kędy siałeś... Witaj nam!

Jerzy wstał.

— Ludzie, bracia! Miałem ojczyznę i zdrowie; kiedym stracił jedno i drugie, przejrzały moje oczy i spostrzegły, że miałem zdrowie i ojczyznę... Pokażcie mi, bracia, gdzie jest dół, dla mnie wykopany!

Zmęczony był, położył się w chlewie na ciepłej słomie, zasnął i już się nie obudził.



Recepty dla szczęśliwego pożycia domowego.

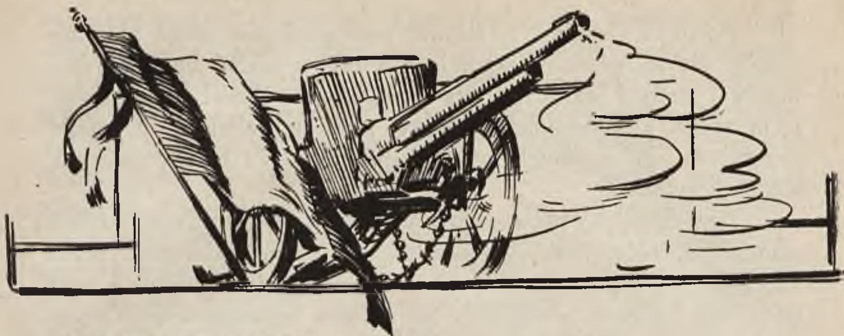
Dla niego:

1. Nie krzycz na żonę, lecz powiedz spokojnie, co masz do zganienia.

2. Niech żona będzie ci dobrym towarzyszem we wszystkiem, co cię zatrudnia.

3. Nie mrucz w domu i nie oszczędzaj swej uprzejmości tylko dla obcych.

4. Nie wybredzaj w jedzeniu, lecz bierz w rachubę także i dobrą wolę.



RADOSŁAW M. VESNIĆ.

Jankowa winnica.

(*Z nowel jugosłowiańskich*).

Front pod Solunem został przełamany. Z górskiego pasma Daniła, na którem tak długo czekały na ten wielki dzień, spuściły się nasze baterje za nieprzyjacielem, który bądźto zapełniał swojemi ciałami porozrywane rowy strzeleckie, bądź też umykał ku nowym pozycjom.

Janko służył w trzeciej baterji. Jako kanonier jeszcze z czasów wojny bałkańskiej, przez cały czas aż do przełamania frontu pełnił funkcję celowniczego lub obserwatora. I tym razem był celowniczym przy pierwszem dziale, a jego pociski nie wylatywały napróżno; jakgdyby ręką niesione padały na baterje nieprzyjacielskie, na oddziały karabinów maszynowych i kulomiotów, na betonowe rowy strzeleckie, burząc tam wszystko, druzgocąc i siejąc przerażenie. Polecenia komendy wypełniał Janko ściśle i dokładnie i nigdy się nie mylił. Przytomny był i rozsądny nawet wówczas, kiedy dowódcy tracili głowy.

W czasie bombardowania pozycyj nieprzyjacielskich Janko nie opuszczał pod żadnym pozorem swego stanowiska. Bez strachu i drgnienia oka chwytał rozkaz swego dowódcy i bez wytchnienia wysyłał w przesztrzeń swoje granaty i szrapnele. Myślami był już w swoim domu tam, blisko Prokuplja... I widział swoją matulę i swojego ojca. Zrywał już dojrzałe winogrona swojej własnej winnicy, którą poczęści własnemi zasadził rękoma. A kiedy baterja ruszyła w pościg, nie mógł się już powstrzymać od szczęścia:

— Nikt nas nie powstrzyma!...

I istotnie, pędziło się... Znanemi okolicami, któreśmy już zdobywali, przechodziliśmy raz jeszcze w zwycięskim marszu. Za plecyma pozostawały góry Mogleńskie, Morihowo, Perister. Przeszliśmy obok Prilepu i podsunęli pod Veles. Po lewej stronie mieliśmy Babunę.

Poranek zaświtał w jakimś kamieniołomie, skąd należało wspiąc się na grzebień górski, z którego widać było Vardar, falisty i jasny i Veles... Pierwszy pluton otrzymał rozkaz podjęcia wraz z kompanją piechoty pościgu, tudzież, by z tego grzebienia, po zdobyciu go, godził w tył i bok cofających się nieprzyjaciół.

Nieprzyjaciel, rozwścieczony, bronił rozpaczliwie swoich oddziałów, cofających się gorączkowo. Z kamieniołomu, przez który miał się przebić pierwszy pluton baterji, broniły się rozpaczliwie bułgarskie oddziały karabinów maszynowych i ręcznych granatów. Nasi napierali całą siłą, ale niepomni na nic Bułgarzy nie ustępowali. Słychać było komendę, przekleństwa i prośby oficerów bułgarskich, którzy chwilami grozili, chwilami zaś prosili, lub krzykiem zachęcali swoich żołnierzy do oporu. Wszystko wskazywało na to, że Bułgarzy znajdujący się w kamieniołomie zaatakują nasze słabe oddziały pościgowe. Janko wraz ze swojem górskiem działem znajdował się w szeregach piechoty, bez osłony i bombardował szybką palbą kamieniołom. Usłyszawszy bułgarskie okrzyki „Hura“, z któremi Bułgarzy mieli ruszyć do ataku, wstał i z lafety krzyknął na piechurów:

— Bracia, naprzód!... Ja działo wyniosę na barkach... Tylko naprzód...

I kiedy stał na lafecie, zaterkotały karabiny maszynowe i ręczne granaty z obydwóch stron. Po osłonie działa zabębniły kulki karabinów maszynowych. Janko chciał zeskoczyć i rozpocząć ogień, w tej jednak chwili garść kulek wyleciała ponad tarczę działa i przebiła jego pierś. Obsunął się, osłabły, na ponurą lufę działa i krwią zbroczył oręż, z którym się tak długo nie rozstawał. W kamieniołomie zmagali się Serbowie i Bułgarzy, atakowali jedni drugich i nóż wbijał się w ciało, a Janko powoli konał, spuszczony przez kolegów na ziemię. Kiedy działo znowu zagrzmiało, by wkrótce potem żołnierze nasi wdarli się na grzebień górski ponad Velesem, Janko leżał na żółtym mchu, w pustym wąwozie. A kiedy jego koledzy nieco później zasypywali z grzebienia górskiego ogniem armatnim kolumny nieprzyjacielskie, znajdujące się w dolinie Vardaru i patrzyli na Veles, tonący w blaskach słońca, dzielnego kanoniera niesiono na cmentarz wojskowy, leżący przy drodze do Velesu.

Od Velesu do Kumanowa maszerowaliśmy, można rzec, bez wytchnienia, spiesznie tak, że niełatwo nas było dopędzić. W tym pośpiechu towarzysze nie wspominali już Janka. Nowe wypadki były świeższe i każdy z nich myślał o tem, kiedy wre-

szcie przybędzie do domu. Wiara była we wszystkich tak wielka, wiara w zwycięstwo, wiara w powrót. A kiedy oddziały rozbrojonych wojsk bułgarskich przechodziły przed Kumanowem obok naszych żołnierzy, każdy z nich przekonany był, że tylko tak stać się musiało. I to powitanie w Kumanowie! Portrety Króla Piotra na każdym balkonie, wśród sztandarów serbskich i kwiatów jesieni jakby je już dawno przygotowano na powitanie. Dziewczęta, pełne pogardy i urągań dla Bułgarów, krwiożerców, ustami pełnemi zachwytu witały braci Serbów. Na koniach, działach i żołnierzach kwiaty. A pieśń, serbska pieśń rozbrzmiewała, napełniając radością każdy zakątek.

Bułgarów starto. Od Kumanowa wojska nasze napotykały oddziały austrjackie i niemieckie, przerzucone z innych frontów celem powstrzymania zwycięskich kolumn z frontu soluńskiego. Lecz wszystko za późno; wszystko napróżo. Szło się wciąż naprzód. Na Pasjaczy, ponad Prokupljem, świeże oddziały niemieckie powstrzymały pewnego wieczora kolumnę, w której znajdowała się również baterja Janka. W ciągu nocy oddziały zajęły swoje stanowiska, baterja zaś jeszcze za dnia dokonała obserwacji terenu. Za grzebieniem górskim, przy małych ogniskach, ozwał się jeden z kolegów Janka:

— Ejże, toż nasz Janko pochodził gdzieś z tych okolic, z pod Prokuplja?

— Tak, jak mi Bóg miły. Opowiadał mi często — rzekł jego plutonowy — że pod Pasjaczą ma dom i ładny mająteczek. Ech, dobry był, wesołek! Szkoda! Ot, wszyscy wracamy do domu, tylko jego niema. Czy on był żonaty?

— Nie — odpowiedział żołnierz, który pierwszy rozpoczął rozmowę. — Opowiadał mi, że właśnie chciał się żenić, kiedy wrócił z wojny bałkańskiej, gdy wtem wybuchła nagle owa wojna europejska. Ma tylko ojca i matkę. Zdaje mi się, że był jedynakiem.

Od czasu do czasu ozwał się jakiś karabin od strony pierwszych straży piechoty, a tam, gdzieś daleko na prawo, zdaje się w okolicy Nisza, rozlegały się przytłumione grzmoty dział, a ognie szrapneli podobne były tej nocy do blasku błyskawic. Gdzieś tam, na naszem lewem skrzydle, ostrzeliwały się słabo przednie straże. Spać się ludziom nie chciało, więc się musieli czemś zająć. Niebawem odezwał się i karabin maszynowy, a potem ręczne granaty. Gdzieżby artylerzyści mogli milczeć? Więc oto i trzecia baterja musi wysłać swoje przedpółnocne pozdrowienie zanim sen pochwyci żołnierzy.

W ten sposób urwała się rozmowa o Janku. Wszyscy pokładli się spać, tylko warta czuwała. Nazajutrz wczesnym

rankiem rozpoczęły się utarczki, poczem rozgorzała dość żywa walka, trwająca cały dzień. Jedna baterja nieprzyjacielska rozpoczęła z naszą trzecią baterją bardzo żywy i ostry pojedynek, dopóki jej nasi już przed samym wieczorem nie zmusili do milczenia. Kiedy następnie piechota przechodziła przez stanowiska baterji nieprzyjacielskiej, powiadają, że dwa działa były rozbite do szczętu, większość zaś załogi wybita. Była to ostatnia już nasza bitwa. Przez pozycje nieprzyjacielskie przechodziliśmy jeszcze za dnia, maszerując przez jakąś wioskę w stronę Prokuplja. Dojrzałe winnice prokupljańskie witały naszych żołnierzy prawie nietknięte przez nieprzyjaciół, którzy w ucieczce nie mieli czasu pozrywać winogron. Wieśniacy i wieśniaczki, kobiety i młode dziewczęta, dzieci i starcy ze łzami radości w oczach, z rękami i podołkami pełnemi winogron, witali naszych żołnierzy i ugaszczali ich. Nikt z żołnierzy nie wchodził do winnic i na podwórza, wszyscy brali od ludu to tylko, co im on sam wynosił.

Między innymi w pewnej kotlince przed winnicą, pełną dojrzałych owoców, w której ogrodzeniu stały na straży czarnemi wierzchołkami sterczące ku niebu wysokie wonne sosny, w głębi zaś winnicy wśród zieleni bieliła się piękna chatka i kilka schludnych przybudówek, stał mężczyzna w podeszłym wieku w towarzystwie kobiety. Silni i krępi. Szerokiemi garściami rozdawali żołnierzom winogrona, przynoszone przez jakiegoś służkę.

— Bierz ze starej winnicy — odzywał się gospodarz, — a z Jankowej, aż on przyjdzie. To są i tak pierwsze winogrona.

— A kogoż to oczekujecie, ojczulku? — zapytał jakiś żołnierz z kolumny.

— Czekam syna. Otrzymałem niedawno przez Genewę list od niego. On jest w którejśtam dywizji artylerji, a przedtem był w morawskiej...

— Daj Boże, ojczulku, żebyś go ujrzał żywego i zdrowego! — powiedział żołnierz i poszedł dalej z kolumną, zajadając wraz z kolegami Jankowe winogrona.

Przechodziła piechota, a tam oto ukazuje się na wyniosłości i artylerja. Idzie lekko artylerja górska, jakgdyby nie była w bitwie, tuż za piechotą.

Staruszkowi mgłą zaszły oczy, więc je począł przecierać.

— Babo, patrz, działa!...

Lecz słowa uwięzły mu w gardle. A baba ani słowa. Oboje drżą w niepewności i myślą sobie: czy będzie tu ich Janko?

Kolumna artylerji była coraz bliżej, dowódca był już przy staruszkach. Drżącemi rękami podali winogrona najpierw dowódcy, potem żołnierzom, milcząc, bez słowa. Lecz z kolumny nie zjawia się Janko. A oni nie śmią nawet pytać. Jakiś żołnierz przystanął, pakując do swojej torby kilka kiści winogron na drogę.



— A która to baterja? — zaledwie wykrztusił staruszek.

— Trzecia górska...

— Więc to... jakże mam powiedzieć?... może ktoś z was zna mojego Janka... On też jest w artylerji.

— Jakiego Janka? — spytał ów żołnierz.

Ale w tej samej chwili drgnął, cofnął się w tył, zdjął czapkę i przeżegnał się zmieszany. Przypomniał sobie: to jest ojciec Janka.

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!

Zakołysała się kolumna, głos przeszedł przez baterję. A kiedy starzy, osłabli, załkali zduszonym płaczem, już cała baterja z odkrytemi głowami stanęła przed Jankową winnicą.

Stary pierwszy przyszedł do siebie i spytał:

— Gdzie poległ mój Janko?

— Pod Velesem...

Staruszka łkając i zataczając się, ruszyła długą ścieżką winnicy w stronę białej chatki, zawodząc cicho:

„O mój Janko, mój sokole,
„O mój Janko, ma radości,
„Czemuś matkę tak zasmucił?..."

Stary zaś ojciec rozwarł szeroko furtkę, zdjął starą, żylastą ręką czapkę z głowy i rzekł:

— Panie kapitanie, pozwólcie żołnierzom oberwać pierwsze owoce z Jankowej winnicy... Skoro Bóg nie chciał, żeby on sam to uczynił, to chyba tak jest sądzone, niech oni oberwą... za spokój jego duszy.

W mgnieniu oka żołnierze opuścili działa i konie i w jednej chwili winnica zapełniła się rojem kolegów Janka.

Żałosne winobranie!

A kiedy na progu chatki stara matka nadal narzekała tym wzruszającym dziesięciozgłoskowcem, niemy, zbolały, stał u wejścia do winnicy, sam ze swoim milczącym bólem, biedny ojciec Janka. I kiedy baterja bez słowa, z łoskotem ciężkich dział, była już daleko, on stał ciągle jeszcze na tem samem miejscu z głową odkrytą i niemy.

Przełożył Stanisław K. Papierkowski.



DR. STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI.

Sprawa Słowiańszczyzny.

Sprawa wielkiej i zjednoczonej „Słowiańszczyzny" jest kwestją ciągle jeszcze otwartą. Zastanawiały się nad tym doniosłym problemem i zastanawiają się do dnia dzisiejszego najwybitniejsze umysły, zarówno rozpłomienionych marzycieli-panslawistów w okresie panslawistycznego romantyzmu, jak i umysły trzeźwych polityków w okresie powojennego realizmu. W silnej i zjednoczonej Słowiańszczyźnie widziano i widzi się po dzień dzisiejszy gwarancję pokoju europejskiego, w koncepcji zjednoczenia ludów słowiańskich widzi się potężną zaporę dla ekspansji wrogiej Słowianom rasy germańskiej, ostrzącej sobie ciągle zęby na ziemie polskie. Widziano to wszystko, zastanawiano się nad różnemi możliwościami stworzenia jednego państwa słowiańskiego, opartego na młodej i niezdegenerowanej jeszcze rasie słowiańskiej — nie zrobiono jednak niczego w kierunku zrealizowania tej wielkiej idei. W łonie samych ludów słowiańskich nie znalazł się dotychczas, przez całe wieki, ani jeden sposób, któryby doprowadził do porozumienia słowiańskiego. Przed wojną światową, tylko naród rosyjski i część Słowian południowych posiadała własne państwo i niepodległość. Polityka państw zaborczych, pod których jarzmem jęczały inne narody słowiańskie, krzyżowała i zabijała w zarodku wszelką myśl o porozumieniu się i współpracy słowiańskiej.

Z wolnych ludów słowiańskich narody południowo-słowiańskie: serbski i bułgarski, pochłonięte wiekowemi walkami o wolność, której zagrażał półksiężyc, nie miały ni czasu, ni możności pomyślenia o swoich współplemieńcach — naród rosyjski, zawsze najpotężniejszy i największe posiadający możliwości, ale rządzony przez obcą dynastję, wrogą wszystkiemu, co polskie, nie mógł wziąć w swoje ręce inicjatywy. Jeśli ją brał, założenia jego były niemożliwe do przyjęcia ich przez naród polski. Słowiańszczyzna pod hegemonją Rosji, dobrze widziana i popularna wśród Czechów, nie mogła znaleźć zwolenników w gnębionym przez Rosję narodzie polskim. Jedynemi momentami realnemi były wysiłki patrjotów południowo-słowiańskich w kierunku stworzenia zjednoczonego państwa jugosłowiańskiego. — Jugosłowianie ograniczyli się do tej koncepcji węższej, pozostawiając sprawę całej Słowiańszczyzny na drugim planie — zresztą zupełnie słusznie.

Nowe możliwości zrealizowania koncepcji połączenia się wszystkich narodów słowiańskich w jedno państwo słowiańskie pokazały się po wojnie światowej. Możliwości te wypłynęły

z faktów takich, jak: usunięcie wrogiej narodowi polskiemu dynastji w Rosji, powstanie zjednoczonej Jugosławji, tudzież powstanie dwu nowych państw słowiańskich: Polski i Czechosłowacji. Niestety, już od samego początku, zamiast zgody i porozumienia, pojawiły się ostre konflikty: polsko-rosyjski, polsko-czeski, polsko-ukraiński, serbsko-chorwacko-słowieński i jugosłowiańsko-bułgarski.



Ostry zatarg polsko-czeski, wynikły ze względów terytorjalnych, uniemożliwił na długie lata bliższą współpracę polsko-czeską. Wojna z Rosją Sowiecką zwaśniły Polskę z sąsiadem od wschodu, walki polsko-ukraińskie zaostrzyły zaszczepioną przez Austrję nienawiść między dwu od wieków bratniemi narodami: polskim i małoruskim; konflikty jugosłowiańskie, powodowane względami separatystycznemi, sprawiły młodemu państwu jugosłowiańskiemu wiele ciężkich kłopotów, brak ścisłego kontaktu z Bułgarją naraził Jugosławję na stratę sojusznika, potrzebnego jej w obronie ziem, na które mają nieuzasadniony niczem apetyt Włosi.

Tylko jeden naród słowiański, Serbowie łużyccy, stał zdala od tych wszystkich pierwszych poczynań słowiańskich w nowej, powojennej Europie. Naród ten nie odniósł z wojny tych korzyści, które przypadły w udziale jego słowiańskim braciom —

nie odzyskał wolności, lecz pozostał nadal pod obcem, niemieckiem panowaniem.

Z biegiem lat konflikty międzysłowiańskie poczęły się zacierać. Przyczyną tego korzystnego zjawiska są niewąpliwie zakusy wrogich ras, do ziem rdzennie słowiańskich. Słowianie, którzy do niedawnych dni szukali porozumienia ze wszystkiemi narodami, tylko nie ze sobą, zaczęli w ostatnich czasach nawiązywać ze sobą bliższe stosunki. Doszło do porozumienia polsko-rosyjskiego i polsko-czeskiego, a mówi się bardzo poważnie o porozumieniu jugosłowiańsko-bułgarskiem. Ostatni „pakt czterech" zbliżył wybitnie do siebie Polskę i Czechosłowację; Polska i Jugosławja już od szeregu lat występowały wspólnie na terenie polityki zagranicznej. Kurs polityki wszechsłowiańskiej ożywia się z dnia na dzień, przybierając coraz jaśniejsze i coraz realniejsze kształty. Ruchowi temu dominuje współpraca polsko-czeska i polsko-jugosłowiańska. Coraz częściej słyszy się o koncepcji stworzenia słowiańskich Stanów Zjednoczonych. O ile ta koncepcja, w gruncie rzeczy możliwa do zrealizowania, posiada widoki powodzenia, trudno dzisiaj definitywnie określić! Realizacji tej koncepcji przeszkadzają fakty tak doniosłe, jak rosyjski komunizm, niemożliwy do przyjęcia przez inne narody słowiańskie, oraz dwie dynastje, jugosłowiańska, ciesząca się wielką popularnością wśród narodu jugosłowiańskiego i dla tego narodu wielce zasłużona, oraz dynastja bułgarska, obca, niesłowiańska. Przeszkody te jednak nie są takiemi, któreby były niewzruszalne. Ciągle się mówi, i to bardzo poważnie, o tem, że komunizm rosyjski nie jest wieczny, że on się wkrótce skończy, że Rosja nie wróci wprawdzie do dawnego ustroju monarchistycznego, ale że wprowadzi u siebie ustrój republikański, przez co dojdzie do możliwości porozumienia się z nią innych narodów słowiańskich, sprawę zaś obu istniejących dynastyj załatwi czas i nowe warunki rozwoju słowiańszczyzny.

Jak wielką i piekącą jest potrzeba tego wszechsłowiańskiego zbliżenia, świadczy fakt coraz silniejszych zakusów niemieckich na ziemie polskie i włoskich na ziemie jugosłowiańskie. Obroną może być nie szukanie sprzymierzeńców wśród narodów obcych, ale wśród swoich współplemieńców — słowian. Rasa słowiańska, jako młoda i niezużyta posiada w sobie kolosalne gwarancje potężnego rozwoju państwa na niej opartego. Trzeba tylko ten moment wykorzystać, trzeba to zrozumieć i należycie ocenić. Trzeba porzucić krótkowzroczną politykę oglądającą się ciągle na pomoc i poparcie ze strony chwilowych sprzymierzeńców, którzy niejednokrotnie dotkliwie zawiedli, jak

uczy historja, a stosować politykę liczącą się z temi właśnie możliwościami, jakich dostarcza słowianom ich ścisła współpraca. Żaden, oczywiście, trzeźwy człowiek nie będzie mówił, ani myślał, o możliwości zlania się narodów słowiańskich w jeden naród, bo to są rzeczy niemożliwe. Wieki i odrębne życie rozdzieliły nas raz na zawsze, inne w nas wyrobiły natury i charaktery; w jeden naród, jaki tworzyliśmy w epoce prasłowiańskiej, nie zlejemy się i nie zmienimy nigdy. Natomiast jedno, wspólne możemy mieć państwo, słowiańskie Stany Zjednoczone, jakie mają Amerykanie. Takie wspólne państwo jest możliwe i takie państwo, oparte na ścisłej współpracy słowiańskiej jest dla nas konieczne, jeśli się chcemy obronić przed zaborczością coraz potężniejszych Niemców i coraz silniejszych Włochów. Problem stworzenia Słowiańskich Stanów Zjednoczonych powinien stać się troską powołanych do rozpatrzenia go i opracowania czynników — zanim to nastąpi, będzie on ideą, która powinna stać się popularną na całej słowiańszczyźnie. Ideą tą powinny być owiane wszelkie słowiańskie poczynania, jej powinny służyć i ją propagować wszystkie towarzystwa i instytucje pracujące nad zbliżeniem poszczególnych narodów słowiańskich, nią powinna kierować się oficjalna polityka rządów poszczególnych państw słowiańskich. W silnej i zjednoczonej słowiańszczyźnie leży gwarancja pomyślnego rozwoju rasy słowiańskiej. Rozwój zaś rasy słowiańskiej jest gwarancją pokoju europejskiego.





STANISŁAW AWRYN.

Jakto Sienkiewicz uratował mi życie.

Drogi czytelniku!

Jeśli groźny ołówek redaktorski nie przekreśli tej gawędy, jeśli kochany Redaktor (na swe nieszczęście jest mym kelegą) to moje opowiadanie zakuje w ołowiane rzędy liter, tedy nie gniewaj się na niego, bo nie uczynił tego ze złośliwości, by cię zmusić do czytania nudnej opowieści, ale uczynił to z afektu dla mnie, chcąc mi dokuczyć, w myśl przysłowia: Kto się lubi, ten się czubi. Nie gniewaj się na mnie, bo ja drogiemu Redaktorowi zakazałem surowo, iżby się nie ważył tego drukować, a tylko by sam przeczytał. Jeśli więc wydrukował i jeśliś cierpliwy, tedy przeczytaj.

Incipiam.

Na wstępie, ponieważ lubię tylko prawdę, odrazu oznajmiam, że nie znałem się wcale z Sienkiewiczem (coby mu wonczas pewnie zaszczytu nie przyniosło); niemniej jednak prawdą jest, że uratował me nędzne życie... Jak? to dopiero opowiem; wszystko to będzie rzetelna, 95%-owa prawda, za wyjątkiem mego nazwiska, które jest zmyślone, a czytane wspak, da ci dopiero mój prawdziwy pseudonim.

Było to w mojem dzieciństwie, kilka lat przed wojną światową. Oddano mię do szkoły „normalnej" na wsi; a że uczyłem się dobrze, broiłem zaś, na rachunek dobrej nauki, potężnie, poczciwe grono nauczycielskie oznajmiło rodzicom, iż możnaby spróbować „dać go kształcić" (chcieli się mnie pozbyć). Na skutek tego orzeczenia zebrała się raz w niedzielę nasza rada familijna (miniatura Rady Ligi Narodów), t. j. rodzice i siedmnastoletnia moja siostra, — i postanowili, że dadzą mię „poduczyć trochę, żeby był mądrzejszy i radził sobie w życiu lepiej". Ja byłem też przy tem i założyłem groźne „veto"; mianowicie, położyłem się na łóżku, zacząłem wierzgać nogami, kopiąc niewinne powietrze i zapiszczałem: — ja tak nie chcę! ja chcę czemś być!!

Ponieważ każda Rada troskliwie rozpatruje skargi mniejszości, troskliwiej, niż skargi większości, więc i mój protest uwzględniono, bo usłyszałem powiedziane basem: zobaczymy!

Za chwilę, z radości, byłem już na szczycie największej naszej czereśni, nucąc: wlazł kotek..., a w duszy rozważałem, że jestem już na wysokiem stanowisku, bo na najwyższem drzewie..., Rada zaś Ligi Rodzinnej wiele zyskała w mych oczach, co dałem jej poznać, urządzając jej członkom bankiet z jagód.

Tak oto zdobyłem miejsce w kopalni mądrości — szkole, z której można było iść do gimnazjum. Opuściłem więc „normałkę" wiejską, a oddano mię do miasteczka powiatowego do szkoły „z niemieckiem i lepszemi rachunkami".

Pożegnanie domu rodzinnego, głaskanie mej „jasnowłosej główki dziecięcej" (czytaj: kołtuniastej grzywy, pod którą kryły się guzy i sińce od kamieni), ostatnie upomnienia na drogę życia: pamiętaj o Bogu, ucz się dobrze, a jak ci się nazbiera brudnej bielizny... i t. d. i t. d. Wreszcie jazda! aż 7 kilometrów. Zajeżdżamy do miasta; szukanie mieszkania, kupno książek, kuferka etc., rzeczy nieciekawe teraz, — wówczas pierwszorzędne. Jeszcze raz upomnienia, odjazd przedstawicieli władzy rodzicielskiej — i już jestem w „normałce", ale miejskiej.

Mieszkałem z Władkiem z tejże wsi, co i ja, u szewca, p. Władysława. Władek był o jedną klasę ode mnie wyżej, co nie przeszkadzało, że byliśmy ze sobą na „ty". Kochaliśmy się bardzo, o czem świadczyły nasze ubrania, ślicznie w czasie rozrywki rozrywane, a choćby i to, że gdy w czasie tych czułości ktoś nas chciał rozdzielić, obaj rzucaliśmy się na niego, niczem na strasznego wroga, w myśl przysłowia, któreśmy zmienili: Gdzie się dwóch bije, tam trzeci... oberwie.

W szkole? jakto w szkole; głowy mieliśmy niezłe, więc nauka szła nam świetnie, jakkolwiek świadectwa nie bywały świetne; wprawdzie nie było „dwójek" ani „dostatecznych", ale i „bardzo dobrych" niesłychanie skąpo. Władek, jako że był tu już drugi rok, a przytem był świetnym dyplomatą, zbadał przyczynę tego zjawiska. Oto łaził za jednym z naszych profesorów, czule patrząc mu w oczy. Wreszcie profesor, widocznie rozbrojony „jasnemi, niewinnemi oczętami" (!) Władka, zagrzmiał, aż Władek przysiadł:

— Czego?

— Proszęssora, bo Staszek, ten z trzeciej, dziwuje się, że jak jest pytany, to potem mówi mu nauczyciel: bardzo dobrze, — a na świadectwie z półrocza ma prawie tylko „dobre".

— Ty pytasz się właściwie o siebie, bo masz tak samo; ale ci powiem: macie pójść do gimnazjum, to lepiej dla was,

że świadectwa słabsze, bo tam zaimponujecie swemi dobremi łbami, a nie „bardzo dobremi” na papierze. Siadaj! — czule ryczał pedagog (było to na podwórzu).

Wiedzieliśmy; więc można było broić, bo przebaczano nam w imię naszych rzeczywiście niezłych postępów w nauce (w podobnych opowiadaniach bohaterowie zawsze źle się uczą i tylko im się „udaje”, ale ja piszę tylko prawdę).

I broiliśmy, bo kto w szkole nie broi, ten nic nie znaczy; broi dobry uczeń, — mówią: drab, ale się uczy. Broi słaby uczeń lub próżniak, — mówią: osieł, ale da sobie radę w życiu, — nie dawać mu dwójki (tem bardziej, że w ten sposób pozbywa się go z klasy). Jeden, zaś, i drugi „chodzą w chwale“ u kolegów.

Władek i ja byliśmy, bodaj że najszczęśliwsi, bo profesorom imponowaliśmy nauką, zaś kolegom, wprost cudownemi figlami; Władek, — niezrównany w pomysłach, ja, — w ich precyzyjnem wykonaniu.

Tak mile schodził czas. Zbliżała się wielkanoc. Oczywiście, wielkanoc nic nie znaczy bez „huku armat“, choćbyś miał na wałku nawinięty kilometr kiełbasy. Więc ciułaliśmy pieniądze, by kupić — cukierków? nie! lekarstwa na ból gardła, t. zw. calichloricum; w kołach naukowych zwie się: kalafiorek. Ma on dwie nieocenione własności: 1) jako roztwór wodny bywa używany z dobrym skutkiem do płukania chorego gardła; 2) zmieszany z odrobiną siarki, posypany na kamień, przyłożony małym kamykiem, następnie uderzony z góry wielkim kamieniem, jest przyczyną dwóch efektów: wspaniałego, armatniego huku — i pomocą do wzbogacenia naszego słownika językowego, bo za chwilę słyszy się, jak panie majstrowe chrypią:

— Te chórobskie szkuty! Żeby jych dzidko!... etc.

O! wy uczeni gramatycy i lingwiści! kujecie nowe wyrazy, a nie wiecie gdzie i jak się szuka starych a nieznanych wam słówek, bogacących język polski!

Apteki więc grubo przed wielkanocą były oblężone, bo sfery naukowe straszliwie chorowały na gardła, które leczył tylko kalafiorek... Natomiast na święta, z radości, żeśmy nasze gardła wykurowali, waliliśmy kalafiorkiem, jak się patrzy i od pań majstrowych uczyliśmy się nowych, rdzennie polskich wyrazów. Czasem tylko uciekaliśmy przed policjantem, który, nie bojąc się huku, z mieczem u boku i półksiężycem na piersiach, pilnie nas poszukiwał. Ale ów półksiężyc źle mu świecił, bo nas nigdy nie znalazł; zaś koncerzem, który miał, w kinie, — myślisz, — siekał tych, co byli bez biletów? Nie! Kordem tym... odsuwał zardzewiałe rygielki u drzwi; poczem

z tąż miną, jaką miał Sobieski po zwycięstwie pod Wiedniem, chował swe szablisko do pochwy.

Ale amunicja wnet się skończyła, więc czas wolny od nauki należało czemś wypełnić. Zbliżał się maj; już przy końcu kwietnia były chrabąszcze. Czytelniku! Czyś wymyślił jakiegoś figla z chrabąszczami, prócz znanego w całym świecie naukowym wkładania ich za kołnierz czy też do kieszeni lub robienia z nich młynka? Pewnie nie! Ale ja w tem przewyższyłem nawet Władka, jakkolwiek Władek do nowych pomysłów był, jako się wyżej rzekło, jedyny. Wymyśliłem!

Niedaleko była skrzynka pocztowa na listy. Codzień chodził tam obywatel z torbą na listy; chodziłem i ja obserwować jego pracę. Zacząłem go wypytywać o maszynerję tej skrzynki.

— Widzisz — objaśniał — tej skrzynki nie otworzę inaczej, tylko wsuwając tę ramę we fugi u dołu skrzynki; wtedy sama się otwiera, a listy wpadają do skórzanej torby, przyczepionej do ramy; gdy zaś ramę z torbą odejmuję od skrzynki, wtedy zamyka się i skrzynka od spodu i rama z torbą, tak, że do listów nijak się nie mogę dostać. Dopiero na poczcie sztucznie ramę otwierają i wyjmują listy...

Figiel był gotów.

Wstałem raniutko i wyszedłem z domu, a następnie wróciwszy, rzekłem do Władka:

— Władziu, idź sobie z książką koło skrzynki i patrz na nią dobrze!

— Idę — odparł i poszedł.

Sam zdaleka obserwowałem „teren".

Pan z torbą przyszedł do skrzynki; był tam coś dłużej, niż zwykle, trzaskał mocno maszynerją i prędko popędził nie do następnej skrzynki, tylko na pocztę.

— I co Władziu? — zagadnąłem kolegę.

— Dobrze! — relacjonował Władek; — gdy urzędnik zasunął ramę pod skrzynkę, coś ze skrzynki do torby wpadło, omal jej od ramy nie oderwało. Zaklął siarczyście, mówiąc przytem: „Ta przecie po świętach, a tu tyle listów"? Nie mógł jakoś zasuwy zasunąć, bo coś przeszkadzało, ale jakoś zasunął, a potem, idąc, torbę do ucha przykładał i klął, jak jaka... majstrowa!

Co zrobiłem? Oto do skrzynki pocztowej napchałem pełno chrabąszczy, których listonosz nie mógł z torby wydobyć; dopiero na poczcie sam pan naczelnik torbę otworzył i wyjmował listy i... chrabąszcze, które czule czepiały się zbawczej prawicy i właziły do rękawa...

W szkole za to było maleńkie „trzęsienie ziemi", ale nikt mnie nie wydał. Stałem się poniekąd sławnym, a figiel świetnie.

się przyjął, bo pan naczelnik coraz częściej, póki był maj, wyjmował z torby zamiast listów — chrabąszcze (nieraz zasuwą pogniecione).

Ale prócz figlów zajmowaliśmy się nieraz i sprawami poważnemi. Trzeci maj, — konstytucja, obchód; pod Sokołem zbiórka i płomienna mowa patrjotyczna...

Stoimy w szeregach, poważni; ja blisko Władka. Na balkon wychodzi śliczny pan; tak pięknego mężczyzny nie widziałem nigdy i nie wiem, czy zobaczę. Już swym wyglądem ujął słuchaczy.

Cisza... Mówi z patosem i przekonaniem: z pięknych jego ust padają słowa: sto pięćdziesiąt lat niewoli... Ojczyzna... konstytucja... w sercach... lała się krew... Henryk Sienkiewicz... budzi ducha narodu... wizja dawnej Polski... trylogja... czytajcie... niech dziatwa... i t. d. i t. d.

Tu i ówdzie w tłumie słychać tłumiony płacz; i nam, zbijakom, zrobiło się jakoś dziwnie, nieswojo... Spojrzę na naszego dyrektora; aliści, z jego niby groźnych przyrządów do patrzenia płyną na potężne wąsiska obfite łzy... A mowca prawie płonął z zapału; słuchaliśmy z Władkiem, jak urzeczeni. I o dziwo! zapłakaliśmy obaj z potężnego wrażenia.

Wieczorem wiadomość: pięknego mowcę aresztowano i wywieziono... Władek zbladł, ja zaś wpadłem we wściekłość; kupię wór kalafiorku i wysadzę w powietrze mury i bramy więzienia... ale gdzie?

Mieszkał z nami młody robobnik, kaflarz. Codzień, raniutko, szedł do swych pieców kaflowych, wieczorem zaś zawczasu szedł spać. Ale wszedłszy do łóżka, nie spał zaraz, tylko chwilę siedział w łóżku, kryjac twarz w dłoniach.

Raz zagadnąłem go serdecznie:

— Czy pan płacze?

— Nie — odparł — tylko mówię pacierz; byłem przed kilku miesiącami do spowiedzi po wielu latach i za pokutę ksiądz kazał mi codzień odmawiać pacierz.

— Pokuta na cały rok! Tożto musiały być grzechy! — rozważaliśmy z Władkiem.

Gdyśmy wrócili zemocjonowani z obchodu, nadciągnął i kaflarz. Jakoś dziwnie na nas popatrzył i zgryźliwie zagadnął: — Poco wam tej Polski? Co wam przyjdzie z tego, że będzie jeszcze wolna Polska? Co wam przyjdzie z tego, że chcecie Polski?

Władek — dyplomata, Władek! — oniemiał.

Ja zaś odpaliłem kaflarzowi.

— A panu co przyjdzie z tego, że pan Polski nie chce?

Na takie „dictum” nie był przygotowany; nie mówiąc nic, zapalił nerwowo papierosa i zaraz potem włożył go do ust ogniem, parząc sobie dotkliwie język.

Roześmialiśmy się z Władkiem na całe gardło.

Wieczorem kaflarz coś dłużej siedział w łóżku, t. j. mówił pacierz, w nocy zaś, jak i my, nie mógł zasnąć.



Przewracając się na łóżku, rozmyślałem: o pięknym mowcy, który teraz siedzi w areszcie, o płaczącym dyrektorze i Władku, o kaflarzu-kosmopolicie... Potem o duchach... Wnet będzie północ, czas duchów. Zacząłem liczyć „swe” duchy: Bóg, — to jeden duch; moja dusza, — to drugi; anioł-stróż — trzeci; djabeł — czwarty (czasem, a nawet często, zdaniem księdza katechety, jest przy nas); i, o zgrozo! piąty duch, zdaniem dzisiejszego mowcy, duch narodu! A więc teraz koło mnie aż pięć duchów!... A północ blisko! Co będzie, jeśli choćby jaden tylko z nich, choćby najlepszy, zagada do mnie?! Strach!! Ale po chwili zacząłem spokojniej i rozważniej myśleć. — Bóg nie będzie do mnie mówił, bo mówił dawno do ludzi i to na całe wieki wystarczy, bo to zapisane w Piśmie św.; dusza? toć to ja! a ja nie pisnę ni słowa; anioł-stróż? toż ma mię pilnować, a nie straszyć... też się nie odezwie; djabeł? temu w odpo-

wiedniej chwili da łupnia poczciwy anioł-stróż, a ja mu pomogę, żegnając się krzyżem św. Wreszcie duch narodu; ale i ten nie groźny, bo, jak mówił dzisiaj ten pan, ducha narodu budzi dopiero Sienkiewicz, — a więc ten duch śpi jeszcze!

Tak rozprawiwszy się radykalnie aż z pięcioma duchami (o duszach zmarłych, na szczęście, zapomniałem, bo byłoby tych duchów więcej), zasnąłem potężnie.

Rano, o cudzie! zbudziłem się prędzej, niż Władek; kaflarza już nie było. Zacząłem się ubierać, nucąc: Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat... Me „słowicze trele" zbudziły Władka, ale jakoś nie mógł się zwlec z łóżka; wreszcie siadł i zaczął naciągać trzewiki. Jednak lenistwo paraliżowało go, więc szukał pozorów, by jeszcze choć na chwilkę „legnąć"; znalazł, bo zaczął mruczeć:

— Buty jakoś nie chcą wleźć na nogi; ciasne.

— A, to sobie umyj nogi, to będzie na nich mniej brudu, to będą mniejsze i wejdą do butów! — dogryzałem. — A ja mam buty na wyrost, to nie muszę nóg myć, a w kąpieli to się same umyją!

Ostatecznie „duch narodu" zamieszkujący nasze ciała obudził się i poszedł do szkoły.

Po obiedzie należało się czemś rozerwać. Przypadkowo za podszewką kamizelki znalazłem pięć centów! Idziemy po kalafiorek; Władek szmatą starannie owinął gardło i walimy na „sicher" do apteki. Wracając, spotkaliśmy małą „Zosię" (tak ją wszyscy zwali) z trzeciej klasy (szkoła żeńska była obok naszej). Znaliśmy ją z widzenia, tem bardziej, że była naszą sąsiadką. Ojciec jej dość zamożny, ale trochę chory — melancholik, czasem pijał; matka zaś dbała bardzo o ojca, zapominając o córce, jedynaczce, starając się jedynie o to, by ta była ładnie ubrana. „Zosia" więc nie mając w domu żadnej rozrywki, szukała towarzystwa innych dzieci, a że mieszkaliśmy blisko, wybór padł na nas. Gdyśmy ją spotkali, patrzyła na mnie, jakby chcąc zacząć rozmowę. Zagadnąłem ją z pewnym niepokojem, by nie prosiła o kalafiorek:

— Czego chcesz od nas?

— Żebyście się ze mną trochę bawili, bo mi się samej w domu przykrzy.

— A czy ty umiesz z chrabąszcza zrobić młynek? — egzaminowałem jej uzdolnienia do zabawy.

— Nie.

— A umiesz strzelać z kalafiorku na kamieniach?

— Nie.

— A z klucza?

— Nie.
— A prochem lub zapałkami z rurki?
— Nie.
— No, to może umiesz grać w palanta lub palcatkę?
— Nie.
— A w kiczki, też nie?
— Nie (prawie z płaczem).
— Władziu, to szkoda czasu, choć! — rzekłem do kolegi.
Ale Władek, dyplomata i spryciarz, zagadnął ją:
— U nas bywa czasem doktór; możebyś zachorowała na gardło?
— A to poco?
— Bo ci zapisze płukanie z kalafiorku, a ty potem wyzdrowiejesz i przyniesiesz kalafiorek nam i będziemy się zato z tobą bawili.
— Doskonale! — zapiszczała radośnie.
Tegoż dnia wieczorem była chora na gardło, a na drugi dzień Władek zainkasował z jej rąk wspaniałą torbę kalafiorku. Odtąd nabrałem rzetelnego szacunku dla Władka, a Zosia bawiła się z nami, to znaczy w nieopisanym strachu stała koło nas, gdyśmy jej „płukaniem" gardła dziurawili powietrze, waląc jak z armat. Władek nucił przy tem pieśń patrjotyczną: Grzmią pod Stoczkiem armaty..., zaś nasz gospodarz, mistrz od kopyta, p. Władysław, przepłukawszy gardło wódeczką, chcąc się przed nami popisać czystością głosu, a zarazem wyrazić swoje uznanie dla naszej nauki i bohaterskich poczynań, wychylił przez okno rozczochraną głowę i patrząc rzewnie na nas (wielce nas miłował), zaskrzypiał:
— Zdrowe chłopcy, jak chcholera!
Była to pochwała najwyższego stopnia.
W szkole odtąd zadziwialiśmy wszystkich wprost legendarnemi ilościami cennego materjału wybuchowego i szafowaniem nim iście wojennem. Zosia zaś miała chwile dość niebezpiecznej rozrywki i żadnej zabawy od nas się nie nauczyła, chyba tylko gry w palcatkę o łakocie, sama zaś nauczyła nas czagoś pożytecznego: nauczyła nas czytać.
Gdyśmy już wystrzelali amunicję, a nie można było zbyt prędko na gardło chorować, graliśmy w palanta: małą ale ciężką piłką gumową uderzało się w powietrzu kijem, t. zw. palestrą, a przeciwnik starał się ją złapać, nim spadła na ziemię (zwało się to „złapać kampę"). Władek umiał podbijać piłkę bardzo wysoko, co miało te następstwa, że łapiąc ciągle kampę z góry, miałem potem ręce strasznie popuchnięte; ja zaś puszczałem piłkę nisko nad ziemią, ale z wielką siłą. Władek, chcąc ją

chwycić, musiał przysiadać; ale i jemu ręce puchły, a co gorsza, nie mogąc poziomej kampy złapać — było to niesłychanie trudne — oberwał nieraz piłką po głowie.

Raz uderzyłem piłkę bardzo silnie, tak, że z rozmachu wyleciała mi z rąk palestra; Władek trudną kampę złapał, ale palestrą dostał po nogach. Rozgniewany, porwał kij i sunął ku mnie z groźnemi okrzykami. Schowałem się pod mostek. Władek, widząc, że mnie stamtąd nie wywabi, zaczął prosić:

— Stasiu, hołoto, wyleś, dostaniesz tylko po plecach kijem!

— A obiecaj mi dać po pysku, czy wyjdę!

Widząc mój stały umysł, jął pracowicie szturchać mię palestrą pod mostkiem, naoślep. Ale od czego spryt; Zagłoba z chlewka się zratował, to i ja jakoś z pod mostka wyjdę. Chwyciłem koniec palestry; Władek silnie zaszarpnął, — puściłem, — i Władek się przewrócił, a kij wypadł mu z ręki. Wyrwałem się z pod mostka i zacząłem uciekać, po drodze unosząc palestrę. Władek pozbierał się i pędzi za mną, aż tu idzie — „Zosia" z dwoma cienkiemi książkami w ręce. Zapomnieliśmy z kolegą o gniewie i obaj skoczyliśmy ku niej; krzycząc:

— Masz kalafiorek?

— Nie, ale mam tu ładne książki, choć bardzo smutne...

Rozczarowani, patrzyliśmy na nią, jakby rozum postradała; Władek zaczął mruczeć:

— Smutne, a ładne, jak to może być? N. p. dostaniesz lanie lub dwójkę, płaczesz, — to smutne, ale nie jest wcale ładne!

— Przeczytajcie!

Z pozorną ochotą, by jej nie zrobić przykrości, bo była trochę „beksa", wzięliśmy książki, a rewanżując się, daliśmy jej też trochę literatury pięknej, mianowicie kilka zeszytów „Sherlocka Holmesa" i „Jacka Teksasa, pogromcy Indjan"...

Książki otrzymane od Zosi, — a były to małe tomiki nowel Sienkiewicza — nieczytane, powędrowały na dno kuferka, tem bardziej, że zbliżał się koniec roku.

Wakacje! Magiczne słowo. Jedziesz do domu z niezłem świadectwem i nieodstępnym kalafiorkiem. Masz czem zaimponować wszystkim sferom wsi. Miejską kulturę i cywilizację przeszczepiasz na grunt ojczysty...

Czytelniku drogi! Czy nie pomnisz, jak radośnie w czasie wakacyj wspinałeś się na czereśnię po jagody i marzyłeś, że gdy czereśnia jeszcze trochę podrośnie, z jej szczytu sięgniesz do nieba i kozikiem wydłubiesz dziurę w sklepieniu niebieskiem, by od niebian nauczyć się nowych figlów?

Wszak szczęśliwość niebieska polega pewnie i na tem, że bezkarnie płata się tam figle! a kalafiorku mają tam całe korce, bo skąd grzmoty i pioruny? Czy nie pamiętasz, jak w niedzielę, przyszedłszy wczas do kościoła, posmarowałeś ławkę obłudnej i niecierpianej przez wszystkich dewotce jakimś tajemniczym klejem, a ona, po nabożeństwie, przekonana, że ją „moc boska" trzyma w koście, „przyzostała" dłużej; jak wreszcie usłyszałeś od niej, że dziś nic ci nie powie, bo była u św. sakramentów, ale jutro to ci coś takiego zrobi, że cię nieochybnie djabli wezmą! Wspomnij, jak do sznura najmniejszego dzwonu przywiązałeś mocno kawałek skórki ze słoniny i ogromny pies plebański, szarpiąc skórkę, dzwonił... a dzwonił...; jak ksiądz proboszcz zdziwiony, czy może się gdzie pali, poszedł do dzwonnicy... i chciał oryginalnego dzwonnika odpędzić, a ten, warcząc groźnie, nie ustępował, a dzwonił dalej.. Jak ksiądz proboszcz, nie bacząc, że to grzech kogoś posądzać, nie złapawszy go na sprawce „za rękę", powiedział o tobie: trzeba mu będzie kiedyś wielkiej protekcji, by nie był powieszony, tylko rozstrzelany... Czy zapomniałeś już jak w czasie kąpieli po mistrzowsku porozbijałeś kamieniami łby wiejskim „sztubakom", którzy, porwawszy twe ubranie z brzegu, chcieli je położyć na... drodze; jak uciekali przed tobą, porzuciwszy twe ubranie; jako później, gdy się oni kąpali, umieściłeś ich ubrania, porządnie je pomieszawszy, w... tarninie i pokrzywach... Przecież może pamiętasz, jak szlachetna duma rozpierała twe serce, gdy oni potem wielbili cię, mówiąc: Te „skubenty" to jednak czegoś pożytecznego uczą się w mieście, bo przed jednym trzech nas zmiatało!

Jeśli tego wszystkiego nie pamiętasz, tedy przebacz mi, że ci to wszystko niecnie insynuuję, bo... sądzę według siebie!

Ale, — koniec wakacyj. Jedziemy znowu do miasta. Pożegnanie domu, upomnienia na drogę życia, głaskanie jasnowłosej wówczas, dziś siwiejącej już i łysiejącej cysterny na mądrość, — wszystko, jak wyżej opisano. Władza rodzicielska (jakże nieprzezorna!) zostawia trochę pieniędzy na „przybory szkolne", mówiąc: kup sobie sam, bo ty najlepiej wiesz, co ci potrzebne. Naturalnie! Tegoż dnia kupiłem potrzebne przybory szkolne: 20 dkg kalafiorku, 5 dkg siarki, tuzin „kabzli", wreszcie rurkę i większy klucz do strzelania, bo nie wypadało, będąc już w czwartej klasie, posługiwać się „przyborami szkolnemi", które się miało w trzeciej; przecież postęp...

Władek postąpił identycznie, czyniąc przytem bardzo słuszne spostrzeżenie:

— Te, Staszek, nygusie indyjski, wedle tego, że się w wyższej klasie miewa większe klucze do strzelania, —

to niby tak w ósmej gimnazjalnej powinien każdy mieć armatę!

Nazajutrz smutny dzień; pochmurno, deszczowno. Mamy iść do szkoły, pierwszy raz po wakacjach. Przez okno widzimy, że koło sąsiedniego domu, mimo deszczu, zbierają się ludzie.

— Władziu, chodźmy tam! — Co?? Zosia umarła? A takie to było poczciwe! Przy samym końcu wakacyj zachorowała na zapalenie mózgu; zaraz po spowiedzi i Komunji (pierwszej i ostatniej) straciła przytomność — i oto dziś jej pogrzeb. Ojciec przy trumnie cicho płakał, ale to był płacz jakiś straszny. Matka pochylała się nad martwą twarzyczką i coś mówiła... Nie płakała... Zrozumieliśmy, a raczej odczuliśmy, że zbyt wielka boleść, zamiast otworzyć, zamknęła źródło łez. Straszne. Wybiegliśmy z domu, by nie widzieć, jak będą trumienkę zamykać...; podobno była to straszna chwila dla bezreligijnych prawie rodziców, a nieczułemu grabarzowi na widok tej niezwykłej rozpaczy jakoś dziwnie ręce się trzęsły przy tej czynności. Zamiast do szkoły, poszliśmy na pogrzeb. Jakże i nam było smutno!

Po południu przyszła do nas matka Zosi, niosąc jakieś zawiniątko. Bogata pani, ale dziś strasznie biedna; wszak pochowała jedynaczkę, którą, na swój sposób, niezmiernie kochała. Jak ją pocieszymy, skoro sami na jej widok ledwie nie płakaliśmy?

— Chłopczyki — ozwała się — wyście się z nią bawili?

— Tak!

— Lubiliście ją?

— Bardzo — niezdecydowanie odparł Władek, bo lubiliśmy ją, by od niej wyłudzać to i owo.

— Prawda, dawaliście jej dużo orzechów i cukierków!

— Nie, proszę pani; ona je od nas wygrywała w palcatkę.

— Razem zjadałyśmy te orzechy i cukierki! — Dopiero teraz biedne, niejako osierocone matczysko rozpłakało się i łzy popłynęły obficie...

— Niemal przed samą śmiercią — mówiła, łkając — sama tu coś dla was zapakowała i kazała wam dać; zdaje się, książki. — I, wręczając nam pakuneczek, żegnała nas serdecznie jak swoje dzieci; ucałowaliśmy ją w obie ręce.

W zawiniątku były rzeczywiście książki i — duża torebka kalafiorku, którego biedactwo nazbierało dla nas w ciągu wakacyj, by nas „skaptować" po wakacjach; dziecko bogate, ale samotne, szukało towarzystwa innych dzieci, choćby takich, jak my, łobuzów.

Dziwna jest dusza dziecka; było nam bardzo smutno i nic nas nie cieszyło, nawet duża ilość materjału wybuchowego. Zdawało się nam, że wypadałoby wyrzucić go, — ale to byłoby głupio; dać komu? głupiej; strzelać zaraz? najgłupiej. Najmądrzej, to schować na jakiś odległy czas, gdy smutek minie; i minął za... dzień, a nowe klucze były w robocie, zaś pan Władysław, wstając od kopyta, przez okno czule wyzgrzytał pod naszym adresem znaną już czytelnikowi pochwałę:

— Zdrowe chłopcy... i t. d.

Raz była słota. Pani gospodyni, żona p. Władysława, radziła nam, byśmy poszli do kina.

— Dziś kino nie gra — odparłem — ale będziemy czytać.

— Aha! Władek, a myśmy nie przeczytali tych książek, co nam Zosia dała przed wakacjami; mówiła, że ładne, choć smutne.

— Szukajmy!

Znalazły się. Władek zaczął czytać, nucąc, jak zwykle, coś pod nosem; ja też otworzyłem tomik na „chybił trafił" i zobaczyłem tytuł: Organista z Ponikły. Niech będzie to. Zacząłem czytać, wtórując Władkowi gwizdaniem. Ale po chwili wszystko ucichło. Władek czytał „Janka muzykanta". Oczy nam się paliły do liter i zdań; jakie to ładne: ten organista i to nabożeństwo i organy, — to prawie tak, jak u nas w wiejskim kościółku. Śliczne. Spojrzę na Władka; a jemu jakoś dziwnie broda się trzęsie i chusteczką coś potajemnie manipuluje niby koło nosa, a koło oczu.. Czytam dalej, ale za chwilę i ja rozpoczynam manipulacje z chusteczką.. Losy bohaterów sienkiewiczowskich nowel podziałały na nasze łobuzowskie, ale niezepsute serca... Zamieniliśmy prędko książki, Władek czytał „Organistę", ja „Janka". I znowu manipulacje z chusteczkami, tylko mniej ukrywane.

— Jakie to ładne! — zauważył kolega.

— Ale jakie smutne! — dorzuciłem; — „Zosia" mówiła prawdę.

Potem czytaliśmy wiele, prawie nie brojąc; spoważnieliśmy.

W pośmiertnym podarunku naszej sąsiadki było parę oderwanych tomów trylogji; z nich zrozumieliśmy, że Sienkiewicz istotnie budzi ducha narodu, bo i kaflarz po ich przeczytaniu inaczej się wyrażał o Polsce.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, więc z radością i niecierpliwością wyglądaliśmy dnia, kiedy rodzice powitają nas na progu domu rodzinnego, a sąsiedzi powiedzą: „było trochę spokoju bez niego, ale znowu go przyniosło"...

Nareszcie!

Ojciec Władka przyjechał sankami i zabrał nas obydwóch. Jeszcze w mieście robił sprawunki, ale prędko, bo zanosi się to na tęgą zawieruchę śnieżną, my zaś w torbach układaliśmy ozdoby na drzewko. Potem jazda!



Po mnie miał ktoś z domu wyjść na drogę, bo ojciec Władka miał jechać na prawo, ja zaś przez pola miałem do domu jeszcze kilometr. Ale na drodze nie było nikogo; widocznie przypuszczano, że to jeszcze trochę za wcześnie wychodzić po mnie. Pożegnałem Władka i jego ojca i walę przez pola do domu. Śnieg był wielki, mróz tęgi, wiatr strasznie się gdzieś spieszy, więc zgrzany i zmęczony usiadłem za wielką wierzbą, by chwilkę odpocząć. Do domu miałem jeszcze jakie dwieście metrów. Zaczynało się ściemniać, a mnie począł ogarniać sen, ale jakiś dziwny, bom widział ośnieżone pola i czułem mróz, ale nie wiedziałem dokładnie, kim jestem;

zdawało mi się, że jestem organistą — i to z Ponikły. Ale on miał obój, a ja gdzie go mam? A co to obój? Jak ja mogę być organistą, skoro on zamarzł? Więc kto ja jestem? Aha! Jestem Staszek-lew (nazwa nadana mi przez kolegów) z czwartej, ale w mieście! Naraz przypomniało mi się, co myślał organista przed śmiercią: „bylem nie zasnął, to i nie zmarznę”... Boże! Toż czuję na sobie, mimo zimy, że mrówki mię oblazły i jakieś dziwaczne ciepło chodzi po mnie..., znak zbliżania się mroźnej śmierci. Boże! ratuj! Ostatkiem sił odpędzam sen, dźwigam się z trudem, ale — przewróciłem się twarzą na śnieg; to mnie otrzeźwiło zupełnie. Dźwignąłem się, wziąłem torbę; widzę dym z naszego komina... idę... Byłem uratowany!

Władek zginął pod Lwowem, kaflarz tamże za cenę kalectwa zdobył „Virtuti”, — ja... szkoda atramentu.



Recepty dla szczęśliwego pożycia domowego.

Dla niego:

1. Nie wolno ci przewidzieć, jeśli żona dla ciebie chce być powabną.

2. Nie rozpędzaj przyjemności domowych przez nieporządek lub przez zbyteczny porządek.

3. Nie mów wyłącznie tylko o twych interesach.

4. Nie każ żonie pokutować za zły chumor, któregoś się nabawił przy wypełnianiu zawodu.

5. Nie myśl, iż jako mąż możesz się pozbyć względem żony grzeczności kawalerskiej.

X. JAN GÓRECKI.

Krzysztof Arciszewski.

Pierwsza połowa siedmnastego wieku dziwnie obfitowała w zdarzenia wojenne zarówno w Europie, jak i na całym świecie. Spory religijne, dynastyczne, narodowościowe i kolonjalne na kilkadziesiąt lat pogrążyły świat w krwawą zawieruchę, w krórej ginęły państwa i trony, walił się stary porządek rzeczy, zmieniała się mapa świata i Europy.

Z tłumu walczących wyrastały co jakiś czas nazwiska wodzów i głośniejszych awanturników, którzy umieli dla siebie zdobyć podziw i cześć powszechną już to dla swoich talentów, waleczności, czy też szczęścia. A niełatwo było zabłysnąć i zwrócić na siebie uwagę, bo w rycerskiej epoce, rycerskich porywów nie brakło i trzeba było dokonać wielkich rzeczy, aby wybić się ponad przeciętność.

Na tle tych czasów wojennych i wojennych ludzi jaśnieje pełnią sławy bojowej, głośne na obie półkule nazwisko Imci Pana Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego, wodza i admirała wojsk holenderskich, który swoją odwagą i zręcznością przysporzył Holendrom mnóstwo nabytków terytorjalnych, a świat cały napełnił sławą swoich zwycięstw.

Współcześni wiele o nich słyszeli, jedni z podziwem, inni z zawiścią. Pomnik na cześć jego wystawiony na wybrzeżach Brazylji w Pernambuco, medal na cześć jego wybity w r. 1637, wizerunek bohatera w zbiorze najgłośniejszych bohaterów owego czasu rozpowszechniany w r. 1637, nazwisko i herb jego umieszczane we wszystkich większych dziełach, wreszcie liczne wzmianki o nim w rocznikach, kronikach dowodzą, iż oczy i uwagę wielu skupiał na sobie ten na wielkopolskich niwach zrodzony polski szlachcic, a holenderski admirał.

„Uczyłem się rzemiosła rycerskiego tak, jakom mógł, a stąd służyłem wiernie, gdzie mi się trafiło“ — pisze o sobie p. Arciszewski w liście do króla Władysława i tem tłumaczy w swem własnem sumieniu, ten dziwny los, który go gnał w obce kraje, w obce szeregi i zmuszał go walczyć o sławę i honor obcych sztandarów. Ale były i inne okoliczności, które go rzuciły na szlaki świata i nie pozwoliły szukać fortuny i sławy w służbie Rzplitej Polskiej, która również wojennych mężów potrzebowała.

Urodził się dnia 6 grudnia 1592 we wsi Rogalinie. Ojciec jego Eljasz i matka Helena z Zakrzewskich byli arjanami i mieli dość znaczny majątek, który niestety niewczesne apostolstwo nowej religji i częste podróże pana Eljasza na zjazdy

i dysputy dość mocno nadszarpnęły, a gdy do tego przyłączyły się i niepomyśle spory procesowe ze znanym pieniaczem owych czasów p. Kasprem Brzeźnickim, ostatecznie osiadł p. Eljasz



Krzysztof Arciszewski z Arciszewa.

z trzema dorastającymi synami Krzysztofem, Eljaszem i Bogusławem na niewielkim kawałku ziemi obciążonej ponadto długiem na rzecz Brzeźnickiego. Synowie rychło poszli w świat o własnych siłach dorabiać się kawałka chleba. Eljasz i Krzysztof trafili na dwór księcia na Birżach i Dubinkach Krzysztofa II Radziwiłła podówczas hetmana polnego buławy litewskiej.

Krzysztof, jako kawaler fantazji ognistej, a przytem zdeterminowany na wszystko, rychło zwrócił na siebie oko hetmańskie i spełniał różne funkcje rycerskie i poufne. Z natury żołnierz karny i wierny, przywiązał się do osoby Birżańskiego księcia i służył mu tak jak własnemu królowi. Bił się mężnie we wszystkich bitwach potrzeby inflanckiej pod Rygą, Kofhauzen, Miławą i in., uczestniczył przy zawarciu rozejmu pomiędzy hetmanem a królem Gustawem Adolfem i przy rozmowie ich bezpośredniej, w której to ks. Radziwiłł odmówił Gustawowi tytułu królewskiego.

Po tym rozejmie brał udział w wyprawie króla Zygmunta pod Puck, gdzie w r. 1622 dziwną sztuką obwarował umocniony obóz wojenny polski, którego ślady do niedawna jeszcze trwały.

W r. 1623 nastąpił w życiu Pana Krzysztofa gwałtowny przełom, który zwichnął jego karjerę w służbie hetmańskiej, a naszego bohatera rzucił na burzliwe losy żołnierza bez ojczyzny na właściwe pole przyszłej jego wielkości i sławy.

16 kwietnia 1623 nastąpił straszny epilog długoletnich spraw z Brzeźnickim, gdy tenże wracając z sejmiku wojewódzkiego przez braci Arciszewskich zbrojnie napadnięty i okrutnie zamordowany został.

Zapewne żal za utraconą ojcowizną i nienawiść do człowieka, który jak zmora nieszczęścia i upokorzeń zawisł nad całym ich domem, popchnęły go do tego strasznego czynu. Jakie były tego bezpośrednie pobudki — trudno dziś ustalić, ale można wymiarkować. Oto p. Krzysztof po kilku latach wojny i chwały rycerskiej wróciwszy do domu, znalazł ojca znękanego, a matkę we łzach. Z dawnej fortuny — nędzne ubóstwo, a przytem nazwisko Brzeźnickiego, jako przyczynę tych nieszczęść. Może przypadkowe spotkanie, szyderstwo niewczesne, urągliwy wzrok spowodowały tę scenę. Determinacji ryzykanckiej p. Krzysztofowi nie brakło, liczne dał tego dowody, i tu przejawiła się jego natura ognista a przytem fantastyczna i poetycko-marzycielska, gdy po latach wielu na wspomnienie tej zbrodni rymami śpiewa swoje poenitencje i nie tyle troska się o karę i następstwa tej zbrodni, jak raczej o to, co potomni powiedzą.

W liście pożegnalnym do rodziców błaga: Nie zapomnijcie exprimować, dlaczego do tej rezolucji doszło. — Uważał się za mściciela krzywd ojcowskich, ale nie myślał o zbrodni, gdyż jak sam pisze, stało się wbrew myśli i chęci a wspomnienie o tem wieczną zgryzotą napełniło jego duszę i serce.

Wyrokiem pozaocznym skazany na wieczystą infamję i banicję — w listopadzie r. 1623 opuścił p. Krzysztof ojczyznę

z silną wiarą, iż wróci jeszcze do niej w pełnym blasku sławą okrytego imienia. Nie zaniedbał przytem i prób przejednania rodziny zamordowanego, ale próby te spełzły na niczem. W r. 1624 w marcu stanął p. Arciszewski w Holandji, gdzie właśnie po dwunastoletnim rozejmie zawrzała wojna z Hiszpanją i wódz hiszpański Spinola rozpoczął oblężenie twierdz bronionych przez ks. Maurycego, hr. Mansfelda i innych książąt protestanckich.

Przez pewien czas p. Krzysztof nie mógł jakoś znaleźć oparcia i stosunków, służył dalej swemu hetmanowi, posyłając mu ciekawe a trafne relacje z tego, co widział i co się na świecie działo. A p. Krzysztof był dobrym politykiem i widział wiele i umiał patrzeć na rzeczy. — Ale nie o tem marzył, pociągały go laury wojenne — chciał być żołnierzem i wodzem i już we wrześniu 1624 widzimy go w armji ks. Maurycego pod Bredą, który oblęgał Spinola. W tymże czasie pisał do ks. Radziwiłła radosne wieści o triumfach Holendrów nie przeczuwając zapewne, że już niebawem jego osobiste triumfy Holendrzy święcić będą. Tymczasem uczył się inżynierji wojennej i zachwycał się cudnemi armatami, cudnemi fortyfikacjami obozów i prosi ks. Radziwiłła, by się wstawił do gen. holenderskiego pana De Ressel, by mu pozwolił zbadać wszystkie tajniki urządzeń i sztuki wojennej holenderskiej. Czy wstawiennictwo księcia było skuteczne, nie wiemy, ale to pewna, że p. Krzysztof nie przestawał uczyć się i badać.

Rok 1625 spędza jeszcze w Holandji, gdzie patrząc na niepowodzenia Holendrów, nie może ukryć słów ostrej krytyki, iż ci ludzie najmniejszej odwagi czynić nie chcą i nigdzie nie następują, jeno gdzie oczywista wygrana się jawi.

Do r. 1628 przeplatał p. Arciszewski życie wojenne dyplomacją i polityką, wytrwale służąc ks. Radziwiłłowi przeciwko polityce austrjackiej króla Zygmunta III, w tym czasie miał nawet nieszczęście narazić się królowi i zasłużyć na jego osobistą niełaskę. W r. 1628 bierze udział w oblęganiu Roszelli i wówczas już tak zasłynął odwagą i talentem wojskowym, że mu ofiarowano kilkakrotnie i to z różnych stron dowództwa; chciał go przeciągnąć na swoją stronę cesarz niemiecki przez gen. Altringen, proponując mu dowództwo w wyprawie włoskiej, ofiarowywano mu i dowództwo artylerji w armji Wallenstaina, gdzie przez łaskę cesarską i łaski króla Polskiego mógł być pewien. Ale te wszystkie propozycje z żalem i ze łzami odrzucał, nie chcąc sprzeniewierzać się raz powziętym wobec Rzplitej holenderskiej zobowiązaniom. — Aż wreszcie radcy amsterdamscy zwrócili oko na naszego bohatera, prosząc go,

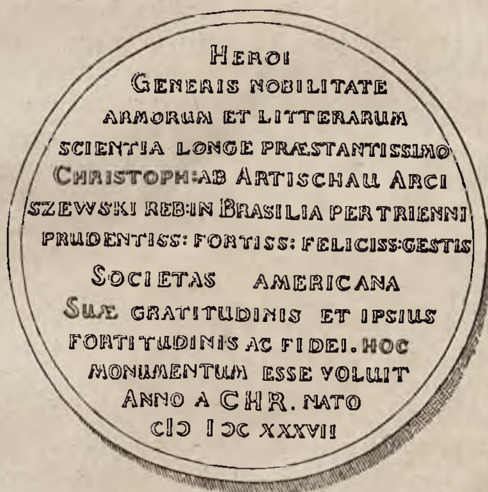
aby przyjął udział w wyprawie zamorskiej do Indyj zachodnich, gdzie od wielu lat toczyły się ciężkie zapasy pomiędzy Holandją a Hiszpanją.

Dnia 26. XI. 1629 r. napisał list pożegnalny do ks. Radziwiłła, pojechał na morza dalekie i nieznane w pogoni za sławą, która już wkrótce imię Jego uczyniła głośnem na świecie.



Medal wybity na cześć K. Arciszewskiego.

Dnia 13. II. 1630 przybiła flota holenderska i w jej szeregach i p. Krzysztof do wybrzeża Fernambuco i skierowała swą załogę do zdobycia silnej warowni Olindy. Holendrom w tym czasie wojna źle szła. Po szeregu klęsk i utracie prawie wszystkich warowni w Brazylji, należało koniecznie ożywić ducha armji i mieszkańców jakimś znaczniejszym sukcesem. Zdobycie Olindy poszło prawie całkowicie według planów zaproponowanych przez Arciszewskiego, który tam okazał swój talent i dzielność. Brał następnie udział w zdobyciu portów St. Jorg i S. Francisco i według własnych planów zbudował i umacniał nową fortalicję Orange, którą osadził garnizonem i artylerją pod własnem dowództwem.



Odwrotna strona medalu.

Pośród tych czynów wojennych p. Krzysztof przepojony s awą nie tracił z pamięci strasznego czynu, który ciężarem

i zgryzotą nieznośną dręczył jego sumienie. Ulgi szukał w elegjach t. zw. poenitencjach, które pisał wierszem.

Był to prawdziwy lament duszy, którą chwilowe zaślepienie pchnęło do zbrodni, duszy żałującej i szczerze skruszonej.

„Nie obliczaj się ze mną. Znam swój grzech przed Tobą
Wiem, żem na karb włożony głównik już przed Tobą
A iż nie uciec przed Twym gniewem przeraźliwym
I przed obliczem Twojem nie skryć się straszliwym
Nielza indziej, krom Ciebie... Do Ciebie ja wznoszę
Serce. Jam zły, Tyś dobry, daj mi ucha, proszę.
Niech mię dobroć Twa z ciężkich grzechów mych wyzwoli
Twojej ku Panie czci i Twej chwale g'woli
Raczyłeś przyjąć żal mój i ziścić żeś pewny
Przyjmże, o Królu wieczny, i ten płacz mój rzewny".

W r. 1633 po chwilowym pobycie w Europie wraca znów do Brazylji wraz z gen. Schkoppe, sprawuje naczelne dowództwo nad armją i nad flotą i z częścią sił holenderskich zdobywa fort Arrayal, gdzie dla swej niezłomnej waleczności stał się podziwem obu armij. Zdobywa następnie fortece Nazareth i Pesto Calvo i wówczas to właśnie za swe zasługi zostaje uczczony wspaniałym pomnikiem w Pernambuco. W dalszych bitwach rozbija i niszczy główne siły hiszpańskie i triumfuje jako szczęśliwy wódz i dobry administrator, zdobywając dla Holendrów cały szereg prowincyj rozległych.

Podczas gdy Pan Krzysztof na drugiej półkuli zdobywał sławę wojenną — zarazem i brat jego Eljasz w kraju pracował nad uświetnieniem nazwiska rodowego. Jako pułkownik walczył pod Smoleńskiem, pod Sasowym Rogiem, wreszcie powołany na północ organizował flotę do wyprawy wojennej przeciw Szwedom. Jużto panom Arciszewskim nie zbywało na męstwie i zręczności i obaj czuli pociąg do marynarki i inżynierji wojennej, głośno też było o nich w kraju i za granicą.

To sprawiło, iż w r. 1633 i 1637 po raz drugi zwrócił król oko na p. Krzysztofa i pożałował, iż mąż tak bitny i zdolny służy za obcy żołd. W tychże latach specjalnem pismem wzywał go król, by przybył do kraju objąć dowództwo artylerji koronnej, którą król znacznie pomnożył i wydoskonalił i pragnął pozyskać dla niej tak głośnego męża. Na pierwsze wezwanie p. Arciszewski odpowiedział odmownie, gdyż obowiązki służby stanęły na przeszkodzie, drugiego wezwania chętnie usłuchał i z zamiarem powrotu do Ojczyzny wsiadł na okręt i w r. 1637 przyjechał do Amsterdamu.

Przyjazd jego był prawdziwym triumfem zwycięzcy. Spotykały go tłumne owacje, lud się cisnął, by ujrzeć choćby zdala wspaniałego wodza, który acz obcy duchem i krwią, krajowi tyle przysporzył chwały, jako mężny i prawy żołnierz Pisały o nim wszystkie gazety kontynentalne, wizerunki jego umieszczane były w najozdobniejszych wydawnictwach. Uczczony złotym pamiątkowym łańcuchem i wybitym na swoją cześć medalem, nie mniej trwał jednak w zamiarze powrotu do służby ojczystej. Niestety sprawy religijne i niechęć ku arjanom unicestwiły ten zamiar. Arciszewski był arjaninem z przekonania i nie chciał wracać do kraju, gdzie religja jego była prześladowana.

Na wieść, iż Arciszewski do kraju nie wraca, zewsząd zakrzątnięto się żywo osobą tak znacznego bohatera — zwrócił na niego oko i Richelieu i inni, gdy niespodziewanie złe wieści z Brazylji w najwyższym stopniu spotęgowały w Holendrach popędliwość zatrzymania w swej służbie tak wielkiego wodza.

Bo w rzeczy samej po odjeździe Arciszewskiego nieudolność wodzów i zła gospodarka hr. Maurycego de Nassau, przyprawiły Holendrów o szereg klęsk i niepowodzeń strategicznych i politycznych. Uproszono znowu Arciszewskiego, aby przyjął dowództwo sił lądowych i morskich i tym razem dnia 18. VIII. 1638 mianowany jenerałem artylerji i admirałem sił morskich i świetnie uposażony wyjechał na nowe boje do Brazylji.

Otwierała się przed nim świetna przyszłość, stał się bohaterem narodowym, najwyższe godności stały przed nim otworem, ale te wszystkie godności i uznania spowodowały zarazem i zawistną reakcję pewnej części Holendrów, którzy nie mogli znieść tej popularności cudzoziemca.

Rozpoczęto przeciwko niemu kampanję, zawistni wodzowie, których błędy przyjechał poprawiać do Brazylji, zjednoczyli swoje wysiłki, a gdy przytem p. Arciszewski zwrócił uwagę na nadużycia i liczne przestępstwa pewnych osób wpływowych, aż do najwyższych radców włącznie, poczęto się go bać i nienawidzieć. Gwałtowny spór z hr. Maurycym de Nassau, krewnym potężnych stathuderów Holandji, zadecydował o dalszej karjerze jego. Oczerniony i oskarżony o ambicję, o dążenie do władzy, nieposłuszeństwa i intrygi, i zniechęcony tem ostatecznie rzucił wreszcie służbę holenderską i na usilne nalegania króla Władysława i ks. Radziwiłła wrócił w r. 1645 do kraju.

28. IV. 1646 złożył przysięgę wierności i tegoż dnia objął dowództwo artylerji koronnej.

Lata służby jego w armji polskiej przypadły na okres najsroższych walk ze zbuntowanem kozactwem. Był w obronie Lwowa, walczył pod Zborowem, był zawsze zwolennikiem zdecydowanej walki i złamania buntu kozackiego. Haniebny traktat zborowski zniechęcił go ostatecznie do służby wojskowej. W r. 1649 oddał swój urząd w ręce p. Zygmunta Przyemskiego i znękany wiekiem i trudami zapragnął wreszcie odpoczynku. W czasie najazdu szwedzkiego, gdy jego doświadczenie bojowe i męstwo tak było potrzebne krajowi, p. Arciszewski dogorywał trapiony chorobą kilkuletnią, w r. 1656 pracowitego żywota dochował. — Dziwnym zbiegiem okoliczności ciało jego leżące na katafalku w Lesznie, podczas zdobycia tego miasta przez wojska polskie w pożodze bitewnej, wraz z całem miastem zgorzało na popiół, i jak popiół przeminęła sława jego i pamięć. Dziś imię jego częściej można zauważyć w historji i kronikach zagranicznych, niż polskich, stąd przez wielu uważany za scudzoziemczałego, lecz niesłusznie. Wichrem losu miotany na arenie świata dorabiał się zaszczytu i sławy, ale zawsze z myślą, że w ten aposób przysparza sławy i czci imieniowi polskiemu. Zaiste niepospolity to typ, żołnierz i wódz ceniony i sławny w całej Europie, bohater dwóch światów — polski admirał w służbie holenderskiej.

TEOFIL BERNARD_SYGA.

Hejnał.

Na cztery strony świata, ze czterech stron wieży
Z Marjackiego rozlega się hejnał kościoła —
To pieśń o Tobie, Marjo, przestworami bieży,
Aby Rzeczpospolitę opasać dokoła.

Dalekie, stare lasy zaszumią w odzewie,
Echem przywtórzą morza wieczystego chóry,
Skalny wiatr się rozkocha, rozpłacze w tym śpiewie,
Ośnieżonemi głowy pokłonią się góry —

— We wsiach Dobrą Nowinę zwiastuj urodzajem,
Po miastach — odejm pracy ciężkich przekleństw brzemię,
Mlekiem, manną i miodem płyń nad całym krajem!

— Gdy zaś zwątpieniem stoczon upadnę na ziemię,
Gdy czerw rozpocznie toczyć me serce nanowo,
Ty mi śpiewaj swój hejnał — Anielska Królowo!

JAN KORYBUT DASZKIEWICZ.

Wspomnienia historyczne o Szkaplerzu Karmelitańskim.

Dnia 16 lipca przypada pamiątka ukazania się Matki Boskiej i ustanowienia przez Nią Karmelitańskiego Szkaplerza.

Niezwykłe to zdarzenie wywołało skutki pierwszorzędnego znaczenia, nietylko dla karmelitów, ale dla całego Kościoła, od owego czasu, z wieku w wiek przechodzące aż do dni naszych. Uczczenie więc Niepokalanej historycznem wspomnieniem jest wprawdzie bardzo maluczkim, ale koniecznym wyrazem wdzięczności za łaski Boże i teraz obficie upraszane przez Zakon karmelitów i karmelitanek.



Jan Fokas w opisie swej podróży do Palestyny (1185 r.), wspominając o grocie Eljasza opowiada: „*Kilkanaście lat temu pewien mnich kalabryjski, wiekiem i siwizną poważany, ujrzawszy w objawieniu Eljasza proroka, przybył do tej groty, małym okopem otoczył to miejsce, tamże zbudował wieżę i mały kościółek i osiadł z dziesięcioma mnichami*". Owym mnichem był Berthold (29 marca jego św.), Francuz rodem z Limoge, paryski doktór teologji, należący do krzyżowej wyprawy. Podczas boju gorąco błagał Boga o zwycięstwo dla chrześcijan, ślubując w razie wygranej poświęcić się zakonnemu życiu. Do tego zakonu przyłączali się i często wstępywali, żyjący tam od wieków pustelnicy, chrześcijańscy potomkowie starożytnych — sięgający czasów Eljasza — esseńczyków. Za następcy Bertholda, Brokada otrzymali (1209) od Alberta patrjarchy jerozolimskiego — krótką i prostą regułę życia pustelniczego, w 18 artykułach, która została zatwierdzona

przez Honorjusza III (3 stycz. 1226). Po roku 1229 poczęły wzrastać osady zaborczych egipskich Saracenów (dzięki polityce cesarza Fryderyka III i zawartej przezeń dwuznacznej umowy z Sułtanem egipskim). Wtedy zakonnicy na górze Karmel utracili swój klasztor. Za radą Alana, piątego z rzędu swego zwierzchnika, wyemigrowali na wyspę Cypr, gdzie jedni w 1238 r. założyli klasztor, inni przenieśli się do Mesyny na Sycylji, do Prowancji i do Anglji. Tu w klasztorze, w Aylesford odprawili pierwszą kapitułę (1245) pod szóstym swym jeneralnym przełożonym na zachodzie, Szymonem Stockiem. Święty ten wstąpił do karmelitów w późnym wieku. Z woli przełożonych w 50 roku życia rozpoczął teologiczne studja w Oxfordzie, skąd wrócił ze stopniem doktora. W tym czasie zakon karmelitów, wskutek nieprzyjaznych okoliczności, jakoby chylił się ku upadkowi, nad czem bolejąc Szymon Stock, błagał gorąco Najświętszej Panny, by mu okazała znak widomy Swej opieki, któryby służył za tarczę przeciwko wszystkim, coby się nań targnąć mieli. 16 lipca 1251 r. objawiła mu się Najśw. Panna Marja otoczona orszakiem niebian i, trzymając w ręku szkaplerz, rzekła: „*Przyjm, mój synu, ten Szkaplerz jako znamię mojego bractwa, będzie on dla ciebie i wszystkich synów Karmelu doskonałym przywilejem; a kto umrze, mając ten szkaplerz na sobie, nie dozna nigdy ognia wiekuistego; to jest znamię zbawienia, tarcza w niebezpieczeństwach i zakład przymierza wiecznego*".

Uczony papież Benedyk XIV powiada w swojem piśmie: (De D. N. Jesu Christi Matrisque ejus festi, II, w 76) „iż chętnie wierzy, że objawienie było prawdziwe i że każdy wierzyć w nie powinien".

Zresztą, jak we wszystkich objawieniach okazuje Bóg szczególne łaski i cuda, tak i Szkaplerz Karmelitański potwierdził wielkiemi cudami. Bardzo głośny swego czasu stał się cud w bitwie pod Montpelier 1621 r. Pobożna matka z rycerskiego domu Beauregard'ów, wdowa, wyprawiając na wojnę swego ukochanego jedynaka, włożyła nań szkaplerz, mówiąc: „*Nikt cię tam już, moje dziecię, nie będzie bronił, polecam cię więc troskliwości Matki Bożej, niech cię ten jej pancerz broni*"... Zapłakała rzewnie matka, zapłakał i syn wzruszony, że wraz z szkaplerzem brał na drogę jej błogosławieństwo... i pojechał na wojnę, tem zawziętszą, że domową, że fanatyzmem religijnym podsycaną. W ostatnim ataku u wyłomu twierdzy padł pod nim koń, i on sam upadł trafiony w pierś kulą, a gdy się opamiętał i począł szukać rany, zamiast niej znalazł rozpłaszczoną kulę, która się o szkaplerz odbiła. Tegoż wieczora w namiocie królewskim król Ludwik, wszyscy najpierwsi wodzowie i rycerze, klęcząc w zbrojach przyjęli szkaplerz od kapłana.

Najoczywistszym atoli dowodem pewności objawienia się Matki Boskiej i łask przywiązanych do jej sukienki, jest przedewszystkiem ten fakt, że zakon karmelicki bardzo zachwiany, po przyjęciu szkaplerza, wzmógł się, wzrósł i począł się znacznie rozszerzać. Już za życia Szymona Stocka rozszerzył się we Włoszech (Apulja), we Francji (Narbona) i (Ekwitanja), wreszcie przeszedł z Angji do Szkocji i Irlandji. Święty Ludwik w 1259 r. nadał karmelitom klasztor w Paryżu, skąd następnie dostali się do Niemiec; na polskiej ziemi znaleźli się (w r. 1243) w miasteczku Jungstad pod Gdańskiem.

W siedemdziesiąt zaś lat po objawieniu się Szymonowi Stock Szkaplerz Karmelitański zyskał nowy przywilej zwany „Sabatyńskim", wedle którego, władza kluczów, najwyższego pasterza Kościoła wojującego, sięgnęła niejako poza wrota grobu. Znaczenie pierwotnego objawienia się i sprawa niebieskiego jej znaku szkaplerza uzyskały większą moc i ustaliły pewność prawdy obietnic Marji. Już nie pustelnikowi, nie cenobicie zamkniętemu w celi, lecz naczelnikowi Kościoła, widomej jego głowie, papieżowi Janowi XXII objawiła się Najśw. Panna: „*Ja matka — powiedziała doń — zstąpię łaskawie po ich śmierci, a których znajdę w czyśćcu, co godnie nosili mój habit, i z miłości ku mnie wstąpili do mego zakonu, albo bractwa, albo stowarzyszenia, chwalebnie też żyli na tym świecie, wyzwolę ich z kar czyśćcowych, i wśród chwały powiodę ich na górę świętą życia wiecznego!*" (Bulla Sabatina 3. III. 1332).

Wziętość Szkaplerza przyczyniła się bardzo do rozpowszechnienia się zakonów karmelitańskich. W polsce też aż do kasaty przez zaborcze rządy znajdowała się pokaźna liczba zakonów „Braci N. P. Marji z góry Karmelu". I tak, w Małopolskiej prowincji (antiqua obserwancia) było 56 fundacyj (to znaczy klasztorów opartych na majątkach) i 17 rezydencyj (klasztorów bez majątków) i 23 fundacje z 24 rezydencjami obserwantów (Stricte) prowincji wielkopolskiej, czyli Przenajśw. Sakramentu, inaczej belgami zwanych, oraz dwa klasztory karmelitanek trzewiczkowych i siedem bosych. Z przyczyny ostrego klimatu niektórych krajów złagodzili papieże pierwotną surowość przepisu reguły. Stąd są dwa typy tego zakonu trzewiczkowych i bosych. Przez generała Soret około 1452 został założony zakon karmelitanek, zatwierdzony przez Mikołaja V, a wydał on wielkie święte i największą między niemi świętą Teresę († 1582), która z małego klasztoru z Avilla przyczyniła się do ściślejszych reform zakonu; w tej dziejowej chwili gdy herezje Lutra i Kalwina obalały ołtarze. W naszych czasach wkrótce po swojej śmierci zasłynęła szeroko cudami i łaskami od Boga św. Mała Teresa od Dzieciątka Jezus, karmelitanka

z Lisieux w północnej Francji. Dla wielu cudów niedługo po śmierci została kanonizowaną jako święta.

Niezwykle ciekawą jest historja karmelitańskiej fundacji w Poznaniu, założonej przez króla Władysława Jagiełłę, którą poprzedził i wywołał następujący wypadek: Kahał żydowski, namowami i zapłatą skłonił chrześcijankę Krystynę, biedną służącą, do wykradzenia Hostji św. Ta po nabożeństwie 15 sierpnia 1399 r., zakradła się do kościoła dominikańskiego i porwała trzy komunikanty, które żydom tegoż dnia doręczyła. W domu Świdwińskich czyli Świdwów, na ulicy żydowskiej, żydzi w piwnicy śwąte partycje kłuli nożami a krew płynęła obficie. O czem usłyszawszy żydówka ślepa od urodzenia przybyła tam i, modląc się do Boga chrześcijan, została wzrokiem obdarowana. Żydzi zaś cudem tym strwożeni usiłowali pozbyć się św. Hostyj i owinąwszy je w chusty, dali kilkum wyznaczonym z pośród siebie, do zakopania w bagnach za miastem. Kiedy spełniono rozkaz starszych, wtedy krew święta w piwnicy rozlana z Hostjami się przeniosła i inne po drodze cuda się działy. Hostje zakopane w błocie, wśród nadbrzeżnych bagien i trzęsawisk rzeki Warty, jednak wydostały się i wzniesione w górę zajaśniały nadwyczajnym blaskiem; zobaczył to syn pasterza Pawełek, którego ojciec zostawił na łąkach przy pasącem się bydełku, a sam udał się do kościoła, gdyż była niedziela (22 sierpnia). Wróciwszy w południe, gdy ujrzał syna i bydło klęczące i Hostje w powietrzu, zdziwiony cudem dał znać urzędowi miasta i duchowieństwu. Wnet zebrała się uroczysta procesja i z biskupem na czele poszła na łęgi. Tu po gorącej modlitwie ludu opuściły się Hostje na patenę, z którą zbliżył się ku Nim świątobliwy kapłan Jan Ryczywół. Złożone z czcią do kielicha przez biskupa Wojciecha Jastrzębca, zaniesione zostały do farnego kościoła św. Marji Magdaleny.

Uleczona cudownie z ślepoty żydówka nawróciła się i żydów wydała, ci po długim oporze wkońcu do wszystkiego przyznać się musieli: że zaś w swej zatwardziałości wzbraniali się przyjąć chrzest św., do słupów byli uwiązani i przez psy szarpani; ostatecznie, z niewiastą ową wspólniczką ich zbrodni, żywcem zostali spaleni; w liczbie ich rabin i trzynastu starszych kahału.

Dominikanie chcieli św. Hostje odebrać, katedra wszakże mieć je pragnęła, jako znalezione nad gruntem miejskim. Wśród sporu Hostje święte znikły i znów okazały się nad łęgami. Zrozumiano, że tu Bóg chce mieć kościół, zbudowano naprzód mały, w którym Hostje św. złożono.

Spełniając życzenia swej żony Jadwigi, król Władysław Jagiełło, w 1404 r. wystawił inny kościół z klasztorem i oddał karmelitom sprowadzonym z Niemiec. Później, bo 21 marca 1668,

przez króla Jana Kazimierza została im podarowana kamienica Swidwińskich, w której urządzili kaplicę. Stół dębowy, na którym Hostje kłuto, po 221 latach odkryty 20 sierpnia 1620 r. uroczyście przez Jana Glińskiego biskupa sufr. poznańskiego do kościoła karmelitów Bożego Ciała został przeniesiony. Części jego pomieszczone w ołtarzu na środku kościoła. W tymże kościele, przez cztery wieki przechowywano patenę, na którą Hostje święte opuściły się i kielich, do którego je biskupowi złożono; (jak to jest opisane w księdze p. t. Drogi Depozyt Ciała i Krwi Jezusowej. 1722 r.).

Cudowne Hostje, w małym korporale owinięte, przechowywano zrazu w puszce drogiemi kamieniami ozdobionej. Oglądali je w roku 1715 biskupi Szembekowie: Antoni biskup poznański i Krzysztof biskup chełmski; a w r. 1757 Józef Tadeusz Kierski Sufragan poznański z Marją Józefą królową polską żoną Augusta III. Będący wtedy w orszaku królowej wojewoda malborski Jakób Działyński, obiecał sprawić monstrancję „iżby Hostje przez szkło mogły być widziane". W tej monstrancji przez niego przysłanej, znajduje się okienko obejmujące trzy okręgi; w górnym znajdują się należycie opieczętowane szczątki owych trzech starych Hostyj (w pięciu dochowanych kawałkach), a w dwóch dolnych okręgach, na każde wystawienie Przenajświętszego Sakramentu umieszcza się oddzielne komunikanty świeżo konsekrowane. Cudowne Hostje dotąd są w tej monstrancji; historyk Bzowski wspomina o 330 cudach przez św. Hostje spełnionych. W dziełku zaś o kościele Bożego Ciała w Poznaniu pisze ks. Kanty Kowalski, iż na pamiątkę czynu swego i cudów św. Hostji w każdą setną rocznicę Bożego Ciała Żydzi obowiązani byli towarzyszyć kapłanowi niosącemu Przenajśw. Sakrament, w kajdanach i z nożami w rękach; od czego jednak już w 1699 wyłamywać się poczęli.

Nie wszystkie kościoły karmelitańskie w Polsce, a nawet poza Polską, były tak rozgłośne jak kościół w Poznaniu, ale prawie do wszystkich były przywiązane jakieś historyczne fakta, dowodzące, że ci zamknięci w ścisłej klauzurze mnisi-cenobici w religijnem życiu narodu znaczny mieli udział, że przodkowie nasi wierni rzymskiemu Kościołowi nie lekceważyli zbawienia; nie gardzili żadnemi środkami łaski Bożej. Jak gdzieindziej i u nas był trzeci zakon z ludzi żyjących w małżeństwie i liczne bractwa, do których nierzadko należeli znakomici ludzie. Szkaplerz Karmelitański w Kościele Bożym i dzisiaj jest tem, czem był od początku, tarczą Matki Boskiej i zapewnieniem jej szczególnej pomocy.

X. JAN GÓRECKI.

Obecny stan naszych Zakładów.

Towarzystwo „Powściągliwość i Praca“ zorganizowane zarazem jako Towarzystwo Zakonne pod wezwaniem św. Michała Archanioła, założone przez Ks. Bronisława Markiewicza od skromnych bardzo początków rozwinęło się dzisiaj do tego stopnia, że posiada w Polsce 7 Zakładów liczących razem około 850 wychowanków.

Są to domy: Miejsce Piastowe, woj. Lwowskie.

2) Pawlikowice, woj. Krakowskie, poczta Wieliczka.

3) Kraków, Zakład św. Józefa, Karmelicka 66.

4) Berteszów, woj. Lwowskie, poczta Bakowce, pow. Bóbrka.

5) Lwów, Zakład Powśc. i Praca, ul. Leona Sapiehy 79.

6) Dziatkowicze, woj. Nowogr., pow. Baranowicze, p. Połonka.

7) Warszawa Mokotów, ul. Puławska 97.

W tych wszystkich domach wychowuje się i kształci młodzież ubogą — sieroty i dzieci opuszczone — zupełnie pezpłatnie. Zależnie od możności i zaopatrzenia danego domu, uczą się w nich wychowankowie różnych rzemiosł i zawodów — zdolniejsi kończą nauki średnie.

Ale nie wszystkie domy mają odpowiednie urządzenia, zwłaszcza Zakłady ostatnio utworzone lub też przejęte jak n. p. Lwów — Warszawa Mokotów — nie mają ich zupełnie. Inne domy mają pewne tylko działy, tak że chłopcy, którzy sobie dowolnie wybierają zawód, w którym pragną się kształcić, przysyłani są do domów, w których są odpowiednie warsztaty. W ten sposób mają nasi, wychowankowie możność przechodzić z jednego domu do drugiego, jeśli ich wykształcenie tego wymaga.

Stan obecny Zakładów naszych przedstawia się następująco:

Dom główny w Miejscu Piastowem. Wychowanków wraz z personalem wychowawczym, nauczycielskim i pomocniczym około 250. Dyrektor Zakładu X. Stanisław Rymuza, prefekt domu br. Andrzej Gródek. W domu istnieją warsztaty: ślusarsko-mechaniczny i artystyczny, stolarski również zmechanizowany, itroligatorski galanteryjno-skórzany, drukarski, szewski, krawiecki i młyn. Ponadto chłopcy mają możność uczyć się rymarstwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa, muzyki i malarstwa.

Istnieje w Zakładzie i szkoła własna 7 klasowa powszechna, oraz 3 klasowa zawodowa o typie dokształcającym na prawach publiczności. Dyrektorem szkoły jest p. Henryk Borkowski dyplomowany dyrektor Szkół Zawodowych.

Możności techniczne są takie, że każdy wychowanek może ukończyć naukę szkolną i warsztatową bez żadnych trudności.

W warsztatach wychowankowie nasi ucząc się, zarazem pracują na swoje utrzymanie. Dlatego warunkiem egzystencji Zakładu jest, aby warsztaty nasze miały zawsze robotę i zamówienia. Gdy więcej roboty, w Zakładzie jest lepiej, gdy roboty niema, niejednokrotnie przychodzi odwołać się do ofiarności społeczeństwa. Obecnie zamówień prawie że niema, a co gorsza, dłużnicy zalegają na rzecz Zakładu z bardzo wielkiemi sumami. Wszystkie czynności' domowe — jak gotowanie, praca w polu, pieczenie chleba spełniają na zmianę starsi wychowankowie. I to jest dobrą szkołą życia, która każdemu bezwarunkowo przydać się może.

W domu istnieje sekcja teatralna, która w łączności z doskonałą orkiestrą pod kierownictwem p. Michała Daszyńskiego, doskonale wypełnia program różnych uroczystości domowych.

Po wybudowaniu nowego trzypiętrowego gmachu w r. 1931 wzięliśmy się do budowy kaplicy Zakładowej pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej. Budowę tej kaplicy umożliwiła nam fundacja ś. p. X. Franciszka Kołodzieja z Adams Mass, byłego ucznia i jednego z pierwszych współpracowników X. Bronisława Markiewicza, który wypełniając życzenie Założyciela, przed śmiercią swą w r. 1931 zapisał większą kwotę pieniędzy na budowę tej kaplicy. Kaplica ta, a właściwie dość pokaźnych rozmiarów kościół składa się z dwóch kondygnacyj. Niższa część to sala teatralna, wyższa zaś sama kaplica. Ostatnie budowy, a przytem i kryzys ekonomiczny, który w szczególnie przykry sposób dotknął cały Zakład, stały się powodem niezmiernie ciężkiej sytuacji finansowej, tak że komornik sądowy jest częstym gościem w Zakładzie.

Zakład w Pawlikowicach liczy około 150 wychowanków. Nie ma tak rozwiniętych warsztatów, a zatem mniej posiada źródeł dochodu, a o tyle jest w gorszem od innych domów położeniu, że utrzymuje nowicjat i gimnazjum dla potrzeb całego Towarzystwa. Tutaj zdolniejsi wychowankowie, którzy okażą powołanie kapłańskie i zakonne, kształcą się w naukach gimnazjalnych, by po skończeniu nowicjatu, kończyć studja na uniwersytecie, czy w Seminarjach duchownych.

Są tu warsztaty: ślusarski, stolarski, szewski i krawiecki, i o ile mogą szukają sobie odbiorców na swoje wyroby. Ale to idzie z wielkim trudem. W ostatnich latach Zakład Pawlikowicki zaprowadził u siebie instalację elektryczną, niezbędną dla potrzeb szkoły. Był to ciężar niezmierny dla szczupłych zasobów Zakładu, ale trudno było dalej psuć sobie oczy przy skąpem świetle naftowem. I w tym domu położenie jest bardzo ciężkie, a złagodzić je może tylko poparcie przez szlachetnych Rodaków.

Dyrektorem Zakładu obecnie jest X. Jan Latusek, prefektem X. Winc. Stachowski, dyrektorem naszego szkolnictwa X. Feliks Skrzypkowiak, a Mistrzem Nowicjatu X. Władysław Janowicz.

Pod względem życia towarzyskiego, nie ustępują Pawlikowice Miejscu Piastowemu. Mają również muzykę, teatr, chór, stowarzyszenia młodzieży i t. p.

Zakład w Berteszowie dotychczas nie może rozwinąć się należycie. Przyczyny tego są różne, a najważniejsza, że oparty jest głównie na gospodarstwie rolnem. Zwłaszcza na wschodzie dla gospodarstw rolnych obecnie jest niezmiernie przykra konjunktura. Ceny za zboże bardzo niskie, nie zwracają kosztów uprawy. Z trudem można opłacić podatki, dług hipoteczny i raty ubezpieczeniowe.

Nie ma miejsca na utrzymanie większej ilości wychowanków. W budynkach z trudem wielkim mieści się 20 mniejszych chłopców, a prócz tego jest tu jeden Ksiądz, brat dyrektor Zakładu, oraz dwie osoby personalu pomocniczego.

Zakład ma widoki rozwoju, ale po uporządkowaniu trudności rolniczych. Gdyby można wybudować jaki dom, gospodarstwo mogłoby bez trudu utrzymać stu wychowanków. W obecnym stanie cały dochód z roli idzie na podatki, długi, robociznę i na utrzymanie tych niewielu chłopców. Gdyby się nawet chciało ostatecznie jaki wagon ziemniaków posłać stąd do Miejsca Piastowego czy do Pawlikowic, to przewóz, uwzględniając przytem odległość do kolei i zły stan dróg, znacznie drożej wypadnie, niż ziemniaki kosztują. Trzeba je prawie za bezcen sprzedawać na miejscu. I to wszystko powoduje błędne koło trudności i kłopotów, z których niewiadomo kiedy się wyjdzie.

Zakład św. Józefa w Krakowie stanowi właściwie samoistną fundację oddaną na określony czas Towarzystwu św. Michała Archanioła. O tyle w lepszem jest położeniu od innych domów, że ma pewien szczupły wprawdzie, ale stały dochód na swe utrzymanie. Wychowanków liczy 70 wraz z personalem. Wszyscy chodzą do szkół w Krakowie. O ile któryś z wychowanków po ukończeniu szkoły zapragnie uczyć się jakiego rzemiosła, bywa wysyłany do innego z naszych domów, gdzie tę naukę pobierać może. Dyrektorem Zakładu jest X. Józef Machała.

Zakład w Dziatkowiczach fundacji hr. Heleny i Konstancji Jelskich podziela dzisiaj los wszystkich majątków kresowych zbytnio oddalonych od ośrodków przemysłowych i większych miast. Cała gospodarka rolna obliczona jest z konieczności tylko na przetrwanie. O dochodzie rzeczywistym mowy być nie może, wobec niesłychanie niskich cen za zboże, ciężarów robocizny i różnych świadczeń i podatków.

Wychowanków wraz z personalem jest 70. Dyrektorem jest X. Andrzej Andreasik. Utrzymanie tak znacznej bądź co bądź ilości wychowanków umożliwia obszerny dwór hr. Jelskich, oddany przez szlachetne mieszkające w nim dotychczas fundatorki w całości prawie na potrzeby Zakładu. Same fundatorki zajmują w nim jedynie dwa skromne pokoiki.

I tutaj warunki rozwoju są niewątpliwe, tylko niech do jakiejś normy wróci życie gospodarcze narodu, aby łatwiejszy był jakiś kredyt i umożliwiony zbyt płodów rolniczych po odpowiedniej cenie.

Zakład we Lwowie umożliwił zapis ś. p. Wawrzyńca i Katarzyny Matyskiewiczów. Przezacni Dobrodzieje pozostawili nam specjalnym aktem darowizny 3 kamienice czynszowe we Lwowie z poleceniem utworzenia tu Zakładu. Było to trudnem do uskutecznienia, a to z tego powodu, że wszystkie kamienice były zajęte przez lokatorów, których niepodobna było usunąć. Z trudem wielkim dało się opróżnić 1 piętro w kamienicy przy ul. Leona Sapiehy 79, gdzie w pięciu małych pokojach mieści się obecnie Zakład — liczący 19 osób wraz z personalem t. j. kierownikiem i jego asystentem.

Wychowankowie chodzą do szkół Lwowskich — starsi po ukończeniu szkoły powszechnej jadą do Miejsca Piastowego do nauki warsztatowej. Obecnie kierownikiem Zakładu jest br. Stefan Kot. Środki Zakładu są bardzo szczupłe, gdyż czynsze z kamienic wpływają w sposób bardzo kryzysowy, a podatki i ciężary są bardzo wielkie. Zakład ponadto w początkach swoich, w stanie tworzenia się ma ogromne potrzeby na wyekwipowanie się w niezbędny sprzęt i urządzenia.

Zakład w Warszawie na Mokotowie, objęty przez nas w lipcu 1932 r. również stanowi fundację im. hr. Pusłowskich. Jest jedna z najstarszych podobnych fundacyj na ziemiach Polskich, a może w Europie. Utworzona jeszcze za czasów Polski przedrozbiorowej za króla Stanisława Augusta, przetrwała czas zaborów i wszystkich burz dziejowych do czasów, kiedy idea X. Bronisława Markiewicza zdobyła sobie prawo uznania w wolnej Polsce. Znaczący to dla nas objaw, że w ten sposób przez instytucję, która życiem swojem przetrwała okres upadku i odrodzenia państwowości polskiej, nawiązujemy łączność między dawnemi a młodemi laty, a my Zgromadzenie polskie temu celowi oddane objęliśmy w zarząd ten dom, ten pierwszy na ziemiach polskich Zakład dla sierót i dzieci opuszczonych. Charakter fundacyjny zapewnia temu Zakładowi stały choć skromny dochód, tak że i ten dom pod tym względem ma mniejsze trudności, niż inne nasze Zakłady. — Wychowanków wraz z personalem jest w nim 80. Kierownikiem jest br. Jan Piotrzkowski.

Naogół wszystkie nasze Zakłady jako oparte poczęści na własnej zarobkowej pracy wychowanków i wychowawców przechodzą silny kryzys ekonomiczny i walczą z wielkim niedostatkiem. A nie mogą ograniczyć swej działalności do mniejszej ilości przyjętych wychowanków, ponieważ sierót i dzieci opuszczonych zgłasza się bardzo wiele, a nie można sobie wogóle wyobrazić możliwości nieprzyjęcia, gdy do Zakładu przed zimą zgłosi się sierota, który nie ma nikogo, ani dachu nad głową, ani kawałka chleba, ani cieplejszego ubrania na sobie. Względy oszczędności, niemożność wyżywienia i inne, nie mogą tu grać żadnej roli, rozstrzyga ten wzgląd jedynie, czy jest miejsce.

I to jest jedną z przyczyn biedy Zakładów naszych, bo żadne środki własną pracą zdobyte nie wystarczą nam na tyle, aby zaspokoić potrzeby, dla których nas Założyciel powołał do istnienia i działania. Ubogich zawsze mieć będziecie, mówi nasz Zbawiciel. Nie mamy też pretensji do tego, by własną działalnością zadość uczynić potrzebom i rozwiązać sprawę sierot i dzieci opuszczonych. Na to potrzeba pracy i środków całego społeczeństwa i to pracy ustawicznej, metodycznej obliczonej na całe doczesne trwanie ludzkości. My jedynie rzucamy program tej akcji a całem naszem staraniem jest zdobyć nie uznanie, ale zrozumienie.

Wiemy o tem dobrze, że ta praca będzie ciężka, przewidujemy, że mogą przyjść warunki, w których społeczeństwo jeszcze mniej będzie mogło nam pomóc. Wielu będzie takich, którzy powiedzą: Wszakże wy od 40 lat ciągle zdani jesteście na ofiarność, sami nie potraficie dotąd stanąć na własnych podstawach, tylko wciąż prośby, zbiórki, lista składek, — tak być nie może. To świadczy, że nie macie warunków egzystencji, nie macie racji bytu. — Cóż na to odpowiemy? Otóż odpowiemy, że inaczej być nie może. Bo nie było naszym celem stworzyć jeden dom w Polsce i tak go wyposażyć w środki utrzymania, aby mógł wyżywić i wychować 50 czy 100 wychowanków i wmawiać w siebie, że już dużo czynimy, a inni niech czynią więcej. Nawiasem mówiąc, Miejsce Piastowe już dawno na tym poziomie stoi i dziś w czasie kryzysu może utrzymać bardzo wygodnie — powiedzmy 75 wychowanków. Ale cóż to jest wobec potrzeb? Kropla w morzu. Dlatego gdy u nas są warunki na utrzymanie stu wychowanków, przyjmujemy 200 a marzymy wciąż o tem, aby przyjmować jak najwięcej. A w tym celu musimy ciągle się rozwijać, ciągle budować i wciąż tę ważną sprawę przypominać społeczeństwu.

Zagadnienie pomocy sierotom i dzieciom opuszczonym nie może być udziałem jednej organizacji i jednego Zakonu, ale

całego społeczeństwa polskiego i to nie tyle ze względu na środki, których społeczeństwo całe łatwiej może dostarczyć, ale i ze względu na doniosłość uświadomienia sobie tej kwestji i swoich wobec niej obowiązków.

Powinien bogaty dowiedzieć się o tem, że są biedne dzieci opuszczone, rzucone na pastwę losu, biedny powinien wiedzieć, że są biedniejsi od niego i każdy musi to sobie jasno uświadomić, że dzieci to przyszłość narodu, a dzieci wychowane w opuszczeniu i sieroctwie, to straszna groźba dla przyszłości. Naszym celem jest szerzyć ideę miłosierdzia społecznego opartego na zrozumieniu własnego interesu, jeśli ktoś do innych szlachetniejszych motywów nie jest zdolny.

Dlatego zawsze działać będziemy i musimy w oparciu o społeczeństwo, odwoływać się do ofiarności społeczeństwa tak długo, dopóki w każdym przynajmniej powiecie nie stanie jeden Zakład dla sierót, dający im utrzymanie i wychowanie wraz z nauką, dopóki będą w Polsce niezaopatrzone sieroty. A i wtedy będziemy te Zakłady polecać opiece i pamięci społeczeństwa, aby zapewnić im byt i trwałość.

MR. STANISŁAW SZWAJA
adwokat w Krośnie.

Kilka słów o Urzędach Rozjemczych.

Celem niniejszego artykułu jest oświetlenie kilku kwestyj prawnych, z któremi wieś spotyka się na każdym kroku, oraz udzielenie pewnych praktycznych wskazówek, jak należy załatwiać poruszone sprawy.

Codzienne doświadczenie, jakie daje obserwacja sali sądowej, uczy, że niepomyślny tok sprawy w wielu wypadkach spowodowany został brakiem elementarnych wiadomości o obowiązujących przepisach prawnych.

Byłoby rzeczą wielce pożądaną, ażeby ogół włościan zapoznał się w najogólniejszych zarysach z postanowieniami ustaw, regulujących życie prawne, jednak wyjaśnienie, nawet najważniejszych przepisów z tych dziedzin prawa, z któremi rolnik spotyka się najczęściej, nie da się ująć w ramy krótkiego artykułu. Wdzięczne to zadanie dla wiejskich organizacyj kulturalno-oświatowych, które przez urządzanie odczytów zawodowych prawników, mogłyby dużo zdziałać na tem polu. Dla braku więc miejsca przedewszystkiem poruszona zostanie tutaj ta sprawa, którą obecnie przeżywany kryzys ekonomiczny wysunął na pierwszy plan, sprawa przysłaniająca swoim ogromem inne również ważne rzeczy.

Przesilenie gospodarcze, dotykające w Polsce przedewszystkiem i najdotkliwiej warstwę rolniczą, doprowadziło warsztaty rolne niemal do zupełnej ruiny. Dochody gospodarstw wiejskich są obecnie tylko odległemi wspomnieniami czasów przedkryzysowych, bo obecnie wskutek zwichnięcia gospodarczej równowagi świata, praca na roli zaledwie wystarcza na zdobycie środków wyżywienia, nie pozwala natomiast na opędzenie dalszych najkonieczniejszych potrzeb. Teraz chłop nie ma zaco okryć się, nie ma środków, ażeby kupić soli i nafty i żyje z dnia na dzień w najokropniejszych warunkach, gnębiony w dodatku ustawiczną troską, że

brzemię długów zaciągniętych w czasach pomyślności gospodarczej, przeważnie na rozbudowę warsztatu rolnego i podniesienie uprawy roli, złamie go ostatecznie. Duże zadłużenie rolników wciąż się zwiększające o narastające procenta i koszta, ze względu na zupełny brak dochodów z roli, zagraża większości włościan możliwością utraty ziemi na pokrycie zobowiązań.

Wedle obliczeń Ministerstwa Rolnictwa zadłużenie drobnych rolników w Polsce wynosi około pół miljarda złotych (stosunki większej własności przedstawiają się również fatalnie).

Rząd rozumiejąc potrzebę utrzymania w interesie Państwa zdrowej i ekonomicznie silnej warstwy rolników, co nie da się osiągnąć inaczej, jak tylko drogą oddłużenia rolnictwa, wydał w ostatnich czasach cały szereg ustaw, które mają na celu ochronę rolnika przed zupełną ruiną. Ustawy te są zadatkiem lepszego jutra, albowiem dają możność przetrwania i usuwają grozę utraty ziemi-żywicielki.

Akcja Rządu zapoczątkowana została jeszcze przed rokiem wydaniem kilku ustaw, z których najważniejszą było Rozporządzenie Prezydenta R. P. z dnia 23 sierpnia 1932 o utworzeniu Urzędów Rozjemczych do spraw kredytowych małej własności rolnej. Po upływie kilku miesięcy okazało się, że ulgi przewidziane tą ustawą są niewystarczające i nie uratują sytuacji, wobec czego wydana została nowa ustawa z dnia 20 marca 1933 o utworzeniu urzędów rozjemczych dla spraw majątkowych posiadaczy gospodarstw wiejskich (Dziennik Ustaw R. P. Nr. 29, poz. 253), stwarzająca bardzo szeroką podstawę dla obrony rolnictwa przed skutkami kryzysu.

Omówienie postanowień tej sprawy wypełni treść niniejszego artykułu.

W każdem mieście powiatowem, przy powiatowym związku samorządowym, a więc u nas w Małopolsce przy Radach Powiatowych, powołano do życia powiatowe urzędy rozjemcze. Na czele urzędu stoi przewodniczący i jego zastępcy, mianowani, na wniosek powiatowego związku samorządowego, przez prezesa odnośnego sądu okręgowego, z pośród osób, mających, o ile możności, wykształcenie prawnicze. Prócz nich w skład urzędu rozjemczego wchodzą ławnicy mianowani tą samą drogą. Urząd Rozjemczy, w sprawach należących do niego, orzeka zawsze w składzie trzech członków, mianowicie przewodniczącego, lub jego zastępcy, oraz dwóch ławników, z których jeden pochodzi z koła rolników, zaś drugi z grona osób reprezentujących zawody handlowe i przemysłowe. Taki skład zespołów orzekających Urzędu Rozjemczego daje dostateczną gwarancję znajomości stosunków na wsi, co jest niezbędnym warunkiem trafności orzeczeń.

Urząd Rozjemczy działa na wniosek dłużnika, lub na wniosek wierzyciela, albo też na wspólny wniosek dłużnika i wierzyciela. Zarówno tedy dłużnik, jak i wierzyciel mogą żądać w pisemnem podaniu, ażeby Urząd Rozjemczy ustalił wysokość długu, względnie wierzytelności i określił sposób, oraz termin zapłaty, — stosownie do stosunków majątkowych dłużnika, jego możliwości gospodarczych i dochodowych.

Urząd Rozjemczy rozstrzyga sprawy majątkowe posiadaczy gospodarstw wiejskich, przez które ustawa rozumie gospodarstwa rolne, leśne, ogrodowe, hodowlane i rybne, zaś za posiadaczy tych gospodarstw ich właścicieli, użytników i dzierżawców (art. 2, ustawy). Dłużnik nie musi być zatem właścicielem gruntu, wystarcza bowiem zupełnie, jeżeli grunt posiada jako dzierżawca lub użytkownik (np. w wypadkach dożywocia, wymowy

i t. d.). Obszar posiadanego gruntu nie może przekraczać 100 hektarów, co równa się około 175 morgom, gdyż sprawy posiadaczy większych gospodarstw podlegają właściwości wojewódzkich urzędów rozjemczych.

Ustawa wymaga, ażeby sprawy majątkowe rolników, kierowane do Urzędu Rozjemczego, pozostawały w związku ekonomicznym z gospodarstwem wiejskiem. Różnie tłumaczono to postanowienie ustawy. Niektórzy uważali, że związek ekonomiczny zachodzi tylko wówczas, jeżeli dług był zaciągnięty na cele czysto gospodarcze, a więc na przykład w takich wypadkach, że zakupiono grunt, nie płacąc ceny kupna, nabyto na kredyt narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne i t.p., zaopatrzono rodzinę w ubranie, czy obuwie. Natomiast wedle tego poglądu związek ekonomiczny nie zachodzi tam, gdzie pretensje powstały n. p. z tytułu niezapłaconych kosztów procesowych, kupna towarów do sklepiku prowadzonego przez rolnika i t. d. Ostatecznie te wątpliwości, przynajmniej na terenie województwa lwowskiego, zostały nasunięte w ten sposób, że na zjeździe przewodniczących Urzędów Rozjemczych ustalono, iż, bez względu na sposób i tytuł powstania pretensji, zawsze istnieje związek ekonomiczny jeżeli pretensja musi być zaspokojona z dochodów gospodarstwa, a nie z innych źródeł. Przykładowo sprawa ta przedstawia się w ten sposób, że jeżeli, dajmy na to, rolnik posiadacz paromorgowego gospodarstwa jest równocześnie szewcem i winien kupcowi za skórę, a ma u siebie do sprzedania gotowe obuwie, wystarczające na zaspokojenie długu, to w razie prowadzenia przez tego kupca egzekucji przez sprzedaż gotowych butów, nie będzie się mógł skutecznie zwrócić do Urzędu Rozjemczego z żądaniem rozłożenia długu na raty, gdyby jednakże kupiec chciał uzyskać zaspokojenie przez sprzedaż gruntu, czy inwentarza, wówczas są warunki do rozłożenia długu na raty. Inny przykład: jakiś gospodarz trudnił się sprzedażą nawozów sztucznych, stracił na tym interesie i winien kupcowi kilkaset złotych — może się zwrócić do urzędu rozjemczego, gdy dług za nawozy sztuczne musi zapłacić z dochodów gospodarstwa, a nie może, jeśli na przykład pobiera procenta brutto z szybu stojącego na jego gruncie i te procenta wierzyciel zajął w firmie naftowej.

Urząd Rozjemczy ma prawo rozłożyć spłatę pretensji na okres siedmioletni, licząc od dnia wydania orzeczenia, a nawet w tych wypadkach, w których chodzi o zobowiązania z tytułu działów rodzinnych, względnie spadkowych, na okres dwunastoletni. Ze względu na szczególnie złe stosunki w rolnictwie w czasach obecnych Urząd Rozjemczy ma również prawo wstrzymać spłatę kapitału dłużnego na dwa lata od daty wydania orzeczenia, lub na okres krótszy, jeżeli uważa że w ten sposób pomoże dłużnikowi do uzdrowienia gospodarstwa. Dalszem ważnem uprawnieniem Urzędu Rozjemczego jest możność obniżenia procentów, umówionych przez strony, a nawet zasądzonych wyrokiem sądowym do wysokości 4 i ½ % w stosunku rocznym. Jeśli się weźmie pod uwagę, że odsetki ustawowe, to znaczy odsetki przyznawane przez Sądy, w takich wypadkach gdzie nie było wyraźnej umowy co do wysokości oprocentowania, wynoszą 10 % w stosunku rocznym, okazuje się, iż ulga jest daleko posunięta.

Jeżeli oprócz dłużnika odpowiadają za zapłatę długu także inne osoby, na przykład ręczyciele, lub ci, którzy podpisywali weksle, skuteczność orzeczenia Urzędu Rozjemczego rozciąga się z mocy prawa także na te inne osoby.

Specjalną ochronę stwarzają przepisy ustawy dla dzierżawców gruntów, którzy mogą żądać zmniejszenia czynszu dzierżawnego, gdy jest on nadmierny w stosunku do zmienionych warunków gospodarczych.

Obniżka czynszu dzierżawnego nastąpić może na okres dwuletni naprzód, licząc od daty wydania orzeczenia, a także dotyczyć może czynszu zaległego za okres 24 miesięcy wstecz od dnia wejścia w życie ustawy tj. od dnia 29 kwietnia 1933 r. Czynsz dzierżawny zaległy może być zatem zmniejszony za czas od dnia 1 maja 1931 r., przyczem spłata tego zaległego czynszu może być również rozłożona na raty. Dalszem uprawnieniem Urzędu Rozjemczego jest możność przedterminowego rozwiązania umowy dzierżawnej, — za odpowiedniem odszkodowaniem dla właściciela gruntu.

Ustawa czyni cały szereg wyjątków na rzecz różnych instytucyj, których pretensje nie mogą być przedmiotem postępowania przed Urzędami Rozjemczemi, czyli w odniesieniu do tych pretensyj rolnicy nie mogą uzyskać ulg, o których była wyżej mowa.

W szczególności wyłączone są wierzytelności: 1. Skarbu Państwa, 2. związków samorządu terytorjalnego, gospodarczego i zawodowego (Rady Powiatowe, Gminy, Izby Rolnicze i Rękodzielnicze), 3. Banku Polskiego, banków, przedsiębiorstw lub instytucyj państwowych lub komunalnych (a więc Banku Rolnego, Banku Gospodarstwa Krajowego itp.), 4. instytucyj kredytu długoterminowego, 5. przedsiębiorstw bankowych, 6. Centralnej Kasy Spółek Rolniczych w Warszawie, komunalnych kas oszczędności, Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie i Ukraińskiej Szczadnyci w Przemyślu, 7. gminnych kas pożyczkowo oszczędnościowych, 8. spółdzielni kredytowych, należących do związków rewizyjnych, których listę ustalają rozporządzenia Ministra Skarbu, 9. instytucyj ubezpieczeń społecznych (Kasy Chorych, Zakład Ubezpieczeń od wypadków), 10. zaległe wynagrodzenia służby domowej, rzemieślniczej i robotników, zatrudnionych w gospodarstwach wiejskich.

Wierzytelności nabyte przez jedną z instytucyj wymienionych pod 3 do 9 mogą być poddane orzecznictwu Urzędu Rozjemczego, jeżeli zostały nabyte przez daną instytucję po dniu 1 lipca 1932.

Dalsze wyłączenie dotyczy pretensyj powstałych z tytułu kupna na kredyt towarów po dniu 1 grudnia 1931, oraz z tytułu działów rodzinnych lub spadkowych, dokonanych po dniu 1 lipca 1932, i wreszcie z tytułu nowych zobowiązań zaciągniętych po tym terminie. Jeżeli zatem jakaś pożyczka została zaciągnięta w lipcu 1931, lub później, sprawa nie może już być wniesiona do Urzędu Rozjemczego.

Ostatnim wyjątkiem są długi zabezpieczone hipotecznie. Jeżeli więc rolnik zaciągając pożyczkę podpisał wierzycielowi skrypt dłużny i na zabezpieczenie zobowiązania ustanowił prawo zastawu (hipotekę) na swoim gruncie, nie może korzystać z przedstawionych tutaj ulg, gdyż do takich długów odnosi się inna ustawa o ulgach w zakresie oprocentowania i terminów spłaty wierzytelności hipotecznych, z dnia 29 marca 1933 Dziennik ustaw R. P. Nr. 25, poz. 213, która obniżyła procenty do wysokości 6 % w stosunku rocznym i odroczyła termin zapłaty takich długów do dnia 1 października 1934 r. Gdy jednak zachodzi taki wypadek, że wierzyciel hipoteczny wniósł już skargę o zapłatę i uzyskał wyrok, to w odniesieniu do kosztów i zaległych odsetek można prosić Urząd Rozjemczy o wydanie orzeczenia i rozłożenie tych kosztów oraz procentów na raty, gdyż kapitał i tak nie może być egzekucyjnie ściągany przed 1 października 1934 r.

Niezmiernie doniosłem i dla rolników bardzo korzystnem jest postanowienie ustawy, które zezwala Urzędom Rozjemczym badać na wniosek rolników, czy wierzyciele nie pobierali od kapitału nadmiernych procentów, lub innych korzyści majątkowych, na przykład w postaci robocizny,

zboża i t. d. Gdy zaś coś takiego miało miejsce po dniu 1 stycznia 1927 r. Urząd Rozjemczy ustali kwoty nadmiernie pobrane lub zarachowane i pretensję wierzyciela uzna w całości lub w części za umorzoną, zależnie od tego ile wierzyciel nieprawnie pobrał na poczet swej pretensji. Umorzenie takie nastąpić może także wówczas, gdy dług jest pokryty wekslami, bez względu na to czy te weksle znajdują się w pierwszych rękach, (n. p. osoby, która udzieliła dajmy na to pożyczki) czy też zostały puszczone w obieg i znajdują się w posiadaniu innych osób Poruszoną sprawę wyjaśni przykład, zaczerpnięty zresztą z praktyki Urzędu Rozjemczego. Rolnik zaciągnął pożyczkę w kwocie 100 zł, i dał na tę kwotę weksel. Długu nie spłacał tylko od czasu do czasu dawał wierzycielowi furmanki po towary. Wartość tych furmanek obliczona według normalnych cen we wsi płaconych przewyższała już nieco kwotę 100 zł. Wówczas wierzyciel, który udzielił pożyczki, sprzedał weksel, a jego nabywca wniósł skargę wekslową, uzyskując nakaz zapłaty. Urząd Rozjemczy na wniosek dłużnika umorzył pretensję w całości, gdyż wartość pobranych przez wierzyciela korzyści majątkowych w postaci furmanek pokryła w zupełności sumę pożyczkową.

W podobnych wypadkach tylko w takim razie Urząd Rozjemczy nie może przyjść rolnikowi z pomocą, jeśli w postępowaniu sądowem, czyli w procesie, dłużnik podniósł zarzut lichwy, a Sąd zarzutu tego nie uwzględnił.

Postępowanie przed Urzędem Rozjemczym, jak już wspomniano, toczy się na wniosek dłużnika albo wierzyciela. Jednym wnioskiem można objąć jednego, lub więcej wierzycieli, jedną lub więcej pretensyj. Bardzo często zdarza się, że dłużnik kieruje sprawę do Urzędu Rozjemczego dopiero wówczas, gdy nad jego głową zawiśnie miecz w postaci agzekucji i lada dzień ma mu komornik wyprowadzić ze stajni ostatnią krowę, albo sprzedać na licytacji grunt. I to ustawa przewidziała i pozwala rolnikowi uniknąć tych smutnych ewentualności, dała bowiem Urzędom Rozjemczym prawo wstrzymania egzekucji. Zawsze więc gdy egzekucja jest już w toku, należy w podaniu do Urzędu Rozjemczego prosić o wstrzymanie egzekucji (najlepiej dołączyć pismo komornika zaopatrzone odnośną liczbą). Normalnie urzędy rozjemcze natychmiast po wniesieniu podania wydają decyzję wstrzymującą egzekucję, wręczając stosowne pismo dłużnikowi. Komornik po okazaniu tego pisma przez dłużnika nie może przedsiębrać żadnych dalszych kroków egzekucyjnych, tylko musi egzekucję wstrzymać.

Zdarza się też, że dłużnicy występują z wnioskami do Urzędu Rozjemczego nieco wcześniej, wtedy mianowicie, gdy toczy się proces. Na ten wypadek trzeba wiedzieć, że poddanie sprawy orzecznictwu Urzędu Rozjemczego powoduje zawieszenie, czyli przerwę postąpowania sądowego, należy więc zawsze zawiadomić Sąd, albo w osobnem piśmie albo na najbliższej rozprawie, ażeby proces nie ciągnął się niepotrzebnie i nie rosły koszta. Po wydaniu przez Urząd Rozjemczy orzeczenia sprawa sądowa zostaje umorzona. Tak samo orzeczenie umarza postępowanie egzekucyjne.

Najlepiej wogóle nie dopuścić do procesu i jeszcze przed wniesieniem skargi, skierować sprawę do Urzędu Rozjemczego, bo wówczas wierzyciel skargi już wnieść nie może i nie przyrosną wysokie koszta sądowe.

Orzeczenie Urzędu Rozjemczego ma ten sam skutek co wyrok sądowy i stanowi tytuł egzekucyjny. Nie należy więc pod żadnym warunkiem lekceważyć sobie tych orzeczeń, tylko spłacać dług tak jak ono nakazuje, albowiem w razie niedotrzymania zawartych w orzeczeniu terminów spłaty długu, wierzyciel niechybnie wdroży egzekucję, przed którą nie będzie już żadnej ucieczki.

Dalszem dobrodziejstwem ustawy jest możność zawarcia ugody przed Urzędem Rozjemczym, która narówni z ugodą sądową stanowi tytuł egzekucyjny. Od ugód nie uiszcza się żadnych opłat, w przeciwieństwie do ugód sądowych, podlegających opłacie w wysokości pół procent od ugodzonej sumy.

Od orzeczeń Urzędu Rozjemczego można wnieść odwołanie tylko wtedy: 1. jeżeli Urząd Rozjemczy przekroczył zakres swej właściwości, 2. jeżeli pogwałcił istotne przepisy postępowania, 3. jeżeli nie zostały należycie wyświetlone okoliczności mające stanowczy wpływ na rozstrzygnięcie, 4. jeżeli wydał orzeczenie niezrozumiałe lub sprzeczne z prawem, 5. jeżeli zachodzą przyczyny, które stanowić mogą podstawę do skargi o wznowienie (n. p. orzeczenie opiera się na sfałszowanym dokumencie, fałszywem zeznaniu świadka itp.).

Odwołanie wnosi się w ciągu dwóch tygodni od doręczenia orzeczenia na piśmie za pośrednictwem Urzędu Rozjemczego do Sądu Okręgowego właściwego dla miejscowości, w której położone jest gospodarstwo rolne dłużnika. Sąd Okręgowy odwołanie albo sam rozstrzyga ostatecznie, albo uchyla orzeczenie i poleca Urzędowi Rozjemczemu, by ponownie rozpatrzył sprawę.

Ponieważ zostały już omówione wszystkie ważniejsze postanowienia ustawy, trzeba kilka słów poświęcić wyglądowi podania. Otóż podanie powinno być napisane treściwie i zawierać tylko konieczne dane bez niepotrzebnych dodatków, których odczytywanie na rozprawie zabiera czas a nic nie wyjaśnia.

Przedewszystkiem należy podać imię i nazwisko wierzyciela i dokładny jego adres, nastąpnie wymienić o jaką chodzi pretensję, określić tę pretensję możliwie najdokładniej, a więc wyszczególnić wysokość kapitału, zaległych odsetek i ewentualnych kosztów sądowych i egzekucyjnych (o ile możności dołączyć należy wyroki sądowe, uchwały, pisma komornika itd.). W dalszym ciągu określa się swe stosunki majątkowe, podając obszar posiadanego gruntu, ilość osób znajdujących się na utrzymaniu i wysokość ogólnego zadłużenia. Wkońcu trzeba napisać czego się żąda, a zatem czy tylko rozłożenia pretensji na raty i obniżenia odsetek, czy także wstrzymania spłaty kapitału na okres dwuletni lub krótszy, czy wreszcie uznania pretensji za umorzoną z powodu płacenia wygórowanych procentów itp.

Od podania uiszcza się zaraz przy wniesieniu opłatę wynoszącą 1 i ½%, czyli 1 zł. 50 gr. od każdych 100 zł. pretensji. Za wydawane dokumenty Urząd Rozjemczy pobiera opłatę dodatkową w kwocie 50 gr. od jednego dokumentu (n. p. za decyzję wstrzymującą egzekucję).

Jeżeli Urząd Rozjemczy wydał swoje orzeczenie na podstawie dawniej obowiązującego rozporządzenia Prezydenta R. P. z dnia 23 sierpnia 1932, można wnieść obecnie nowe podanie, ażeby orzekł wedle przepisów ustawy obecnie obowiązującej. Można to uczynić zarówno wtedy, gdy poprzednio odmówiono wnioskowi o rozłożenie pretensji na raty, jak i wtedy jeżeli poprzedniem orzeczeniem rozłożono spłatę na krótki okres czasu, dawniej bowiem Urząd Rozjemczy mógł rozłożyć spłatę pretensji zaledwie na trzy lata, obecnie zaś na lat siedem.

Tak wygląda w ogólnych zarysach chlubny wysiłek Rządu dla ratowania zagrożonego kryzysem rolnictwa.

DR. TADEUSZ PIASECKI.

Taryfa opodatkowania spadków i darowizn.

POZYCJA	Określenie podatnika według jego znamion osobistych, w szczególności według jego stosunku do spadkodawcy lub darującego.	Czysta wartość otrzymanego majątku.											
		Ponad 3 — 5000 zł.	Ponad 5 — 10.000 zł.	Ponad 10 — 20.000 zł.	Ponad 20 — 50,000 zł.	Ponad 50 — 100.000 zł.	Ponad 100 — 200.000 zł.	Ponad 200 — 500.000 zł.	Ponad 500 — 1,000.000 zł.	Ponad 1.000 — 2,000.000 zł.	Ponad 2.000 — 5,000.000 zł.	Ponad 5.000 — 10,000.000 zł.	Ponad 10,000.000 zł.
		a	b	c	d	e	f	g	h	i	j	k	l
		Podatek wymierza się według niżej podanej stopy procentowej.											
		%	%	%	%	%	%	%	%	%	%	%	%
1	Małżonek. Zstępny (dzieci, wnuki). . .	—	—	0·5	0·75	1·—	1·25	1·50	2·—	2·50	3·—	3·50	4·—
2	Wstępny (rodzice, dziadkowie). Przysposobiony. Rodzeństwo rodzone i przyrodnie. Zięć i synowa.	1 5	2·—	2·5	3·—	3·5	4·—	4·5	5·—	5 5	6·—	7·—	8·—
3	Dzieci rodzeństwa. Pasierb.	2·—	2·5	3·—	4·—	5·—	6·—	7·—	8·—	9·—	10—	11—	12—
4	Krewni do 4 stopnia wyżej niewymienieni (rodzeństwo rodziców, rodzeństwo dziadków, wnukowie rodzeństwa, rodzeństwo stryjeczne lub cioteczne). . . .	3·—	4·—	6·—	8·—	10—	12—	14—	16—	18—	20—	22—	24—
5	Inni	4·—	6·—	8·—	10—	13—	16—	19—	22—	25—	28—	31—	34—

Streszczenie ustawy najnowszej o spadkach i darowiznach wraz z taryfą podatkową.

Ustawą z dnia 14 marca 1933 r. Nr. 21. poz. 141. Dz. U. R. P. wprowadzono niektóre zmiany w obowiązujących dotychczas przepisach o opodatkowaniu spadków i darowizn.

Ustawa ta obowiązuje od dnia 1 kwietnia 1933 r. i stosuje się do wszystkich wymiarów, które od tej daty uskutecznione zostaną.

W b. dzielnicy austrjackiej podciągnięto pod obowiązek opodatkowania także nabycie majątku na podstawie umowy na korzyść osoby trzeciej, a zawartej na wypadek śmierci, w szczególności na podstawie ubezpieczenia.

Od kwoty wymierzonego podatku nie pobiera się dodatku w wysokości 10 % od kwoty podatku.

Jeśli podatek został rozłożony na raty, a wymierzono go przed 1 kwietnia 1933 r., podana wyżej taryfa będzie stosowana także do rat płatnych po 1 kwietnia 1933 r., jeżeli najdalej do 1. I. 1934 uiszczone zostaną raty płatne do 1 kwietnia 1933 r., obliczone wedle dotychczas obowiązującej taryfy, oraz raty przypadające po tym terminie, a obliczone wedle nowej taryfy.

Również, jeżeli podatek wymierzony przed 1. IV. 1933 nie został rozłożony na raty, zostaje on z urzędu rozłożony na 20 równych rat półrocznych, począwszy od terminu płatności podatku, a wówczas ma zastosowanie powyższy przepis odnoszący się do podatku rozłożonego na raty.

W obu tych wypadkach nie pobiera się ani kar ani odsetek zwłoki.

Wysokość podatku zależy od stosunku podatnika do spadkodawcy lub darującego i od wartości otrzymanego majątku, a ustalona jest w stopie procentowej. Jeśli czysta wartość otrzymanego majątku nie przenosi 3000 zł., podatku się nie pobiera.